

MAREK BARAŃSKI

BUNT JANCZARÓW

KULISY TAJNYCH SŁUŻB TRZECIEJ RZECZPOSPOLITEJ



PPUH „ALMAR” WARSZAWA 2001

OD AUTORA

Są zlepkami różnych ludzi. Niby byli dobierani starannie - na ogół spośród studentów ostatnich lat studiów. Jakich kierunków? - wszystkich. Oficerowie byłej Służby Bezpieczeństwa byli inżynierami, historykami, prawnikami, ekonomistami, matematykami, fizykami, dyplomatami, polonistami. Znam nawet dwóch aktorów.

Ale byli wśród nich również faceci po tzw. „akademiach pierwszomajowych”. Mimo zmieniających się warunków i wymagań nie pozbywano się ich przed wybiciem emerytalnego zegara. Spokojnie dosługiwali swych dni, bo każdy miał wiedzieć, że Służba pochopnie nie pozbywa się ludzi. Choćby nawet trochę odstawali od czasu.

Elitę zawsze stanowili oficerowie wywiadu. Tam duży wpływ na karierę, oprócz studiów i znajomości języków, miało pochodzenie. Dobre, partyjne korzenie, to było cenne wiano. Czasem decydujące. Stąd częste przypadki dziedziczenia zawodu przez syna po ojcu.

Wywiad sięgał również po ludzi w swoich środowiskach znanych i lubianych, a także po tych, którzy osiągnęli jakiś niezaprzeczalny sukces w swojej dziedzinie. W ten sposób w jego kręgu znaleźli się na przykład słynni przed laty rajdowcy samochodowi, mistrz szabli - Jerzy Pawłowski, a nawet popularny w warszawskich dyskotekach discjockey, obiecujący student i stypendysta Andrzej Olechowski.

Wszyscy bez wyjątku poświęcali swe talenty w służbie dla Polski, choć wielu nie chce dziś o tym pamiętać. Poprzebiali się w stroje Wallenrodów i przekonują, że nienawistny ustrój rozsadzali od środka. To dość żałosne, jeśli zważyć, że dotyczy arystokracji d. MSW.

W 1989 roku Służba Bezpieczeństwa liczyła 24 tysiące ludzi. Weryfikacji poddało się 14 tysięcy - ponad połowa „janczarów PRL” uznała, że więc nic się takiego w tym 1984 roku nie stało, że mogą służyć dalej. Dziesięć tysięcy spośród nich zostało zweryfikowanych pozytywnie.

Nieszczęście chciało, iż ludzie „Solidarności”, którzy przyszli do polityki po roku 1989 i objęli władzę nad państwem, też byli dziećmi PRL. Wałęsa, całe jego otoczenie, cała ta „klasa polityczna”, wykazywała duże skłonności do rządzenia starym państwem w nowych dekoracjach. Z ich tęsknot wyrosła na nowo potęga służb specjalnych. Choć były one wstrząsane kolejnymi czystkami, to jednak właśnie oficerowie dawnej SB opanowali wyobraźnię nowych szefów. Umieją to robić, szkolono ich w tym długo i z sukcesami. Potrafią być „ujmujący”, „szczerzy”, „bezinteresowni”, „oddani”, „skruszeni”, „wierni”... Ich ofiary nie miały bladego pojęcia, że oficer przechodzący z kimś na „ty” nigdy nie skraca dystansu tylko z tego powodu, że rzeczywiście kogoś polubił. On realizuje konkretny punkt instrukcji operacyjnej, na wypadek pozyskiwania agenta: jak najszybciej zdobyć sympatię, zaprzyjaźnić się, związać ze sobą. Oni nie zawierają zwykłych znajomości, jak ludzie. Dla nich każda znajomość oznacza „kontakt operacyjny”.

Naprzeciwko zawodowców stanęli więc czystej wody amatorzy - zadymiarze z takich firm jak „Wolność i Pokój”, „Niezależne Zrzeszenie Studentów”, „Młoda Polska”, „KPN” - ufni w siłę swej niezależności. ... Zdarzyło mi się rozmawiać kiedyś z byłym oficerem SB, zajmującym się w przeszłości pewną, nielegalną wówczas, organizacją. Systematycznie spotykał się z jednym z jej liderów, który zresztą, po zwycięstwie „Solidarności”, pełnił nawet przez jakiś czas funkcję szefa w bardzo ważnej państwowej instytucji. Ów lider, a później prominent, jednoznaczny prawicowiec, katolik i antykomunista, przychodził na spotkania regularnie, snuł plany wydawania organu prasowego swojej organizacji, wspólnie obliczali niezbędne po temu fundusze. Od czasu do czasu przyjmował też upominki. Na przykład piękna skórzana torba reporterska (w tamtych latach istny rarytas), którą pysznił się w swoim

mieście, była takim właśnie prezentem od SB.

Ci napaleńcy sami o sobie nie wiedzieli tyle, ile wiedzieli o nich ich nowi idole - dawni oficerowie Służby Bezpieczeństwa, teraz upozowani na patriotów-państwowców.

W rezultacie doszło do fatalnego mariażu starych, wyrachowanych cyników z nowym, pazernym na władzę, silnie motywowanym ideologicznie, narybkiem. Dzięki temu niektórzy ludzie dawnej Służby Bezpieczeństwa znów zyskali niezwykle silny wpływ na państwo.

Odbyłem setki rozmów z wieloma oficerami. Sympatycznymi i niemiłymi. Spotykałem takich, którzy pragnęli coś zmienić, ale też i takich, którzy chcieli się na kimś mścić, za coś odegrać, lub mnie wpędzić w kłopoty. Dzięki nim wszystkim mogłem nanizować wiadomości, które następnie publikowałem w tygodniku „NIE”, w cyklu „Co tam chłopie w UOP-ie”.

Nie ustrzegłem się wpadek - to się zdarza podczas zabawy z brzytwą. Najbardziej dla mnie nieprzyjemna była słynna afera z „lojalką” Kaczyńskiego.

Ale i ja też założyłem im za skórę. Ostatnio atakują mnie przy pomocy oskarżeń o „ujawnienie tajemnicy państwowej”. Pisma zawiadamiające prokuratora o moich „przestępstwach” podpisuje szef UOP Zbigniew Nowek lub jego zastępca Szwedowski. Nowek leczy w ten sposób swoją do mnie nienawiść, za to, że opisałem kiedyś, jak spędzał nadmorskie wakacje na koszt wojska. Jakby nie mógł udźwignąć takiego wydatku samodzielnie.

Ciągła świadomość, że moje publikacje czytane są pod kątem możliwości wytoczenia mi procesu powoduje, że artykuły prasowe siłą rzeczy muszą być pozbawione wielu wątków, domysłów i smaków, o których często słyszę, ale których nie jestem w stanie procesowo zweryfikować.

Książka jednak, szczególnie coś, co nazywa się polityczną fikcją, rządzi się innymi prawami. Z owych domysłów i smaków, z delikatnych powiewów wiatru niosących ze sobą strzępy informacji o zdarzeniach dawno minionych - jak młodość żyjących tylko w mglistych wspomnieniach najbliższej rodziny - można wszak tworzyć rzeczywistość i postaci, których tak naprawdę nie było.

Czytając Bunt janczarów natkniesz się więc, Drogi Czytelniku, na fragmenty, które być może już skądś znasz, ale i na takie, które przeczytasz po raz pierwszy. Oprócz bowiem wątków wcześniej wykorzystanych i udokumentowanych na potrzeby tygodnika „NIE” są w tej książce opisy zdarzeń i zapisy rozmów, które choć powstały na podstawie relacji z pierwszych, drugich i trzecich rąk, są wytworem mojej wyobraźni. W rzeczywistości ich nie było, choć mogły się zdarzyć. Powtarzając słynne powiedzenie Andrzeja Milczanowskiego: „nie potwierdzam, nie zaprzeczam i proszę nie wyciągać z tego żadnych wniosków”, swoim przeszłym, teraźniejszym i przyszłym krytykom, którzy być może zakrzykną, że to co napisałem to nieprawda, z góry odpowiadam: nie potwierdzam, nie zaprzeczam i proszę nie wyciągać z tego żadnych wniosków.

AUTOR

KOORDYNATOR

Był szczęśliwy. Jakby unosił się w powietrzu, jakby płynął. A przecież jeszcze kilka dni temu żył jak inni - pogodzony z własnym losem. Miał swoje „M” w bloku na Andromedy, pracę na uczelni, co mu więcej było potrzeba? Tak na dobre wciągnął go do polityki Marian. Namówił, żeby kandydował. Owszem - był w „Solidarności”, prowadził nawet jeden ze zjazdów, ale żeby zaraz na posła? Nie miał takich ambicji, nie chciał robić politycznej kariery.

Przeczenie nie myliło go - próba z kandydowaniem okazała się kompletną klapą. Zebrał wszystkiego coś z 1500 głosów. Gdyby nie Maryś i nie lista krajowa, musiałby pożegnać się z myślami o Sejmie. Aż tu nagle taki numer! Nie tylko jest posłem, ale został desygnowany na premiera! To oznacza, to oznacza... nie mógł znaleźć słów, żeby opisać swoją radość. Tym bardziej, że limuzyna podskoczyła właśnie na warszawskich wykrotach i boleśnie uderzył głową w sufit. Przyszło mu na myśl to tylko, że jego Lucia jest panią premierową, a Agatka premierówną. I że chyba nie musi się już martwić o jej przyszłość.

„BMW”, którym w towarzystwie policyjnej eskorty go wieźli, wyraźnie zwolniło. Przez chwilę wydawało mu się, że to po tym podskoku postanowili bardziej uważać, ale okazało się, że przyczyna wolniejszej jazdy była inna - wjeżdżali na dziedziniec Pałacu Prezydenckiego. Ostatni raz, nerwowo, powtarzał w pamięci, co Marian kazał mu powiedzieć. Samochód podjechał pod drzwi wejściowe. Na progu czekał prezydencki minister - Ungier.

- Witam pana premiera. Pan prezydent już czeka.

Poprowadził Buzka przez obszerną sień, na lewo, do drzwi prowadzących ku wielkim schodom wyłożonym czerwonym chodnikiem. Na lewo od nich jest przejście do skrzydła pałacu, w którym mieszczą się biura. Same schody zaś prowadzą do wielkiej Sali Balowej. Buzek pamiętał ją z telewizji, poznał po zwisających z sufitu kryształowych żyrandolach. Bystro pokojarzył, że właśnie tam obradował „okrągły stół”. Ungier poprowadził go jednak nie na wprost, do Sali Balowej, tylko na lewo, potem krótkim korytarzem w prawo, do obszernego sekretariatu. Z jego okien rozpościerała się panorama Pragi. Na lewo były drzwi do gabinetu Ungiera, na prawo zaś, jakby trochę za plecami sekretarki, wielkie pod sufit drzwi do gabinetu prezydenta.

Otworzyły się i wyszedł Kwaśniewski. Szerokim gestem zaprosił premiera do środka. Jak to on - jedną ręką ścisnął dłoń swego gościa, drugą podejmował go pod łokieć. Usiedli przy małym stoliku. Premier na wprost prezydenta. Za prezydentem, między wielkimi oknami z widokiem na Wisłę, stał duży telewizor, po prawej prezydenckie biurko. Wszędzie pełno było papierów przemieszanych z bibelotami z epoki. Uwagę zwracał pięknej roboty zegar kominkowy. Przez głowę przeleciała Buzkowi myśl, że ten telewizor pasuje tu jak goździk przy kożuchu.

Czekając aż kelnerka naleje herbaty do eleganckich porcelanowych filiżanek rozmawiali trochę o tym, co za oknem, trochę o pogodzie.

- Może również odrobinę soku? - zapytała kelnerka.

- Dziękujemy pani - odpowiedzieli mimowolnym chórem.

Gdy drzwi za kelnerką się zamknęły, prezydent z uśmiechem zwrócił się do premiera.

- Czy może ma pan już skład rządu, panie profesorze?

- Całego oczywiście jeszcze nie, ale porosiłem o spotkanie ze względu na sprawę, która, bacząc na bezpieczeństwo państwa, czekać nie może. Chodzi o ministra-koordynatora do spraw służb specjalnych.

Prezydent nie potrafił ukryć zdumienia.

- Spodziewałem się raczej, że w pierwszej kolejności porozmawiamy na przykład o obsadzie stanowiska szefa gospodarki, finansów. Wydaje mi się, że te decyzje są ważniejsze.

Czas goni, budżet nic może czekać.

- To prawda - Buzek próbował przerwać prezydentowi, ale...

- Tymczasem - ciągnął niezrażony Kwaśniewski - jeśli chodzi o bezpieczeństwo państwa, nie słyszałem, by uległo jakiemuś gwałtownemu pogorszeniu, by pojawiło się jakieś niespodziewane zagrożenie. Czy pan coś wie na ten temat?

Premier zorientował się, że prezydent z niego pokpiwa, ale się nie spieszył. Pamiętał, co mówił Marian - „Nie daj się wyprowadzić z równowagi. Nie złap się na jego gładkie słówka. Gramy swoje”.

- Mimo wszystko uważam, że obsadzenie stanowiska ministra-koordynatora jest równie ważne... Służby nie mogą pozostawać bez nadzoru, ktoś musi nad nimi panować. Tym bardziej te służby. - Buzek nieco teatralnie zaakcentował słówko „te” dając do zrozumienia, że do ludzi, których tam zastał nie ma za grosz zaufania.

- Przejmujemy je po poprzednikach - podkreślił z naciskiem, dbając cały czas, aby w mowie i postawie być jednoznacznie stanowczym. Dla wzmocnienia tego efektu starał się trzymać w krześle prosto, a nawet nieco wyniośle. W dole krzyża piekło go od tego coraz bardziej, ale cierpiał mężnie i nie dawał po sobie poznać, że jest mu niewygodnie.

„Pamiętaj - mówił mu Maryś - on (czyli Kwaśniewski) ani przez moment nie może pomyśleć, że nie wiemy czego chcemy”.

Za oknem zachmurzyło się, ale po chwili wiatr od Wisły rozpędził chmury i wielkie pałacowe szyby znów błyszcząły pięknym, lecz jednak jesiennym już błękitem.

- No dobrze, nie spierajmy się. Kogo pan proponuje?

Nie wiadomo, czy prezydent uległ sugestii słów wymieszanych z odpowiednią modulacją głosu i postawą premiera w krześle, czy po prostu zwyciężyła w nim zwykła ciekawość

- Pana Konstantego Miodowicza - odparł Buzek z miną, jaką telewizjowie mieli go od teraz oglądać niemal codziennie: szczerą, poważną, absolutnie pewną swego, do każdej okazji taką samą.

Jednak czy chciał, czy nie, to mina, ta w połączeniu z drewnianymi oczami i odstającymi uszami dawała efekt komiczny. Nie wzbudzała respektu, lecz wesołość. Ten premier nieodmiennie przypominał studenta recytującego wykuty na blachę tekst, którego kompletnie nie rozumie. Prezydentowi jednak wcale nie było do śmiechu. Buzek kontynuował:

- Jest to moim zdaniem kandydatura bardzo dobra...

(„Kandydatura bardzo dobra”, „plan bardzo dobry”, „reformacja bardzo dobra” - wszystko za co się zabierał z góry było „bardzo dobre”. Ale podczas pierwszej rozmowy z tej cechy premiera Kwaśniewski nie zdawał sobie jeszcze sprawy. Choć bez wątplenia coś przeczuwał.)

- Pan Miodowicz ma duże doświadczenie jeśli chodzi o specyfikę pracy w służbach specjalnych, a jednocześnie, co dla mojego obozu politycznego jest ważne, nie wywodzi się z szeregów dawnej SB. Jego przeszłości nie musimy się wstydzić - przeciwnie, za swoją działalność na rzecz demokratycznej Polski SB prześladowała go.

Do gabinetu prezydenta nie dochodziły żadne odgłosy. Nie słyhać było ani telefonów zza drzwi, ani wiatru za oknami. Ciszę przerywało tylko miarowe tykanie zegara. Prezydent oparł się plecami o fotel, osunął nieco; sprawiał wrażenie, że myślami jest gdzieś daleko.

I rzeczywiście - przed oczami stanął mu Alfred Miodowicz, człowiek, który zakładał Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, członek Biura Politycznego KC PZPR, ojciec Kostka. Podobno różnice polityczne nie pozwalały utrzymywać im ze sobą kontaktów. Mówiło się o rodzinnym dramacie spowodowanym polityką, o ponurym murze, który - jak Berlin zachodni od wschodniego - oddzielał ojca od syna. Ale prezydent wiedział, że to nieprawda. Mieszkał na tym samym osiedlu, co Alfred i czasami widywał tam jego dziecko. Mówiono mu również, że stary Miodowicz nie stroni od dobrego towarzystwa, zwłaszcza jeśli trafi się kompania kapkę trunkowa. Bywało, że wypił po kusztyczku w tym samym gronie, w którym biesiadował Józek. Jednak Alfredowi nigdy włos z głowy przez to nie spadł,

choć, jak się zdaje, jego syn (tajnopolicyjny ważniak należący do ekipy, która Józka podglądała) nic mógł tego nie wiedzieć.

Aleksander spuścił głowę, jak zawsze, gdy miał kłopot.

Poplątane to wszystko, pomyślał.

Ale przecież nie na tyle, by w sprawie politycznych skłonności młodego Miodowicza mieć jakieś wątpliwości. Już samo wysunięcie jego kandydatury wróżyło prezydentowi spore kłopoty na przyszłość. Widać było, że Marian od początku chciał pozbawić go złudzeń, iż ich współzycie będzie spokojne. Mimo wszystko jednak nie spodziewał się, że jego przeciwnicy tak wyzywająco i tak szybko dążyć będą do zwarcia. Propozycja, by na stanowisku szefa służb specjalnych zaakceptował kogoś, kto aktywnie uczestniczył w największej prowokacji wymierzonej w lewicę, a więc i w niego, była ze strony AWS bezczelnością.

- Nie ma mowy! Na pana Miodowicza zgody nic będzie.

Buzka zaskoczyła stanowczość, z jaką to zostało powiedziane.

- Ale panie prezydencie... - zaczął, bo mimo wszystko chciał przedstawić przygotowane przez sztab argumenty.

Jednak prezydent nie był już wytwornym kustoszem zabytkowych wnętrz. Przerwał mu, nie dopuścił do słowa.

- Ja oczywiście rozumiem i przyjmuję do wiadomości, że pan tworzy rząd i pan odpowiada za jego skład. Wiem i rozumiem, że w wyniku demokratycznego głosowania, to pańskie ugrupowanie polityczne ma prawo do autonomicznych, suwerennych decyzji, a nie żadne inne. Nawet to rozumiem, że panowie nie mają zamiaru tego stanowiska oddać komuś apolitycznemu - choćby dla uwiarygodnienia własnych deklaracji dotyczących w ogóle apolityczności tajnych służb. To wszystko rozumiem i mam zamiar respektować. Ale propozycję, by pan Miodowicz został ministrem odpowiedzialnym za pracę służb specjalnych poczytuję wręcz za prowokację. Oświadczam panu, że tej nominacji nie podpiszę. Jeśli od razu chcą panowie wojny z prezydentem, proszę bardzo. Publicznie wyjaśnię swoje motywy. Uważam jednak, że miast demonstracyjnie obnosić się z dzielącymi nas różnicami, winniśmy dawać dowody, iż mimo tych różnic strony mogą wspólnie pracować dla dobra kraju. Przynajmniej w najważniejszych obszarach, w tym związanych z bezpieczeństwem państwa.

- Trudno. Skoro pan tak stawia sprawę, to trudno. - Buzek był wyraźnie zmieszany. - Pragnę tylko zapewnić, że o żadnej prowokacji nic może być mowy. To nie wchodzi w rachubę. Zaś co do meritum - pozwoli pan, panie prezydencie, że naradzę się z moim zapleczem politycznym.

Pożegnali się znacznie chłodniej niż się witali. Premier poprzedzany ochroniarzem wyruszył w drogę powrotną do swojej siedziby w Urzędzie Rady Ministrów. Prezydent zaś wezwał do siebie Ungiera.

- Wejdz. Czekają nas cztery ciężkie lata.

Tego dnia minister nie wyszedł już z gabinetu prezydenta. Po godzinie sekretarka zameldowała przez interkom, że przyjechał minister Siwiec. Panowie poprosili o termos z kawą. Gdy skończyli niebo nad Wisłą z lekka różowiło.

* * *

Po wyjściu od prezydenta Buzek nie był z siebie zadowolony. Nie poszło mu tak, jak sobie zaplanowali. Spodziewał się raczej, że Kwaśniewski zrobi unik, będzie grał na zwłokę. Nie powie „tak”, ale też nie wypowie stanowczego „nie”, co dawałoby nadzieję na ostateczne „tak”. Tymczasem wariant z Miodowiczem wyraźnie go usztywnił. Premier zrozumiał, że ten pomysł nie przejdzie. Nie popadał jednak w rezygnację. Wierzył, że Marian ma w zanadrzu jakąś inną, równie dobrą kandydaturę.

Naprawdę martwiło go co innego - czekająca go teraz nieprzyjemna rozmowa z Balcerowiczem. Myślał, że jeśli chodzi o dogadywanie się z Unią, co do podziału ministerialnych

tek, ma to już za sobą. Zostało tylko podzielić się wojewodami i wice wojewodami.

Prawdę powiedziałwszy, jeszcze parę dni temu, gdy był „zwykłym” docentem z Gliwic, zupełnie inaczej postrzegał Unię niż obecnie, po tych kilku dniach negocjacji. Myślał tak jak cała inteligencja: Unia to wartości moralne, szacunek dla tradycji, uczciwość na co dzień, gotowość obrony zasad bez baczenia na doraźne interesy. Tymczasem znalazł Unię jako partię ludzi, którzy jeśli już jakimś zasadom hołdują, to kupieckim: co, za co i po ile. Kiedyś nie wierzył, gdy Marian zapewniał go, iż Unia zawiera raczej umowy handlowe niż traktaty polityczne. Ale już uwierzył. Ku własnemu zaskoczeniu jedynym uczuciem jakie go w związku z tym opanowało, było zdziwienie - kiedy Marian zdążył się tego nauczyć? Żeby poznać te wszystkie zakamarki naszej sceny politycznej i sens tego, co się na niej odgrywa, potrzeba przecież czasu. Szczerze mówiąc, nie podejrzewał go o takie zdolności.

To tak jak gdyby zrobić pięcioletnie studia w trzy lata, przeszło mu przez myśl.

Premier ciągle jeszcze nie mógł oderwać się od świata akademickich wartości i porównań.

W sprawie, która dziś jeszcze czekała na załatwienie Marian też był spokojny i pewny siebie. On w ogóle posługiwał się w polityce prostymi metodami. Jak dotąd, nie przegrywał.

- Balcerowicz palcem nie kiwnie. Nie ma mowy, żeby Unia za niego umierała - przekonywał. I rzeczywiście.

Chodziło o Jacka Merkla. Unia Wolności wysunęła go jako kandydata na ministra transportu. W zasadzie, aż do wczoraj, ze strony AWS nie było przeszkód. Jednak wczoraj miał dwie zaskakujące wizyty.

Najpierw, wczesnym popołudniem, zameldował się u niego ten, jak mu tam? - Kapkowski, jeszcze szef Urzędu Ochrony Państwa. Powiedział, że chce spotkać się w ważnej sprawie państwowej. Więc go przyjął. W swojej rezydencji na Parkowej. Siedzieli w salonie na dole. Buzek z ciekawością patrzył na swego gościa. Z szefem tajnych służb widział się i rozmawiał pierwszy raz w życiu. Kapkowski był niepozorny - raczej drobny, nie za wysoki, w okularach, zza których spoglądały jakieś dziwne oczy. Nawet gdy były skierowane wprost na rozmówcę, to jednocześnie jakby unikały jego wzroku. Kapkowski zameldował się przepisowo. Buzek jeszcze nie bardzo wiedział jak ma się zachować. Podał więc mu rękę, po prostu. Generał powiedział, że o jego przyścisaniu do pana premiera zdecydowało kierownictwo Urzędu Ochrony Państwa. Mimo, że rząd nie był jeszcze zaprzysiężony, postanowiono poinformować pana premiera, iż nazwiska niektórych przyszłych ministrów figurują w rejestrach UOP. Premier sprawiał wrażenie, że nie bardzo do niego dociera sens tego, co usłyszał. Kapkowski zdecydował się więc powiedzieć mu wprost:

- Oznacza to, że niektórzy członkowie pańskiego przyszłego rządu mogą mieć poważne problemy z lustracją. Jeśli, zgodnie z przedwyborczymi zapowiedziami AWS, do niej dojdzie i jeśli przyjmie ona kształt nakreślony z grubsza na wiecach wyborczych, to kilku członków gabinetu i co najmniej jeden wicepremier będą musieli odejść z polityki.

Buzek sprawiał wrażenie przybitego.

- No, to co robić? - zapytał bezradnie. Ta bezradność była odruchowa. Na pewno nie chciał jej okazywać, zwłaszcza człowiekowi związanemu z wrogim układem politycznym, ale nie potrafił ukryć zaskoczenia. Kapkowski doradzał spokój.

- Nie ma sensu robić nerwowych ruchów, doprowadzać do skandalu i wymieniać dopiero co desygnowanych ministrów. Należy to zrobić stopniowo i dyskretnie.

- O kogo chodzi?

Buzek nie bardzo potrafiłby powiedzieć, czy zadał to pytanie ze zwykłej ciekawości, czy w trosce o przyszłość swojego gabinetu. Nie umiał się jednak powstrzymać. Kapkowski zaś nie miał złudzeń - był pewien, że premierem powodowała zwykła ciekawość. Nie raz miał z tym do czynienia. Wszyscy oni po jednych pieniądzach... Nic znał polityka, który nie chciałby wykorzystać „teczek” do jakiejś bieżącej rozgrywki. Ale co go to obchodziło.

Premier pyta, on ma odpowiedzieć, a nie filozofować. Wymienił wszystkich. O Merkle powiedział jednak tylko tyle, że obserwuje się jego kontakty handlowe z obywatelami Iraku.

- Ponieważ wiadomo, że stosunki Polski z tym krajem dalekie są od przyjaznych - ciągnął Kapkowski - to istnieje niebezpieczeństwo, że dzisiejsze interesy pana Merkla, dla ministra Merkla mogą być w przyszłości pewnym obciążeniem. Tym bardziej, że nie są one do końca jasne.

Buzek wyglądał źle. Był wyraźnie zmartwiony. Kapkowski odmeldował się i wyszedł.

Nie minęło pół godziny, gdy Buzek musiał podnieść się z wygodnego fotela, w którym zapadł w zadumę i podejść do telefonu. Dzwonił Marian.

- Cześć Jurek. Przyjdzie do ciebie za chwilą, ktoś kogo koniecznie musisz wysłuchać. Gdy skończycie zadzwoń po mnie, wpadnę na wino. Chyba masz jeszcze odrobinę tego burgunda?

Willa zajmowana przez Buzka znajduje się w głębi „dzielnicy rządowej”, w zamkniętej części ulicy Parkowej. Patrząc od strony Belwederskiej jest ostatnia. Jednak znający topografię tej okolicy dobrze wiedzieli, że jest i druga brama - od Łazienek. Też stale pilnowana, jak ta główna. Wejście jest doskonale ukryte przed wścibstwem kamer i fotoaparatów. Znajduje się co prawda tuż obok wjazdu na parking ekskluzywnej warszawskiej restauracji, ale wieczorami na schowaną między drzewami bramę naprawdę nikt nie zwraca uwagi. Tajemniczy gość premiera przeszedł właśnie przez nią. Ktoś musiał uprzedzić dowódcę warty, gdyż żołnierz wpuścił go bez słowa. Premier w tej sprawie nie dzwonił, nawet nie wiedziałby do kogo. Ale nie zastanawiał się nad takimi drobiazgami.

Nie rozmawiali długo. Wystarczyło jednak, by Buzek przeszedł ze stanu przygnębienia i apatii w stan rozdrażnienia. Trzeba trafu, również jego drugi gość przestrzegwał go przed kandydatem UW na ministra transportu. Tyle, że w przeciwieństwie do Kapkowskiego, nie ograniczył się do handlowych kontaktów Merkla z Irakijczykami. Powiedział jeszcze coś, czego szef UOP nie ujawnił.

- Zaraz, jak to on ujął? Buzek próbował odtworzyć sobie w pamięci ten fragment rozmowy... - „Z formalnego punktu widzenia nie ma się do czego przyczepić, ale firma i bez tego swoje wie” - jakoś tak.

- Marian? Wpadnij, jeśli możesz. Jestem już sam.

Usiedli przy kominku. Premier nalał do kieliszków obiecanego burgunda. Nie są wybitnymi znawcami win. Zresztą żadnych trunków. Gdy jednak już ich nachodzi, to piją czerwone wino. Wypili i teraz po łyczku. Buzek z detalami przekazał Marianowi treść obu rozmów. Ten od razu wychwycił różnicą między tym, co powiedział gość przez niego zapowiadany a tym, co niejako z własnej inicjatywy, powiedział Kapkowski.

- Obaj mówili ci o irackich interesach Merkla, ale Kapkowski nie powiedział, że oprócz tego są jeszcze jakieś poszlaki świadczące o współpracy Merkla z SB. Wymienił za to inne nazwiska. - Marian głośno analizował powstałą sytuację.

- To może oznaczać tylko jedno: generał chciał za wszelką cenę odwrócić naszą uwagę od ich człowieka. Przecież nie przyszedł do ciebie w dobrej wierze, chyba w to nie wierzysz?

- No, co ty, Marian. - Buzek gwałtownie wpadł mu w słowo. - Za kogo ty mnie masz? Ja może jestem łatwowierny, ale nie do tego stopnia. Oczywiście, że nie wierzę im za grosz.

O tym jak bardzo rewelacje na temat ich kolegów - przyszłych ministrów - go speszyły i zaskoczyły, nie wspomniał ani słowem. Nic chciał, żeby Marian źle sobie o nim pomyślał.

- Tak Jureczku, to jest ich gra. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. „Kierownictwo UOP go przysłało”. Akurat! Siemiątkowski kazał mu przyjść i zamieszać między nami. Ale nie damy się na to nabrać.

Marian zaczął przechadzać się po salonie. Pięć kroków w jedną stronę, pięć z powrotem. Był bardzo podniecony jak odkrywca, który odgarnął właśnie ostatnią garść piachu z

długo poszukiwanej skorupy.

- Tak jest! Z jednej strony napuszczają nas na naszych, a z drugiej próbują odwrócić uwagę od ich człowieka - nie może być inaczej!

Niełatwo im było pogodzić się z myślą, że jeden z bohaterów „konspiracy” mógł być zdrajcą. Jednak im dłużej analizowali tą sytuację, tym intensywniej robał podejrzliwości wwiercał się w ich mózgi, a wyobrażenia całymi seriami podsuwała coraz to nowe obrazki z przeszłości. Niewytłumaczalne do tej pory wpadki nagle dawały się łatwo wytłumaczyć. W końcu zaczęli nawet odczuwać swego rodzaju radość, że oto z taką łatwością rozwiązują nierozwiązane dotąd rebusy.

- Na dodatek te „nie do końca rozpoznane” interesy w Iraku. - Co to znaczy nierozpoznane? - zapytał nerwowo Buzek, który też zaczął już przemierzać salon w tą i z powrotem.

Marian machnął ręką. Jak człowiek, który wie już wszystko, i którego nic nie jest w stanie zaskoczyć.

- Nic wiesz kto może dziś handlować z Irakiem. Po „Pustynnej Burzy” i po tym jak Polacy wyprowadzili stamtąd amerykańskich agentów?

Spojrzał znacząco na Buzka. W powietrzu zawisł ogromny, ironiczny znak zapytania.

- Nie sądzisz, drogi przyjacielu, że trzeba mieć szczególne „referencje”, żeby po tym wszystkim robić tam interesy?

Twarz nagle mu stężała, dziurka w brodzie zrobiła się jakby głębsza, między brwiami pojawiła się charakterystyczna bruzda. Kto Mariana znał to wiedział, że krecha przecinająca przestrzeń między jego oczami nie wróży jego wrogom nic dobrego.

- Takie referencje mogą mieć tylko ci z SB albo z dawnego WSW - odpowiedział sam sobie.

To była nie tyle opinia, co po prostu decyzja. Buzek nie miał wątpliwości, że właśnie rozstrzygnął się polityczny los Merkla. Był tak zdenerwowany, że w środku cały aż dygotał. Bardzo chciał coś zrobić. Na razie jednak musiał słuchać.

- Merkla zablokujemy od zaraz, a z resztą, z tymi, których wymienił Kapkowski, poczekamy. Wkrótce będziemy mieli w UOP-ie swoich ludzi. Wtedy się zobaczy, co tam jest naprawdę. Będziemy się martwić, jeśli rzeczywiście coś będzie. Na razie to Balcerowicz ma ból głowy. Powiesz mu, że na Merkla w żadnym razie się nie zgodzimy. I powiesz mu dlaczego.

O dziwo, Balcerowicz nie wydawał się być zaskoczony rewelacjami, które premier w takiej obfitości zniósł mu na biurko. Ani nie oponował, ani specjalnie nie zmartwił się losem kolegi.

- Znów Maryś nie pomylił się - premier odetchnął z ulgą i już spokojnie słuchał, co Balcerowicz miał w tej sprawie do powiedzenia.

- Ja oczywiście w to nie wierzę, ale skoro, pana zdaniem, mogą w przyszłości być z tego powodu jakieś kłopoty, to rzeczywiście lepiej uniknąć ich zawczasu. Proszę tylko, żeby wszystkie wątpliwości zostały wyjaśnione. Jak pan premier zapewne wie - Balcerowicz spojrział na Buzka tymi swoimi zimnymi oczami kobry - plotki dotyczące Jacka Merkla i jego, rzekomo, niejasnej przeszłości przedostały się już do gazet. Jest w interesie nie tylko Unii Wolności, ale również naszej koalicji, żeby takie sprawy były wyjaśniane do końca i najlepiej zanim napiszą o tym gazety. Przecież różne gazety mogą pisać różne rzeczy o różnych ludziach. Mamy wolną prasę. Jestem jednak przekonany, że jeśli nasze stosunki będą prawdziwie partnerskie, to i dziennikarze będą mieli mniej żeru.

Jeszcze przez chwilę spoglądał na premiera zimno, ale zaraz twarz mu złagodniała, na wąskich zaciśniętych ustach pojawiło się nawet coś na kształt uśmiechu.

- A nad kandydaturą na ministra transportu zastanowimy się. Jutro ją panu przedstawię.

Premier nie miał wątpliwości - Balcerowicz pił do prasowych enuncjacji, że pojawiły

się trudności w związku z obsadą stanowiska ministra transportu i, bez wątpienia, jego podejrzewał o nieczystą grę.

- Kto jest autorem tego przecieku? To błąd, cholerny błąd! Żak? Może Rybicki? On jest z Gdańska. Może Merkla nie lubi. A może Marian? Ale dlaczego nie uprzedził mnie o tym?

Jakby nie patrzeć, sprawa była nieprzyjemna: Balcerowicz jest przekonany, iż przeciek nie był przypadkowy. Dlatego pogroził odwetem. Dziś prasa napisała o Merkle, jutro może napisać o kimś innym - tak należało rozumieć jego apel o solidarne współdziałanie i rozwiązywanie konfliktów we własnym gronie, a nie na łamach gazet. Buzek doskonale wiedział, jaką prasę miał na myśli Balcerowicz. Żeby tylko prasę. Potraktował więc ostrzeżenie lidera Unii bardzo poważnie.

* * *

Pospałby dłużej, ale nie mógł. Marian zapowiedział się na śniadanie

Marian wpadł jak słońce przez otwarte okno. Wyglądał na wypoczętego, sukces sprawiał mu wyraźną radość. Widać było, że kocha ten ruch wokół siebie. Zanim usiedli do stółu odebrał z pięć telefonów.

- Muszę wyłączyć komórkę, bo nie pogadamy - powiedział wyraźnie szczęśliwy, że rozmówcy czekają w kolejce.

Buzek przypomniał sobie, że ktoś kiedyś powiedział mu, iż najtrudniejszym momentem w życiu każdego polityka jest ten, kiedy telefon przestaje dzwonić, kiedy nikt nie ma już najmniejszego interesu, nikt niczego nie chce załatwiać.

Kiedy nas to spotka?

Nie pozwolił jednak, by ta myśl na dłużej zagrzała miejsce w jego głowie. Odrzucił ją precz, ze wstrętem. Tym bardziej, że Maryś zasypał go pytaniami - jak było u Kwacha, jak zareagował, co powiedział, w ogóle jak tam jest, w tym pałacu... Premier opowiadał długo i ze szczegółami. Na końcu zdał relację z rozmowy z Balcerowiczem. Poczył też wymówkę, że nikt nie powiedział mu o planowanym przecieku do prasy.

- Trochę wyszedłem na idiotę, nie uważasz. Nie chciałbym drugi raz znaleźć się w takiej niezręcznej sytuacji.

- Nie przejmuj się nim. - Przewodniczący otarł usta chusteczką. Odłożył ją na stół, obok talerza.

Panowie przeszli do małego stolika, na kawę. Maryś wziął do ręki filiżankę i wypił łyżeczek. Po czym przysunął się w stronę premiera. Buzek zrobił to samo - posunął się na kanapkę w jego stronę. Teraz siedzieli tuż przy sobie - biodro w biodro. Mogli mówić wprost do ucha. Marian uznał jednak, że ostrożności nigdy dosyć - podszedł do stojącego przy ścianie telewizora i włączył go. Nie pamiętał dokładnie kto go tego nauczył, ale pamiętał, że każde dodatkowe źródło dźwięku skutecznie utrudnia czyste nagranie podsłuchiwanej rozmowy. Tylko baterii od telefonu komórkowego nie odłączył - ten etap był dopiero przed nim.

Pamiętaj, nie możemy zrobić fałszywego ruchu - powiedział przysunąwszy się z powrotem do premiera. W charakterystyczny sposób zadarł głowę, uwydatniając swój słynny podbródek. - Nie możemy się zdenerwować - szeptał - mamy robić swoje. To jest najważniejsze, robić swoje. Niestety z Unią przy boku. Nie ma innego wyjścia. Nawet ksiądz prymas to przyznał. Możemy oczywiście liczyć na Kościół, ale w modlitwie, w radzie. Publicznie ojcowie wspierać nas będą w razie absolutnej konieczności. Przestrzegają też byśmy nie wzywali imienia papieża nadaremno. Ojciec święty jest absolutnie z nami. Pamiętasz? „Tak trzymać, nie popuszczać”! Ale nawet on musi się liczyć z układem sił. A układ jest taki, że to Kwaśniewski jest jeszcze prezydentem. I dopóki nim będzie, Kościół będzie musiał ten fakt respektować. Dano mi wyraźnie do zrozumienia - są z nami, ale ze swoimi błędami zostaniemy sami. Dlatego musimy działać powoli, rozważnie. Merkla mamy z głowy. Przyjdzie czas na innych, ale teraz, w imię dobrych stosunków z Unią, trzeba tę sprawę załatwić do końca.

Wiesz jacy oni są wrażliwi na dekoracje; przy byle okazji powoływaliby komisje, zwoływaliby narady, ogłaszali rezolucje. Co nam to szkodzi? Obiecuję, że wszystko wyjaśnisz. Wydaj surowe polecenie komu trzeba. Niech sprawdzają - pół roku, rok. Ile będzie trzeba. A potem pozwól wyjść im z tego z twarzą. Rozumiesz?

Buzek zrozumiał bardzo dobrze: UOP wyjaśniał sprawę Merkla przez rok. Napracowali się chłopaki do siódmych potów - przegrzebali archiwa, przesłuchali świadków, próbowali nawet dotrzeć do jednego z najlepszych oficerów wywiadu, który rozpracowywał system łączności między „Solidarnością”, a jej brukselską delegaturą. Był to swoisty heroizm, gdyż człowiek ten nie ukrywał pogardy dla nowych kierowników tajnych służb - nie stanął do weryfikacji, nie wchodził z nimi w żaden układ. Podsuwano też „rozmówców” samemu Merklowi, ale nie dał się podejść. Przyjmował swój los spokojnie. W „Solidarności” było tak od zawsze - każdy kto wyrastał ponad przeciętność, wcześniej czy później stawał się celem pomówień, podejrzeń, plotek, aż wreszcie ginął w jakiejś kolejnej odsłonie „wojny na górze”. Ostatecznie wyjaśnianie „sprawy Merkla” do niczego nie doprowadziło. Co prawda, zakomunikowano oficjalnie, że nie ma najmniejszych podstaw, by podejrzewać go o jakąkolwiek współpracę ze Służbą Bezpieczeństwa, ale ani ministrem nie został, ani nie objął żadnego innego stanowiska państwowego. Przy okazji okazało się, że nie da się ustalić kim był ten tajemniczy gość, który owego jesienno-wieczoru 1997 roku, po Kapkowskim, przyszedł do rezydencji premiera na Parkowej, by ostrzec go przed powołaniem Jacka Merkla na ministra transportu. O dziwo, premier też nie mógł sobie niczego przypomnieć - ani jak jego gość wyglądał, ani jak się przedstawił. Mariana nikt o nic nie pytał, bo oficjalnie on w tym spektaklu nie występował. Po latach mówi się, że tym tajemniczym człowiekiem mógł być Konstanty Miodowicz, ale to jedynie domysł. Miodowicz, owszem, bywał u premiera na Parkowej, czasem nawet wchodził tam od strony Łazienek, ale co z tego?

* * *

Padło. Woda strużkami spływała mu z kaptura na brodę, spodnie, buty. Okulary zachodziły mgłą. Plac na Rozdrożu tonął w mokrej beznadziei. Samochody jak czarne duchy z jaskrawymi ślepiami przejeżdżały niekończącą się kawalkadą. Z nikąd do nikąd. Nie lubił tego miasta, był tu obcy, sam. Zawsze był sam - w bibliotece, na szlaku, na melinie - gdzieś w blokowisku Winogradów. Ale wtedy to była inna samotność. Z ludzką twarzą. I z nadzieją - że kiedyś to się skończy, że on jeszcze im pokaże. I rzeczywiście - na końcu takich myśli zawsze ktoś zapukał do drzwi, ktoś znajomy, życzliwy. Przyniósł ciasto, wieści z miasta, od kolegów ze związku... Tu nie było życzliwych.

- Szlag by was trafił!

Kałuża wyciśnięta z dołu kołami samochodu obfitym chluśnięciem zalała mu buty, nogi, spodnie. A krew duszę.

- Bardzo przepraszam panie pośle, że pan czekał. Korki.

- Mógłby pan trochę uważać! - rzucił wściekle zamiast „dzień dobry”.

Nieznajomy kierowca dopiero teraz zorientował się, że zmoczył posła od stóp do kolan.

- No to koniec, przeleciało mu przez głowę.

- To przez te dziury w jezdniach. Bardzo pana przepraszam.

Szofer skulił się jakoś w sobie, zmałał, był naprawdę wystraszony - wyrzucił mnie jak amen w pacierzu, myślał próbując jakoś ratować sytuację.

- O tu trochę błota zostało, pan poseł pozwoli...

Ścierczką próbował oczyścić mu spodnie, ale jego ręka została niecierpliwie strącona z dostojnej nogawki.

- Za dnia człowiek nie wie w co wjedzie, a co dopiero po nocy. Ale zaraz włączę ogrzewanie, spodenki w mig będą suche...

Pałubicki zrezygnowany machnął ręką.

- Jedźmy wreszcie!

Ruszyli. Zrazu wolno, ale i później nie za szybko. Zjechali ślimakiem w dół, na trasę Łazienkowską, w kierunku Saskiej Kępy. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedział, co to jest ta Saska Kępa. O tym, żeby wiedział, kto tak naprawdę go wiezie, w ogóle mowy nie było. Jeśli myślał, że tak zwane „wyborcze zwycięstwo”, to był w błędzie. Służby specjalne chodzą przecież własnymi drogami, nie koniecznie pokrywającymi się ze ścieżkami demokracji. Niby Pałubicki to rozumiał, ale nie dopuszczał do siebie myśli, że i jego jakaś niewidzialna ręka, jak pacynkę, założyła sobie na palce i porusza, w którą chce stronę. Tymczasem w oczach starych szpiegusów, właśnie ta jego naiwność czyniła z niego idealnego kandydata na szefa służb.

Pałubicki, nieświadom niczego, spokojnie dał się wieźć w nieznaną w nieznanym mieście. Samochód wolno posuwał się w korku. Trasa Łazienkowska jest niczym zaszpuntowana z obu końców rura. Owym szpuntem są tradycyjne, jednopoziomowe skrzyżowania, skutecznie dławiące próbującą wydostać się z „rury” rzekę samochodów. Gdy samochodów było mniej, trasa jakoś dawała sobie radę, gdy ich przybyło zatkała się na amen. Pałubicki nie zwracał jednak uwagi na to, co się wokół niego dzieje. Ciepło samochodu rozkleiło go trochę, a i zmęczenie ostatnich tygodni dało o sobie znać. Drzemał, a właściwie był w stanie jakby półsnu. Niby kontrolował swoje myśli, ale czy to była jawa czy sen - pewności nie miał. Dręczyło go dziwne uczucie, jakaś niczym nieusprawiedliwiona pewność, że oto jest w sytuacji, którą już raz kiedyś przeżywał.

* * *

Nie mógł sobie przypomnieć jaka to była pora roku. Ale też był w samochodzie. Jechał na ważne konspiracyjne spotkanie do Gdańska. Umówiony był z Lisem i Borusewiczem. Kierowcą był jego najbardziej zaufany łącznik, kolega właściwie. Wybierali boczne drogi, czas wyliczyli dobrze, żeby nie śpieszyć się za bardzo i nie kusić licha. Nagle, jakoś tak w środku podróży, zatrzymała ich blokada. Zrazu myślał, że to wypadek - wokół pełno było milicji. Po chwili zauważył jednak, że w błyskach kogutów gęsto przemykały również sylwetki jakiś cywilów. Zadrżał - nie miał wątpliwości, że wpadł. Kierowca jednak nie stracił fasonu. Wysiadł, rozprostował nogi i, jak każdy ciekawski, zaczął wypytywać, co się stało. On zaś starał się wtopić w tapicerkę, starał się być niewidoczny. Nawet nie patrzył w tamtą stronę, żeby przez przypadek nie ściągnąć milicyjnego wzroku. Poczul, że pocą mu się dłonie a serce, o wiele silniej niż jeszcze przed chwilą, trzepoce się pod swetrem. Kierowca śmiało wszedł w cywilno-mundurowy tłum. Po kilku chwilach wrócił, a stojący obok milicjanci rozsunęli się i pokazując na ich samochód nakazali jechać.

- Co to było?

- Kontrola drogowa.

- I coś im powiedział?

- Że wiozę lekarza do chorego dziecka. Oni są czuli na dzieci. Kurcze, udało się! Ale niewiele brakowało. Jeden, co go też zatrzymali do kontroli, powiedział mi, że to obława na „Solidarność”. Polują podobno na Zbyszka Bujaka. Ha, ha, ale numer! Żeby wiedzieli, że przejechał im koło nosa skarbnik „Solidarność”, to by się chyba ze złości pogryźli. Widzisz Januszkę jak dobrze, że dałeś się namówić na tę farbę. Jako blondyn jesteś zupełnie kimś innym. Nie do poznania choć z Poznania, no, nie? - kolega kierowca był z siebie wyraźnie zadowolony.

Otarł się o najgorsze, co może spotkać konspiratora. Poczul się jakiś zwiotczały, słaby. Cały był mokry. Niby wewnętrznie był przygotowany na aresztowanie, liczył się z tym od początku, od pierwszej chwili, gdy tylko postanowił działać w podziemiu. Wiedział jak się będzie zachowywał - nic im nie powie, niczego od niego nie wyciągną. Ani strachem, ani

biciem. Postanowił, że jeśli posadzą go z kryminalistami ogłosi głodówkę. Był zdecydowany przeprowadzić ją do końca. Nie podda się, nigdy!

Okazuje się, że co innego być herosem w wyobraźni, a co innego w rzeczywistości. Poza tym mogli go aresztować każdego dnia, ale nie dzisiaj. Nie dzisiaj! Nie mogli mu tego zrobić. To byłoby zwykłe świństwo. Z chłopakami z Gdańska miał naprawdę poważne sprawy do załatwienia.

* * *

Samochód podskoczył na dziurze w najśłynniejszym warszawskim highway'u. Pałubicki ocknął się z letargu.

- Gdzie jesteśmy?

- Już po drugiej stronie Wisły, ale ciągle w korku, panie pośle.

Nie wiedział jak długo drzemał, stracił rachubę. Świadomość miejsca i czasu wracała powoli.

- Po co mnie wezwali? - to było jedyne pytanie, które sobie zadawał. To, że kazano mu czekać na ulicy, że podjechał po niego tajemniczy samochód i nieznajomy kierowca wiózł go okrężnymi drogami, nie dziwiło go nic a nic. Widocznie tak było trzeba - konspiracja była jego drugą naturą. Pierwszą były górskie wędrówki... Niestety, dla Służby Bezpieczeństwa żadna z tych jego pasji nie była tajemnicą.

Wtedy, na szosie do Gdańska, też niepotrzebnie się bał, choć rzeczywiście - wszystko zorganizowano po to, żeby go solidnie przestraszyć. SB zależało na umocnieniu w nim przekonania, że ta „wojna” jest naprawdę, a nie na niby. Chcieli by jeszcze głębiej zapadł się w to swoje „podziemie”, przez co, siłą rzeczy, byłby jeszcze bardziej zdany na łączników.

Bezpiecze rzadko trafiał się przeciwnik aż tak nieporadny w konfrontacji z bezlitosnymi regułami gry, którą chciał uprawiać. Rozczytany w legendzie Armii Krajowej, bezkrytycznie wcielał w swoje konspiracyjne życie zasady, którymi kierowali się tamci bohaterowie. Wyobrażał sobie, iż jest jednym z nich - stosował te same metody kamuflażu, łączności, szyfrowania wiadomości, kontaktowania się ze światem zewnętrznym. Nie wziął tylko pod uwagę, że fachowcy z branży od lat te metody znają. Przeczytali te same książki.

W każdej działalności konspiracyjnej najdelikatniejszym ogniwem są łącznicy. Muszą to być ludzie ideowi, ale jednocześnie inteligentni - żeby nie doprowadzili za sobą tajniaków do kryjówki bohatera. Muszą dysponować nie tylko czasem, ale i charakterem. Niby Pałubicki to wiedział, a jednak popełnił wszystkie błędy, jakie były do popełnienia. Nie miał chyba łącznika, który nie współpracowałby ze Służbą Bezpieczeństwa. Nawet sześćdziesięciokilkuletnia babcia, która donosiła mu ciasto od poznańskich dominikanów, wpierw meldowała oficerom SB czy to szarlotka, ciasto ze śliwkami, czy może drożdżowe. Dominikanie unikali zresztą bliższych niż cukiernicze kontaktów z Pałubickim. W ich rozumieniu, jako rozvodnik był człowiekiem żyjącym w grzechu. Za to „babcie” oraz inni łącznicy opletli go swoją siecią tak szczelnie, że praktycznie nie mógł zrobić żadnego ruchu bez wiedzy swych prześladowców. A ponieważ lubił dreszczyk emocji, lubił odnajdować wyobrażenia o niebezpieczeństwie we własnych, realnych przeżyciach, to od czasu do czasu organizowano mu takie spektakle, jak ten na szosie. To był majstersztyk. Wtedy pilnowano zresztą nie tylko tego jednego miejsca, lecz całej trasy, iżby mu się żadna krzywda (choćby ze strony przypadkowego patrolu drogowego) nie stała.

Tragikomiczna jest ta kariera. Budzi zarówno zażenowanie jak i współczucie. SB to była machina bezwzględna i bezduszna, na zimno robiąca z ludzi pajaców. A przecież każdy człowiek jakoś czuje, ma ideały, rodzinę, znajomych. Chce czymś imponować, czymś się wyróżniać. Pałubicki chciał wyróżniać się patriotyzmem posuniętym do gotowości poświęcenia się za sprawę. I to jego szlachetne dążenie wykorzystano. Obrzydliwe. To tak jakby skopać dziecko.

Choć trzeba powiedzieć, że jeden jedyny raz bezpieka odegrała pozytywną rolę w jego życiu - uratowała je mianowicie. Podczas jakiejś gonitwy (on kochał być ściganym, kluczyć i gubić pogonie) zasłabł na torach kolejowych. Jego serce odmówiło mu posłuszeństwa w najbardziej nieodpowiednim momencie - gdy pociąg z daleka było już widać. Na szczęście tajniacy, którzy tego dnia trzymali przy nim dyżur, zdążyli przed lokomotywą - zdjęli go z torów, ułożyli na trawie i zawiadomili pogotowie. Odeszli, gdy Pałubickim zaopiekowano się fachowo.

Gdy po latach coś wreszcie zaczęło do niego docierać, nie uwierzył. Nie chciał i nie mógł uwierzyć. Jeśli miał jakoś żyć i działać, to musiał odrzucić prawdziwą historię swego konspirowania. Dlatego nigdy nie był w Modlinie. Przepastne kazamaty tej twierdzy są magazynem akt. Między innymi akt jego sprawy. Na jednej z półek, pośród wielu szarych, urzędowych teczek leżą te, w których zapisany jest jego los - śledztwo, proces. Dziewiętnaście tomów. Mógłby bez trudu dowiedzieć się prawdy.

Ci co go ośmieszyli, odeszli ze służby. Bez stawania przed komisją kwalifikacyjną, bez tłumaczenia się, skomlenia, honorowo. Pałubicki naprawdę miał pecha - trafił ze swoim bohaterstwem na jedną z najinteligentniejszych ekip w poznańskiej Służbie Bezpieczeństwa. Byli po dobrych uczelniach, umieli myśleć kombinacyjnie. Po przejściu na cywilną stronę życia nie musieli zapijać się z żalu, że to już koniec. Ale nie tylko oni byli dobrzy i nie wszyscy dobrzy odeszli.

- Jesteśmy na Saskiej Kępie, panie pośle. Jak spodenki?

- Przeschły.

- To dzielnica ambasad. Jedna z najdroższych w Warszawie. Do niedawna, bo teraz, gdy mosty są ciągle zapchane, to ceny tu spadają.

Pałubicki nie wykazał zainteresowania tematem. Swój dom budował w podpoznańskim Puszczykowie, nad pięknym łukiem Warty. To mu w zupełności wystarczyło. Kierowca zaczął kluczyć: wjeżdżał w Walecznych, potem nagle skręcał w kierunku Katowickiej, wyjeżdżał na Francuską, by znów znaleźć się na Walecznych, skręcić w Saską i wrócić na Trasę Łazienkowską. Pałubicki zrozumiał w lot - sprawdza czy nie mamy „ogona”.

* * *

Ci esbecy, którzy zostali w służbie, sprawnie zaadaptowali się w nowym otoczeniu. Jako oficerowie-patrioci mianowicie. Dobrze to wymyślili: owszem pracowali u Kiszczaka, ale służyli Polsce. Dla niej gotowi byli na każde poświęcenie - nawet na wstąpienie do partii.

Swoistym guru tej grupy był Gromosław Czempiński - oficer w stopniu pułkownika, pilot szybowcowy. Otoczony sławą najlepszego i najzdolniejszego. Jego najbliższymi współpracownikami byli, nieznanymi nikomu spoza wąskiego grona najbardziej wpływowych oficerów wywiadu - pułkownik Andrzej Nowak, z którym życie Czempińskiego dziwnie się splatało, i pułkownik Henryk Jasik. To za ich sprawą Wałęsa uległ fascynacji tajnymi służbami. Ze szczętem zawojowali też, zimnego na ogół, Andrzeja Milczanowskiego.

Dzięki temu po malutku, krok po kroczku, służby specjalne jeśli nawet nie stały się głównym reżyserem w teatrze pod nazwą „Trzecia Rzeczypospolita”, to na pewno zostały inspijentem - rozdawcą rekwizytów, nadzorczą aktorów. Zbudowały na nowo system powiązań, zależności, koleżeństwa, przyjaźni i kombatantstwa, który działa, a jakoby go nie było. I choć jego twórcy żyją teraz na marginesie wydarzeń i nie odgrywają już żadnej oficjalnej roli politycznej, to w teatrze pozostawili dobrze wyedukowanych następców - co prawda nie dorównujących im klasą i skalą politycznych zamierzeń, ale poczuwających się do ideowej wspólnoty, takich, którzy, nawet sobie tego nie uświadamiając, realizują ich koncepcje. Czyli idealnych.

Sztuka to była nie lada, bo przecież po 1989 roku wpływ na służby specjalne chciał

mieć każdy, kto dorwał się choćby do kawałeczka władzy. Kościoła katolickiego nie wyłączać. Od początku przemian politycznych w Polsce Kościół bardzo interesował się tajną policją. Jemu jedynemu oszczędzono skandali z agentami w sutannach. Sprawy załatwiano bezszelestnie i we własnym gronie mimo że, jak słychać, skala współpracy księży różnej rangi ze Służbą Bezpieczeństwa była ogromna. Hierarchowie byli absolutnie zdumieni, że tak wielu przedstawicieli ich cechu współpracowało z bezbożnym reżimem. Prawdopodobnie na skutek tej lekcji Kościół postanowił mieć przyczółki w służbach specjalnych, żeby już nigdy więcej nie być tak zaskoczonym. Nie chodziło mu o wpływ instytucjonalny oczywiście, lecz o ludzi. I dostał czego chciał. Z dnia na dzień najlepszą rekomendacją do pracy w tajnej policji stały się studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, działalność w Ruchu Oazowym, lub członkostwo w ZChN.

Ale wszyscy, którzy przychodzili do służb bez przygotowania, jedynie z politycznego nadania, w konfrontacji z zawodowcami takimi jak Czempiński, Nowak i Jasik - musieli przegrać. Nie mieli wiedzy, umiejętności, nie mieli pojęcia o technice tej pracy, byli całkowicie owładnięci politycznymi fobiami, co uniemożliwiało im chłodną analizę sytuacji i możliwości jakie się przed nimi otwierały.

I tak jest do dziś, gdy już ani Czempińskiego, ani Nowaka, ani Jasika w służbach nie ma.

Pałubicki nie różnił się od kolegów - też jechał na spotkanie nowego losu w przeświadczeniu, że „stare” odeszło bezpowrotnie.

- Za trzy minuty będziemy w rejonie Agrykoli - kierowca przerwał jego rozmyślenia. - Musi pan usiąść przy swoich lewych drzwiach. Gdy przejedziemy Wisłę, po dwustu metrach dojedziemy do mostka łączącego Jazdów ze skarpą Agrykoli. Wtedy na chwilę się zatrzymam. Pan wysiądzie, przeskoczy przez barierkę oddzielającą jezdnie i wsiądzie do samochodu jadącego w przeciwną stronę, który w tym samym momencie, w tym samym miejscu też na chwilę stanie. Jego tylne, lewe drzwi będą otwarte. On zawiezie pana na miejsce.

To był warszawski, niezawodny trik, stosowany przez agentów, którzy chcieli zgubić obserwację. Nawet jeśli jechaliby za nimi, to przecież nie przefruną z jezdni na jezdnię. Jednym ślimakiem muszą wjechać na Plac na Rozdrożu, a drugim zjechać na jezdnię w kierunku Pragi. W tym czasie można uciec gdzie tylko dusza zapragnie. Pałubicki pojął tę grę w lot. Poczul dawno zapomniany dreszcz emocji. Znow był w konspirze, znow robił bezpiekę w rulon. Przysunął się do drzwi, zebrał w sobie, skoncentrował. Oczy wbił w mrok rozjaśniany światłem latarni i samochodów. Wypatrywał kładki. Wreszcie, rozmazaną w deszczu, ale zobaczył ją. Silnik zmienił ton, samochód zaczął zwalniać. Jakiś niecierpliwy taksówkarz, któremu blokowali pas ruchu zaczął popędzać ich klaksonem. Nie reagowali. Kierowca hamował stopniowo, starając się być dokładnie w umówionej minucie w umówionym punkcie.

- Teraz! - krzyknął.

Pałubicki chwycił klamkę, wychylił się na zewnątrz... Coś go trzymało. Szarpnął się jeszcze raz i jeszcze - „coś” było silniejsze. Nie puszczało. Sytuacja robiła się nad wyraz nieprzyjemna. Nic nie widział. Otoczony szumem deszczu, chmurą mknących wokół samochodów - zgłupiał. Nie wiedział co robić. Zorientował się, że rękaw jego robionego na drutach swetra zaczepił o klamrę pasa bezpieczeństwa. Wełna była solidna, góralska - z owcy i waty, grubo spleciona, mocna. Wpadł w panikę, okulary zalewały strugi deszczu. Im silniej się szarpał, tym pas bezpieczeństwa mocniej się zakleszczał, tym dłużej to trwało, tym stojące za nimi samochody głośniej trąbiły. Po drugiej stronie barierki stało już auto, do którego miał się przesiąść. I tam zrobił się już korek, i po tamtej stronie kierowcy niecierpliwie miętosili klaksony i klęli na czym świat stoi.

- Spieprzaj, palancie! - Jego szofer stracił cierpliwość. Miał go dosyć. I, co najważniejsze, przestał się go bać. Stary warszawski cwaniak zorientował się, że ma do czynienia z gościem, który po ciemku i w deszczu z trudem sam siebie rozpozna, a co dopiero obcego

faceta, którego tak naprawdę nie widział.

- Wsiadaj pan wreszcie! - poganiał go kierowca samochodu, do którego miał się przesiąść.

- Co jest kurwa! - niosło się z deszczem po całej Trasie.

W tej dramatycznej chwili Pałubicki zdecydował się na czyn heroiczny - zdjął swój ukochany sweter i zostawił go w drzwiach odjeżdżającego samochodu. W samej koszuli, mokrym, zaczął pokonywać barierkę dzielącą stołeczną autostradę na pół. Pośliznął się i uderzył bokiem twarzy o stalową belkę. Nie zwracał uwagi na ból. Nawet nie wie kiedy znalazł się w środku tego drugiego samochodu. Ruszyli natychmiast. Nie zorientował się jakiej marki był wóz, nie znał się na samochodach. Poczł tylko jak niebywała prędkość startowa wciska go w miękkie poduszki tylnej kanapy. Za chwilę rzuciło go na drzwi, miał wrażenie, że leci w dół. Samochód zjechał z Trasy Łazienkowskiej w stronę Torwaru. Po krótkiej prostej, kierowca na lekko zaciągniętym ręcznym hamulcu, niemal w miejscu wziął prawy zakręt. Potem prosta, znów zakręt w prawo, znów prosta, tym razem długa, zakręt w lewo i ostro pod górę. Zorientował się gdzie jest dopiero koło budynku dawnego Komitetu Centralnego PZPR. Znał ten gmach z Dziennika Telewizyjnego, który w konspirze oglądał pasjami. Dobrze wiedział, że tu miał swoje leże jego główny, śmiertelny wróg - komuna. To była jego Bastylia, którą pragnął zdobyć. Tyle razy zmęczony oglądaniem telewizji, leżąc na wznak na jednym z tysięcy takich samych tapczanów, w jednym z tysięcy takich samych mieszkań poznańskich Winogradów, marzył, że na czele tłumu szturmuje otwarty na przetrzał dziedziniec KC...

Nic był w Poznaniu, tylko w Warszawie - w nieznanym samochodzie, wiozącym go nie wiadomo dokąd. Rychło jednak okazało się, że kierowca przywiózł go do jednego z licznych lokali konspiracyjnych dawnej bezpieki. Lecznicza 4 - doskonały punkt, szacowna, przedwojenna kamienica w samym Śródmieściu. O, „Solidarność” dobrze wiedziała, że zwykli ludzie latami czekali na jakiś ką, podczas gdy komuna, w najlepszych punktach polskich miast, miała tysiące takich mieszkań. To był jeden z głównych postulatów - zabrać komunie przywileje. Te mieszkania, dajmy na to. I oddać je zwykłym ludziom. Bo robotnik postanowił, że już nigdy więcej nie da się zrobić w jajo.

No i stało się sprawiedliwości zadość - przynajmniej na Leczniczej pod 4. Tam już mieszkał taki „zwykły” człowiek - Konstanty Alfredowicz mianowicie, cudowne dziecko nowej bezpieki.

Łało coraz bardziej. Może dlatego nikt nie zwrócił uwagi na na wpół gołego, przemoczonego do suchej nitki i zakrwawionego inteligencika w pionierkach. Na jego szczęście w bramie, pod ociekającym parasolem, czekał na niego sam gospodarz. Ledwo go poznał.

- Rany boskie, Janusz, co ci? Jak ty wyglądasz? Co się stało? Napad, tak? Wiedziałem, że te skurwysyny za nami chodzą, przecież wam mówiłem, ale nie wierzyliście.

Alfredowicz był roztrzęsiony.

- Nic mi nie będzie. Zimno mi tylko.

- Chodź szybko.

Na górze czekano na nich niecierpliwie. Sami mężczyźni. Oprócz Kostka, Zbyszek Nowek z Bydgoszczy, Tadek Rusak z Krakowa i Janek Wesołowski ze Szczecina, Bondaryk z Białegostoku, Tarnowski z Krakowa. Najwierniejsi, najbardziej oddani. Ich zadaniem było szukanie wszelkich możliwych haków na wszystkich, ze szczególnym jednak uwzględnieniem lewicy.

Głównym bowiem celem Milczanowskiego i Wałęsy była Polska Piłsudskiego z Wałęsą w roli Dziadka. To było do zrobienia. „Solidarność”, kato-prawica i nacjonaliści z Radia Maryja, popychani przez Episkopat: jak nic byliby gotowi uznać Wałęsę za Naczelnika Państwa albo za dożywotniego prezydenta. Może inteligencja trochę popiszczałaby, ale jak się załatawia inteligencję pokazał Lechu na przykładzie Turowicza.

Jednak te plany były nierealne bez zniszczenia lewicy. Chodziło oczywiście o postkomunę - ona zawsze była największym zagrożeniem dla solidarnych marzeń. Lewica Bugajowska, na przykład, Milczanowskiemu nie przeszkadzała wcale. Może dlatego, że jej wpływy polityczne ograniczały się do tej części Podkopy Leśnej, w której mieszkał jej lider.

- Woda, gdzie jest woda utleniona - wołał Nówek.

- I bandaże, i bandaże - nerwowo dokrzykiwał Wesołowski.

- Może ktoś zadzwoni po pogotowie? Kostek, gdzie u ciebie jest telefon? Masz komórkę, dzwoń. Kto pamięta numer? - Rusak rozglądał się bezradnie za książką telefoniczną.

- Spokój do cholery! Nigdzie nie dzwońcie. - Pałubicki otrząsnął się już z pierwszych dowodów koleżeńskiej troskliwości. - Nic mi nie jest. Uderzyłem się i tyle. Lepiej dajcie kawałek wołowiny, to sobie przyłożę, żeby opuchlizny nie było.

- Kostek, masz wołowe?

- Skąd mam wiedzieć, przecież Gosi nie ma.

- No to niech będzie lód. Pałubicki zrezygnowany machnął ręką.

Gospodarz zaprosił go do łazienki, dał suche ubranie.

- Przebierz się, bo się przeziębisz. A teraz potrzebny nam jesteś zdrowy. I to zdrowy jak koń.

- Co wy kombinujecie?

- Nic, nic. Ubierz się, a ja tymczasem zrobią gorącą herbatę. Wtedy pogadamy. Jest o czym!

Zamknął drzwi łazienki na zasuwkę. Odruchowo. Nawyk z konspiracy - wtedy też przekręcał każdy klucz w każdym zamku, zasuwiał każdą zasuwkę, zaciągał każdy łańcuch - żeby trudniej było go dopaść, żeby dać sobie więcej czasu na ucieczkę. Zdjął przemoczoną koszulę. Była pęknięta pod pachą.

- Cholera - zmartwił się szczerze.

Był z niej bardzo dumny - takiej kraty jeszcze nie miał: kombinacja czerni, bieli, zieleni, czerwieni i brązu - coś pięknego. I jaka ciepła. Może da się zeszyć? Rozpiął pasek i zabrał się za spodnie, które, podobnie jak koszula, nadawały się do wyżęcia. Zdejmowały się nie bez trudu, bo mokry sztruks lepiał się do ciała. Dopiero wtedy zauważył, że i one ucierpiały. Na udzie, pionowo w dół, biegła prawie aż do kolana poszarpana krecha rozdarcia. Spodnie na pewno nie były do uratowania. Jego poznańska natura została boleśnie ugodzona nieodwracalnością tej straty. Na szczęście majtki były całe, ale mokre. Z tej przyczyny stanął przed lustrem golutki. Na chwilę zatrzymał na sobie czujne spojrzenie. Coś go zaniepokoiło. Przyjrzał się bliżej, jeszcze bliżej, nie - w porządku. Myślał, że koło nosa wyskoczył mu jakiś wąż, ale to tylko drobina z błota. Cofnął się, odruchowo podał pierś do przodu. Kurcze, jak on chciał być dobrze zbudowany, muskularny. Nie wyszło. Postury był drobnej, a chorowity organizm nie pozwalał na nic więcej, niż piesze wędrówki. Gdy jednak uważnie się sobie przyglądał, tak od stóp do głów - to nie było najgorzej.

- Nie jest źle, nawet całkiem w porządku - szepnął pod nosem.

Jedyne o co mógł mieć pretensje do natury, to o to, że był taki, taki... taki sam jak tysiące innych bibliotekarzy. Wszedł do wanny i natychmiast usiadł. To z kolei nawyk powięzienny. Odkręcił prysznic, ciało wypełniło przyjemne ciepło. Po dłuższej chwili wytarł się grubym ręcznikiem. Na szczęście o fryzurę nie musiał się martwić. Nawet po kąpieli - włosy na głowie i na brodzie zawsze same mu się układały.

Gdy wrócił do salonu, herbata już dymiła z filiżanek. Tylko jego dymiła z kubka. Pociągnął łyk i aż go zatkało. Stracił oddech, oczy zaszyły mu łzami.

- Musisz to wypić. Herbatka z prądem. Moja specjalność, nic chwałac się. - Rusak był wyraźnie z siebie zadowolony. Gdy klienta zatykało, to znaczy, że proporcji herbaty i „prądu” nie pomylił.

Zanim mu cokolwiek powiedzieli, on musiał im opowiedzieć, w jakich okolicznościach

nabawił się tego lima, które pięknie już rozkwitło pod okiem. Gdy skończył wszyscy wpatrywali się w Kostka - organizatora spotkania.

- To niestety było konieczne. - Alfredowicz poczuł się w obowiązku wytłumaczenia się z tej samochodowej przebieżki. - W Warszawie jesteś, brachu, ciągle jak na froncie. Takie miasto. Nie to, co Gdańsk czy Kraków. Tu jesteś ciągle pod obserwacją. Oni są wszędzie, są dobrze zorganizowani. Tylko udają naiwniaczków. Pamiętasz? - klepnął Nowka po ramieniu - jak to było: dobry czerwony, to martwy czerwony.

- He, he, he! Rusak z Nowkiem śmiali się serdecznie, głęboko, szczerze. Z uciechy aż podskakiwali na swoich fotelach. Wesołowski patrzył na nich zdeglustowany.

- Nie dosłownie oczywiście, ale w samej zasadzie coś jest. - Kostek jął gwałtownie wycofywać się z żartu, który palnął w obecności, byłego co prawda, ale jednak sekretarza POP. Przed laty bowiem Wesołowski robił partyjną karierę w szczecińskiej DOKP.

- Nawet dobrze, że dziś tak leje. Łatwiej było cię Januszku ukryć - Rusak pośpieszył koledze z pomocą.

- Ale o co chodzi? Po co to zebranie? Co się stało? - Pałubicki wyraźnie odzyskał werwę. Co prąd, to prąd.

- Stało się to, że będziesz koordynatorem do spraw służb specjalnych. Będziesz rządził bezpieczeństwem! Premier już się zgodził.

Zatkało go. Niewysłowiona słodycz w jednej sekundzie wypełniła całą jego duszę. Zawsze tego pragnął. Już jako młody chłopak marzył, że będzie bohaterem jak Hans Kloss. Że też będzie narażał się dla ojczyzny i jak Hans będzie wodził wrogów za nos. Chwilami to już sam nie wiedział czy bardziej chciałby być Hansem Klosssem, czy Jankiem Kosem. Za tym drugim przemawiał Szarik. Kochał tego psa. Dla tej miłości gotów był nawet zrezygnować z kariery szpiega-patrioty na rzecz prostego, psiego przewodnika. Ale musiałby to być Szarik.

Kostek coś do niego mówił, lecz on nie rozumiał co. Potrzebował dłuższej chwili, żeby strzepnąć z siebie chłopięce marzenia, które tak gwałtowną zalały go falą.

- A Marian? - zapytał niepewnie.

- Marian zachowuje się tak, jakby go ktoś na sto koni wsadził. Tak go ten pomysł ucieszył. Przecież wiesz, jak on cię lubi. Do niewielu ma takie zaufanie, jak do ciebie.

Jeszcze nie tak dawno był skromnym, poznańskim bibliotekarzem. Teraz będzie jednym z najważniejszych ludzi w państwie. Duma go rozpieęła. To była największa nagroda, jaka mogła go spotkać za te wszystkie lata poniewierki - po górskich schroniskach, na uniwersytecie, na Winogradach, w więzieniu. Roztkliwił się. Wreszcie skończy swój dom w Puszczykowie, odda dług matce i bratu, stanie na nogi. Odruchowo, na całą swoją długość, wyprostował się w fotelu, łokcie ściągnął, podniósł brodę, poprawił trochę przekrzywione okulary. No, pomyślał, pokażemy czerwonemu, gdzie raki zimują. Już on im się dobierze do tyłka.

Nie potrafiłby powiedzieć dlaczego, ale niespodziewanie głosy kolegów zaczęły docierać do niego jakby z oddali, jakby zza ściany. Kolegów już nie rozróżniał, słowa jeszcze tak. Podnieceni przekrzykiwali jeden drugiego:

- Pamiętaj, musimy zrobić wszystko, żeby Marian został prezydentem. W pierwszym rządzie trzeba wyciąć do reszty całą starą bezpiekę.

- Żeby kamień na kamieniu nie został...

- Wypalić gorącym żelazem...

- Żeby już nigdy tam nie wrócili. Nigdy...

- Najlepiej walnąć ich po kieszeni. Chłopaki już myślą nad taką ustawą, że jakby któryś chciał wrócić, to straci dotychczasowe uprawnienia. Będzie zaczynał od nowa - wysługę i te rzeczy. To naprawdę niekiepski pomysł.

- A potem weźmiesz się za magistrą. Magistrą musimy załatwić raz na zawsze. Ale to

później. Na razie odpocznij. Czeka cię sporo uroczystości, wiele publicznych występów: ślubowanie, inauguracyjne posiedzenie rządu. No, a potem do roboty. Na Rakowiecką wprowadzał cię będzie premier osobiście.

- Powodzenia, stary. A teraz pij swoją herbatkę. Nie możesz chorować.

Wzrok odzyskiwał ostrość, łzy przestały napływać do oczu. Ten głos potrafił już dopasować do osoby - to Rusak. W sercu czuł błogość, w żołądku gorąc. Nawet nie wie kiedy zasnął. O odrzuceniu przez prezydenta kandydatury Miodowicza nie powiedzieli mu. Żeby się nie stresował, że nie był pierwszy.

MAJSTER

Jesień tego roku nie była w Szczecinie ładna. Ciągle padało, od zatoki wiał nieprzyjemny, mory wiatr. Było jeszcze dość ciepło, ale co z tego, kiedy nie chciało się wyjść z domu. Szef UOP przyleciał na podszczecińskie lotnisko w Goleniowie JAK-iem 40. Stamtąd Lancia, która w nocy pokonała trasę Warszawa-Szczecin, zawiozła go wprost na ulicę w Małopolską, do delegatury. Choć Milczanowski wchodził do firmy od frontu, to nieliczni przechodnie nawet nie zwrócili na niego uwagi. Nikt go nie poznał. Ludzie byli zabiegani i zbyt zajęci swoimi sprawami, żeby zajmować się takimi drobiazgami, jak niespodziewana wizyta jakiegos Milczanowskiego. Jednak dla funkcjonariuszy delegatury przyjazd szefa był wydarzeniem poważnym. Jedni liczyli na szczęśliwy traf, na to, że zatrzyma się na nich jego łaskawe, obiecujące awans spojrzenie, inni obawiali się, że po tej wizycie będą musieli pożegnać się z pracą. Wewnątrz UOP wszyscy przecież już wiedzieli, że weryfikacja weryfikacją, a polityka polityką. Już niejeden „zweryfikowany” wyleciał za drzwi.

Ale tym razem Milczanowski przyjechał z gałązką oliwną w dziobku. Ze wszystkimi się przywitał, tego i owego poklepał po ramieniu, niektórych zapytał o rodzinę - no słodkie, dobre panisko. Wkrótce wyjaśniło się o co mu chodzi.

- Panowie - zwrócił się do oficerów. - Musimy pomóc panu premierowi.

I dalej mniej więcej w tym stylu:

- Lech Wałęsa, jako przywódca robotników, ma już zapewnione miejsce w historii. Ale do rządzenia państwem potrzebny jest ktoś całkiem innego kalibru. Tu już nie wystarczy umiejętność organizowania strajków. Potrzebny jest autorytet na skalę nie tylko krajową, ale i międzynarodową. Takim autorytetem jest bez wątpienia pan premier Mazowiecki. Dlatego pomóżmy mu, koledzy.

Młodszy, nic nie rozumiejąc, popatrywali na siebie zdumieni. Starzy natomiast rozumieli się bez słów, bez spojrzeń. Podśmiewali się w duchu - długośmy się nabyli „apolityczną służbą”. Milczanowski jakby usłyszał te ich myśli.

- Oczywiście nie wolno nam zrobić niczego, co wciągnęłoby nas w politykę. Ci, którzy mnie znają wiedzą, że dla mnie liczy się przede wszystkim interes państwa. Państwo ponad wszystko, panowie!

Spojrzał surowo po zebranych. Nos mu się wyostrzył, lekko uniesiona głowa sprawiała, że patrzył na zebranych jakby z góry. Jak gawron jakiś. Tę minę miał naprawdę dobrze wystudiowaną. Po chwili rysy mu złagodniały. Zresztą cały jakby zmiękł, złagodniał, stał się miły jak przytulanka.

- Ale właśnie dlatego proszę o serdeczną pamięć o panu premierze. Oczywiście zabraniam jakichkolwiek „czarów nad urną”, niemniej w gronie rodziny, znajomych, możemy przecież wypowiadać swój prywatny pogląd, możemy wpłynąć na ich postawę. Jeśli każdy

pracownik resortu, każdy z nas, przekona do premiera choćby tylko trzy osoby, to będzie on od nas miał kilkadziesiąt tysięcy szabel, panowie. To dużo, to może decydować o losie kraju. I o to proszę - pamiętajcie o Polsce. Tylko tyle i aż tyle.

Zapadła krępująca cisza. Ale trwała krótko. Milczanowski ze zręcznością prestigitatora przeszedł do spraw bieżących, do braku etatów, pieniędzy, mieszkań, do zadań, które stoją przed tą najdalej na zachód wysuniętą palcówką UOP. Ćwiczeni w karności oficerowie szybko podchwycili temat. O wyborach w ogóle nie było już mowy.

To był najbardziej publiczny dowód wdzięczności złożony Mazowieckiemu przez szefa tajnej policji. To właśnie Mazowieckiemu Milczanowski zawdzięczał posadę pierwszego kierownika Urzędu Ochrony Państwa. Początkowo premier oferował mu inne stanowisko - zastępcy Prokuratora Generalnego. Wydawało się to logiczne - wszak Milczanowski przez wiele lat był praktykującym, szczecińskim prokuratorem. Co prawda, o jego zawodowych przymiotach wypowiadano się różnie ale po pierwsze - Mazowiecki mógł o tym nie wiedzieć, a po drugie - mimo wszystko z urzędem prokuratorskim miał Milczanowski o wiele większe obycie niż z tajnymi służbami. Okazało się jednak, że nigdy do końca nie wiadomo, co w człowieku siedzi.

Prokurator okazał się idealnym policjantem w służbie swych politycznych druhów. Na zewnątrz doskonały aktor, świetnie obsadzony w roli państwowca. Od środka człowiek zżerany żądzą zemsty za swą ponad dwuletnią odsiadkę w stanie wojennym. Nigdy nie puścił tego w niepamięć.

Swojego przeznaczenia szukał tylko chwilę - incydent z oddaniem się w służbę Mazowieckiemu był krótkotrwały i nic nieznaczący. Rychło z jaskrawą wyrazistością ujrzał swą szansę u boku Wałęsy. Nabrał przekonania, że ten w gruncie rzeczy naiwny i prosty człowiek, oczarowany pozorną mocą i złudną miłością swych poddanych, łatwo pozwoli sobą kierować. Tym bardziej, że Milczanowski był pewien, iż służby specjalne posiadał na własność. Wierzył w to bezgranicznie, mocno, gorąco.

Wyczuł wiatr zaraz po pierwszej turze pierwszych powszechnych wyborów prezydenckich - gdy już było wiadomo, że Mazowiecki przegrał z kretesem nie tylko z Lechem, ale nawet z nieznanym nikomu Stanem Tymińskim. Szef tajnej policji od razu stał się dla Wałęsy pożyteczny - urząd, którym kierował, wypuścił w świat nieprawdziwe, jak się okazało, informacje o podejrzanych podróżach Stana Tymińskiego do Libii. Prasa, radio i telewizja chętnie je podchwyciły i bez wstrętu zrobiły z konkurenta Wałęsy do prezydentury, kogoś na kształt agenta Kadafiego. Na dodatek faceta, który w przerwach w spiskowaniu i zacieraniu własnych śladów, pasjami biją żonę. Wtedy właśnie, nadzorowane przez Milczanowskiego tajne służby niezależnej już Rzeczypospolitej, po raz pierwszy zastosowały metodę fabrykowania faktów niszczących politycznego przeciwnika oraz przeprowadziły ćwiczenia praktyczne z użyciem mediów. Jedno i drugie mieli w przyszłości udoskonalić i intensywnie wykorzystywać.

Podczas tej pierwszej kampanii prezydenckiej zaczęły tworzyć się zręby grupy towarzysko-zawodowej, zwanej potem „grupą majstra”. „Majstrem” był oczywiście Milczanowski, a przezwisko wymyślili jego najbliżsi współpracownicy - dawni oficerowie SB. Mówią, że konkretnie płk Zygmunt P. Wyrażało ono „uznanie” dla jego zawodowych zdolności. Nazywając go „majstrem” sami stawali się jego „uczniami”. Stare, długo szkolone szpiegusy miałyby terminować u kresowego prokuratora? - jawne kpiny! Ale to wcale nie były kpiny - to była skuteczna socjotechnika. W czystej postaci, można powiedzieć.

* * *

Zacząło się w tymże 1990 roku. Twórcą nowego wywiadu (już nie PRL, a RP) był pułkownik Bronisław Zych. Jego zastępcami byli pułkownicy Jasik i Czempiński. Ci trzej zadbali, żeby kadra wywiadu z możliwie najmniejszymi stratami przekroczyła granicę epok.

Nadszedł jednak moment, kiedy Milczanowski wprost zażądał od nich wiedzy o agencji, którą Służba Bezpieczeństwa zbudowała w „Solidarności”. Zych nie zgodził się, Jasik podobno tak. Ta scena żyje w esbeckich opowieściach, przekazują ją sobie z ust do ust. Po latach szef jednego z wydziałów w dawnym wywiadzie, płk Henryk B. powiedział, że w czasie tych kilku krótkich chwil Jasik zrobił coś, przez co żaden z kolegów już nigdy nie poda mu ręki.

Co jednak dla dawnych towarzyszy było zdradą, dla Milczanowskiego było aktem szczerzej lojalności. Od tamtego dnia dla Jasika nastąpił najtłustszy okres w życiu. Jego „wiek złoty”. W miarę upływu czasu w MSW ukształtował się stabilny układ kierowniczy: Milczanowski został ministrem spraw wewnętrznych, Jasik jego prawą ręką. Czempiński faktycznie kierował wywiadem, mimo że na początku stanowisko szefa wywiadu oficjalnie piastował Janusz L.

Ten L. miał ambitnego zastępcę - Janusza W., który bardzo wnikliwie obserwował, co się wokół dzieje. Solidnie to zresztą dokumentował.

Janusz L. odszedł w lecie 1994 roku. Pełniącym obowiązki dyrektora został więc jego zastępca - onże Janusz W., który był przekonany, że wreszcie, po latach czekania na swoją kolej, zostanie pełnoprawnym dyrektorem. Postanowił jednak podnieść własną wartość, przysporzyć własnej kandydaturze nowych atutów. W tym celu „złamał” jednego z uczestników licznych, ale niekoniecznie legalnych operacji finansowych, w których oficerowie wywiadu, w latach 90. wyspecjalizowali się. Nie wiadomo jak to zrobił, dość, że facet zgodził się nagrywać swoje rozmowy z innymi uczestnikami takich transakcji: Grzegorzem Ż. - finansowym doradcą UOP, Leszkiem C. - właścicielem jednej z firm założonych przy pomocy służb specjalnych i Zbigniewem Sz. - pracownikiem wywiadu.

Z tych nagrań powstał stenogram, który Janusz W. zaprezentował Andrzejowi Milczanowskiemu. Punkt po punkcie zreferował ministrowi, co ustalili. Milczanowski dostał szału, krzyczał coś o prokuratorze, o sądzie, ale, co dobrze o nim świadczy, nie zapomniał podziękować Januszowi W. za uczciwość i pryncypialność. Janusz W. wyszedł z jego gabinetu pewny awansu.

Milczanowski wezwał jednak do siebie Czempińskiego z Jasikiem i pokazał im, co Janusz W. uskładał. Jasik uderzył w ton pojednawczy, Czempiński zaś odpowiadał hardo. Jak tam dokładnie między nimi było - nie wiemy, ale konkluzja była jednoznaczna - jeśli zaczniemy się nawzajem topić, to utoniemy wszyscy. Podkomendni uświadomili Milczanowskiemu, że na jednej z operacji o kryptonimie, powiedzmy, „Warta”, są jego odręczne adnotacje, świadczące o tym, że dał zgodę na użycie pieniędzy wywiadu do gry na giełdzie.

Musiał to pamiętać. Zatwierdzał skrócony opis całej transakcji. Nie mógł też nie wiedzieć, że jej autorem był Grzegorz Ż., jeden z głównych oskarżonych w aferze FOZZ. Wywiad kupił akcje „Warty” na rynku pierwotnym, w sprzedaży zamkniętej, licząc, że po wejściu na parkiet ich cena podskoczy, tak jak nie tak dawno wystrzeliła w górę cena akcji Banku Śląskiego. Tym samym jednak UOP przemienił się w giełdowego gracza, choć ustawa wcale mu takich zadań nie powierza. Cóż Milczanowski mógł zrobić w takiej niezręcznej sytuacji? Odpowiedź nasuwała się sama: taki wścibski facet jak Janusz W. w żaden sposób nie mógł zostać dyrektorem wywiadu. Niech Bóg broni! On wręcz całkiem ze służby musi odejść.

Co też się i stało.

Tak oto Milczanowski, który oparł się esbecji płacąc za to więzieniem, jako „majster” z łatwością poddał się argumentom jej najwybitniejszych synów.

Szybko polubił swoją „ksywkę”. Ludzie „majstra” zaś zaczęli wyróżniać się poczuciem jakiejś szczególnej wspólnoty, misji, wtajemniczenia, wzajemnego zaufania, gotowością do wykonania każdego zadania, oddania szefowi i szefowi szefa, rzecz jasna.

* * *

Po raz pierwszy nazwisko Milczanowskiego jako opozycjonisty, a nie tylko prokuratora stojącego na straży „socjalistycznej praworządności”, wypłynęło w latach 80. Bezpieka zajęła się rozpracowaniem kanału między ekspozyturą „Solidarności” w Brukseli a Polską. Długo nie szukali. Wykryli, że szlak wiedzie via Skandynawia, skąd, za cichą zgodą premiera Olafa Palmego, przez Szczecin i Gdańsk przemycano wyposażenie dla podziemia. Szczecińskim ogniwem tej siatki okazał się Milczanowski. Polecono go miejscowej komórce SB. Poszło sprawnie - wkrótce władze zaczęły szczegółowo kontrolować korespondencję i przesyłki kursujące między Brukselą i Polską. Najbardziej głośne wpadki solidarnościowej kontrabandy zdarzały się właśnie w Szczecinie. Również dorobek publicystyczny podziemia, który poprzez Szczecin wysyłany był na Zachód, w całości przechodził przez ręce bezpieki.

Milczanowski sprawował nadzór nad podziemną drukarnią. Wszyscy zamieszani w tamte okoliczności esbecy przyznają, że był bardzo nieufny. Wielokrotnie podstawiano mu agentów, próbowano nawiązać z nim „dialog”, wciągnąć w jakąkolwiek grę. Wysiłki najbardziej rutynowanych oficerów, zarówno miejscowych jak i specjalnie do Szczecina przysyłanych, paliły na panewce.

A jednak Milczanowski nie pozostał dla bezpieki niezdobytą twierdzą. Ścieżkę do niego wytyczył przypadek. Razu pewnego umieścił swoją drukarnię w mieszkaniu szczecińskiej lekarki. Melina wydawała się poza wszelkimi podejrzeniami - pani doktor była bowiem lekarzką w szpitalu MSW. Dama miała jednak przyjaciela, który okazał się być współpracownikiem Wojsk Ochrony Pogranicza, co w miastach takich jak Szczecin nie było niczym niezwykłym. Nic o tym nie wiedziała, za to on dobrze wiedział, co zrobić z tym, co mu opowiadała. Przez wiele miesięcy drukarnia była więc pod całkowitą kontrolą. Nawet teraz, po dwudziestu latach, oficerowie SB dostają wysypki na samo wspomnienie tych tasiemcowych i nudnych jak flaki z olejem wypracowań (zwłaszcza autorstwa Romualda Szeremietiewa), które jako „głos podziemia” trafiały do szczecińskiej drukarni pana Milczanowskiego, a które oni z obowiązku musieli czytać przed drukiem.

Może któryś z gliniarzy był nieostrożny, a może specjalnie „puścili farbę” - w każdym razie na mieście zaczęto coś przebąkiwać. W pewnym momencie działacz „Solidarności” z lat 80., Stanisław Możejko, na jednym ze spotkań Tymczasowej Komisji Krajowej, zarzucił Milczanowskiemu współpracę z bezpieką. Po latach Możejko bagatelizuje ten incydent.

- Może w gniewie coś chlapanąłem, ale to bez znaczenia. Jak kłótnia w rodzinie - różne rzeczy się mówi, choć przecież nie bierze się ich na serio.

Zaprzeczenie Możejki jest jednoznaczne i nie sposób nie liczyć się z nim. A jednak nie brakuje podejrzliwych, którzy nie mogą zrozumieć co się stało? Najbardziej powszechne tłumaczenie jest takie, że Możejko doszedł do wniosku, iż nie ma sensu kopać się z koniem. Trzeba trafu, że gdy tylko wykazał się takim rozsądkiem, to i szczęście też się wykazało - nie zapomniało o tuzinkowym, było nie było, działaczu „Solidarności”. Gdy nie powiodło mu się w politycznym życiu, sam pan Balazs podał mu rękę, przytulił do swej szerokiej piersi i zatrudnił w swoim świnoujskim biurze senatorskim. Możejko dostał miejsce w ciemnej norze z oknem na podwórze, plastikową tackę na służbowy czajnik, torbę cukru i parę szklanek mytych wedle potrzeb, ale nie musiał wycierać bruków. Miał darmową prasę, żeby być na bieżąco w polityce wielkiej i małej oraz poczucie uczestniczenia w grze. Dlatego znosił swój los godnie, a przede wszystkim więcej o Milczanowskim głupstw nie opowiadał. I doczekał się - nie dość, że został prezydentem Świnoujścia to, co niewątpliwie jeszcze cenniejsze, cieszył się przyjaźnią samego Jana Wesołowskiego, szefa szczecińskiej delegatury UOP. Są na „ty”.

Skoro jednak Milczanowski nie był agentem wywiadu SB - przeciwnie solidnie od bezpieki ucierpiał, to dlaczego po latach, gdy już został szefem wpierw UOP, a potem całego MSW i gdy swoich prześladowców miał na wyciągnięcie ręki, żadnego nie ruszył. Oto jest

pytanie! Szły pod nóż całe departamenty, tymczasem za jego czasów wywiad pozostał praktycznie nietknięty.

Wszyscy zapewnniają, że przyczyn jego postępowania należy upatrywać w wielkiej, romantycznej wręcz fascynacji służbami. Milczanowski poddał się urokowi, atmosferze i urzekającym wyobraźnię zapachom tajnych misji, cichego frontu.

Jak się zdaje to jednak tylko część prawdy. Owszem - Milczanowski niewątpliwie uległ tajniackim wdziękom, ale ani przez moment nie zapomniał o swoich przeszłych krzywdach. Przyciął się i czekał. Nie chciał pogłębiać i niszczyć pojedynczych oficerów. Chciał zwycięstwa pełnego, zemsty całkowitej. Chciał widzieć na pieńku głowę, nie rękę. Starannie się do tego przygotowywał. Długo i cierpliwie budował niezbędną do ataku infrastrukturę - tak w Urzędzie, jak w świecie polityki i mediów. Jeśli chodzi o prasę, to zawsze dbał o dobre kontakty z dziennikarzami. Nigdy nie okazywał im zniecierpliwienia, zawsze miał dla nich jakąś świeżą informację, nie zapominał o bon motach. Opłaciło się stokrotnie: prasa szybko wykreowała go na „bezpartyjnego fachowca”. Tak bardzo zresztą uwierzyła potem w stworzoną przez siebie postać, że nikogo już nie interesowało kim Milczanowski jest naprawdę, do czego dąży i jak się ma ten jego odświętny portret „państwowca”, do konterfektu codziennego, czarno-białego. A przecież w jego przypadku nawet najgłupszemu redaktorowi konfrontacja ideału z oryginałem powinna dawać do myślenia.

Czy to na przykład normalne, że właśnie za czasów Milczanowskiego, reprezentanci służb specjalnych demokratycznego państwa, udali się do stolicy „imperium zła”, by nakłaniać rosyjskich kolegów do współpracy wymierzonej w legalnie działającą polską partię polityczną i w jej liderów? A tak właśnie było! - ludzie Milczanowskiego układali się z Rosjanami przeciwko Polakom.

* * *

Był wrzesień 1991 roku. Zarząd Kontrwywiadu Urzędu Ochrony Państwa rozpoczął operację „Pamela”, którą prowadził do marca 1992 roku. Kontrwywiadem kierował wówczas, późniejszy poseł AWS - Konstanty Miodowicz. Termin, w którym „Pamela” wystartowała pokrywa się z rozpoczęciem kampanii wyborczej do Sejmu, który miał nie być już „kontraktowy”, tylko wyłoniony w wyborach całkowicie demokratycznych.

Sprawa operacyjnego rozpoznania o kryptonimie „Pamela” polegała na wszechstronnej inwigilacji polityków lewicy, zarówno czynnych jak i tych, którzy zakończyli już publiczną działalność. Intensywnie śledzeni byli Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller (samych zdjęć zrobiono mu z ukrycia ok. 800), Ireneusz Sekuła, Tadeusz Iwiński i inni posłowie SdRP. Zwłaszcza wobec lidera tej partii, Kwaśniewskiego, zastosowano wszelkie możliwe środki łącznie z (nieudaną zresztą) próbą wprowadzenia do jego kręgu towarzyskiego agentki o pseudonimie „Jola 2”, w odróżnieniu od „Joli 1”, czyli pani Kwaśniewskiej. Aleksandrowi Kwaśniewskiemu nadano kryptonim „Waga”.

Ponieważ urobek z tej akcji był marny, a wynik wyborczy lewicy całkiem niezły, więc i potrzeba jej politycznego osłabienia była coraz większa (zwłaszcza w obozie prezydenckim). Rada w radę - postanowiono udać się po pomoc do byłego „wielkiego brata”. Uznano widocznie, że skoro na miejscu nie ma dowodów „zdrady” i „przestępstw”, to muszą być tam.

W rezultacie 27 stycznia 1992 roku z misją do Moskwy odleciała grupa specjalna pod dowództwem płk. Zygmunta P., głównego specjalisty w Zarządzie Śledczym UOP. Pobyt miał charakter ściśle poufny i trwał do 7 lutego 1992 roku.

Gospodarzem ze strony polskiej był gen. Zdzisław Sarewicz, rezydent UOP w Moskwie. Agenci Urzędu Ochrony Państwa odbyli wiele rozmów z przedstawicielami rosyjskich służb specjalnych i prokuratury, między innymi z Siergiejem Aristowem, naczelnikiem wydziału do spraw specjalnego znaczenia Prokuratury Generalnej Federacji Rosyjskiej i płk. Kariasiowem, oficerem śledczym w Prokuraturze Generalnej Federacji Rosyjskiej.

Oficjalnym pretekstem do rozmów była, rozdmuchiwana w Polsce do monstrualnych rozmiarów, sprawa pożyczki KPZR dla PZPR. Ale tak naprawdę rozmowy dotyczyły czego innego. Funkcjonariusze Urzędu Ochrony Państwa za wszelką cenę chcieli zdobyć „dowody” na to, że polska opozycja parlamentarna wywodzi się z „nurtu zdrady narodowej” - żeby wyrazić to najbardziej nienawistnym językiem radykalnej prawicy. Polska policja polityczna używała różnych sztuczek i tysięcy argumentów, żeby przekonać rosyjską policję polityczną do swego pomysłu. Sugerowano Rosjanom, że SdRP jest również dla nich niebezpieczna: jej ranga i znaczenie w Polsce mogły stanowić zaraźliwy przykład dla, będących w ostrym konflikcie z prezydentem Jelcynem, rosyjskich komunistów. Sukces wyborczy SdRP i SLD zachęci rosyjską opozycję do uporu i aktywności i w tym sensie może być groźny dla rosyjskich władz. Wniosek - wyeliminowanie SdRP z polskiej sceny politycznej będzie służyło rosyjskim demokratom, prezydentowi i rządowi Rosji...

Wymowa tych działań UOP jest dosyć ponura: oficjalna agenda rządowa, najprawdopodobniej za wiedzą najwyższych czynników państwowych (bo nie wyobrażam sobie, że była to prywatna akcja Milczanowskiego i jego oficerów) - zadenuncjowała obcemu mocarstwu legalną, parlamentarną opozycję. Co więcej - w interesie obcego mocarstwa sugerowano wspólne jej zniszczenie.

No więc „państwowiec” czy może raczej „internacjonalista”?

Milczanowski tłumaczył się później, że rozmawiano tylko o pożyczce. A jednak rozmowy na temat wspólnego wykończenia lewicy prowadzono, choć przedtem starannie je zakamuflowano! W tym celu polska delegacja podzielona była na dwie części: pożyczką zajmowała się ta, której przewodził płk P. i moskiewski rezydent UOP - gen. Sarewicz. Druga grupa, składająca Rosjanom ofertę współpracy, była supertajna i nieoficjalna. Kierowali nią Bartłomiej Sienkiewicz (obecnie wysoki rangą aparatczyk Platformy Obywatelskiej) i Wojciech Brochwicz (później wiceminister spraw wewnętrznych i administracji, na skutek wewnętrznych rozgrywek w AWS wywalony z hukem przez koordynatora Pałubickiego).

Nie jest tak, że ta misja, jak i inne „wschodnie” kontakty polskich tajniaków, nie przyniosły żadnych rezultatów. Kropla bowiem nie tylko draży skałę, lecz nawet jelicynowską administrację. Uważni obserwatorzy polskiej sceny politycznej z łatwością wyliczą kilka co najmniej rosyjskich akcji „wspomagających” belwederczyków w ich przepychankach z lewicą.

Już na jesieni 1991 roku, gdy SLD uzyskiwał obiecujący wynik w wyborach do Sejmu, w Moskwie wydobyto z archiwów i puszczono w obieg dokumenty na temat tej pożyczki zaciągniętej przez PZPR u KPZR. Każdy, kto choć trochę zna stosunki rosyjskie, wie że tam bardzo starannie pilnuje się poradzieckich archiwów i żadne „przecieki” nie zdarzają się, a na pewno nie zdarzają się przypadkowo.

Administracja Jelcyna ponownie pośpieszyła z pomocą belwederczykom w 1993 roku, kiedy w Polsce zbliżały się kolejne wybory, a lewica wypadła w sondażach jeszcze lepiej niż przed dwoma laty. Wtedy Jelcyn osobiście przywiózł do Warszawy wyciągi z tzw. teczek Susłowa, mające świadczyć, że w 1981 roku ZSRR ani przez chwilę nie planował interwencji w Polsce, a Andropow i Susłow gotowi byli nawet zaakceptować przejęcie władzy przez „Solidarność”. Wszyscy historycy są zgodni, że te dokumenty mają bardzo nikłą wiarygodność, charakteryzują się manipulacyjnym doбором i rzucającymi się w oczy sprzecznościami z innymi źródłami. Jaki więc był sens tego jelicynowskiego „odkłamywania” polsko-radzieckiej historii? Nawet przy sporym wysiłku trudno uwierzyć, że jelicynowscy archiwiści tak prostacko manipulowali dokumentami po to, żeby oszczędzić Breżniewa i ukryć jego brutalne naciski na polskie władze oraz nieskrywane przygotowania do interwencji zbrojnej państw Układu Warszawskiego. Z całą pewnością chodziło raczej o dołożenie Jaruzelskiemu, żeby w konsekwencji pogрузić Kwaśniewskiego i Millera - nie dość że w roku 1981 czynnych i nietuzinkowych działaczy politycznych, to jeszcze nigdy potem nie wyrzekających się swojej

przeszłości.

Tegoż 1993 roku, także w kalendarzowej styczności z wyborami w Polsce, z osobistego polecenia Jelcyna, bardzo uroczyście przekazano Wałęsie część dokumentacji katyńskiej. Nadano temu wielki rozgłos i bogatą propagandową oprawę, żeby całkowicie zatrzeć w ludzkiej pamięci fakt wcześniejszego, oficjalnego przyznania się ZSRR do tej zbrodni. Chodzi o oświadczenie Gorbaczowa, złożone w czasie wizyty gen. Jaruzelskiego w Moskwie, w kwietniu 1990 roku. Dyskredytując to, co dla wydobycia prawdy o Katyniu zrobił Jaruzelski w latach 1987-1990, Kreml wyraźnie chciał przysłużyć się Wałęsie i jego kolegom, grającym w tych wyborach, jak w każdych zresztą, rolę prawdziwych patriotów, pracowicie i z oddaniem odkłamujących polską historię.

Czy „patrioci” chcą czy nie, to fakty te układają się w rodzaj nowej „braterskiej pomocy” świadczonej przez Rosję - tym razem polskiej prawicy.

W tym ciągu zdarzeń, w sposób naturalny, mieści się również największa afera skomponowana przez ludzi Milczanowskiego - tzw. „sprawa Oleksego”. Znow, jak wszystko, co wychodziło spod ręki tego ministra, wypromowana w okresie wyborów. Tym razem prezydenckich, w roku 1995. Jej skutki okazały się fatalne - przede wszystkim dla premiera, ale i dla państwa, którego autorytet mocno podupadł. Trzeba trafu, jednymi z głównych bohaterów prowokacji byli dwaj rosyjscy „dyplomaci”: Siergiej Jakimiszyn i Władimir Ałganow. Jeśli ich rola pozostaje dziś nie do końca jeszcze wyjaśniona, to tylko w tym sensie, że nie wiadomo, czy to UOP nimi kręcił, czy może na odwrót.

To był wielki dzień Milczanowskiego, ten na który czekał, do którego cały czas przygotowywał się - z trybuny sejmowej, w świetle jupiterów, przed posłami i całą Polską oskarżał Józefa Oleksego o szpiegostwo na rzecz Rosji.

Już od kilku dni Warszawa drgała sensacjami, umiejętnie wystrzeliwane plotki śmigwały między domami, atmosfera gęstniała. Jedna z telewizyjnych reporterek, odkrycie łódzkiego działacza ZChN, okazała się aż tak zdolna, że rozumem własnym wykombinowała, którego dnia, o której godzinie ustawić się z kamerą przed Pałacem Prezydenckim, żeby być świadkiem niespodziewanego przyjazdu rządowej kawalkady aut. Z przejęciem równym słynnemu radzieckiemu spikerowi Lewitanowi ogłaszającemu wojnę ZSRR z Niemcami, raportowała sprzed bramy, że limuzyna z premierem Oleksym nie przybyła.

- Nie wiemy cóż to może znaczyć - zapewniała zdumioną publiczność telewizyjną.

Takie „zagrywki” udanie przygotowywały nastrój pod wydarzenie główne w wykonaniu A. Milczanowskiego - oskarżenie premiera o zdradę stanu. Ale Milczanowski doskonale rozumiał, że w osobie premiera rządu RP oskarżał jednocześnie byłego członka KC i byłego sekretarza KW z lat 80. Miał wreszcie tę „głowę”, którą tyle lat pragnął widzieć na pieńku.

Na jego nieszczęście obok ofiary w tej sztuce grali również byli funkcjonariusze SB, tak jak Oleksy - członkowie byłej PZPR. Teraz w służbie Milczanowskiego. Oni to właśnie rozpoznali długo pieszczone marzenie trawiące byłego kierownika podziemnej drukarni - marzenie o zemście. I znaleźli sposób jego spełnienia: wykrycie szpiegowskiej misji Oleksego i oskarżenie o zdradę całego kierownictwa SdRP.

Czyż to nie piękne? Milczanowski widział już siebie premierem, a swych wrogów w kazamatach; czuł słodki smak zemsty, był szczęśliwy. Tym bardziej, że przez kilka dni wszystko układało się po jego myśli - zdruzgotany wyborczą klęską, żądny odwetu, ślepy z nienawiści i dobrze poszczuty Wałęsa, gładko wszedł do gry. Kłopot w tym, że esbecy wmówili Milczanowskiemu, iż ma w ręku karekę z asów, a to był strit zaledwie. I to maleńki, kompletne nic.

Ale na początku było naprawdę groźnie. Cała prasa natychmiast podchwyciła, podany przez ministra, oskarżycielski ton. Dały rezultat jego dobre kontakty z dziennikarzami. W godzinie próby żaden artysta pióra ani żadna artystka mikrofonu nie wyłamali się z jednolitego frontu flekowania premiera. Co powiedział Milczanowski i jego policja - to było święte,

jakkolwiek bronił się Oleksy - zawsze był „niewiarygodny”. Prasa bez wątpienia odegrała rolę pomocnika Milczanowskiego i Wałęsy w doprowadzeniu do upadku rządu i złamaniu człowiekowi kariery. Nigdy się jednak do tego nie przyznała. Nawet wtedy, gdy już wszystko było jasne, szukała źdźbła w oku Oleksego, we własnym nie zauważając wielkiej jak ekran w multikinie planszy z napisem „manipulacja”.

Mimo niewątpliwej sympatii mediów Milczanowski skończył dość żałośnie. Zagrał się na śmierć mianowicie:

Wspólnie z Lechem Wałęsą przez wiele lat walczyłem o wolną, demokratyczną Polskę. Dochowując wierności przekonaniom i mojej drodze życiowej, odchodzę razem z prezydentem Wałęsą.

Po nim tak patetycznie z posadą żegnał się już tylko prezydent Jelcyn, który nawet trzeźwy wyglądał jak pijany.

LUDZIE MAJSTRA

Jasik

Rok 1995 od początku zapowiadał się ciekawie. Jak to rok wyborczy. Wybierać mieliśmy prezydenta. Lech Wałęsa szykował się do reelekcji, jego przeciwnicy robili miny przyszłych mężów stanu.

Z góry jednak było wiadomo, że tak naprawdę groźny dla niego będzie tylko konkurent wystawiony przez lewicę. SLD miał silne struktury terenowe i sprawny aparat - narzędzia niezbędne w każdej kampanii wyborczej. Ktoś przecież musi sprzedawać cegielki, drukować plakaty, zamówić bilbordy, wynająć salę, zorganizować wiec. Co ważne - sondaże opinii publicznej nie pozostawiały wątpliwości, że lewica rośnie w siłę. No i co najważniejsze - miała powszechnie lubianego kandydata, Aleksandra Kwaśniewskiego. Dobrze się prezentujący, łatwo nawiązujący kontakt z ludźmi, mówiący w trzech językach, sympatyczny - stanowił poważne wyzwanie dla wiecznie nadętego, zadufanego w sobie elektryka.

Nie wiadomo, kto personalnie podjął tę decyzję, nikogo wszak nie złapano za rękę, ale późniejszy rozwój wydarzeń i ich uczestnicy nie pozostawiają wątpliwości, że plan przygotowany być musiał w kręgu służby specjalne - Pałac Prezydencki. Być może nawet w Pałacu co najwyżej po cichu zaakceptowano ogólną koncepcję. Wymyślić ją, zaplanować, podsunąć Wałęsie i wykonać musieli fachowcy.

Trudno precyzyjnie określić, kiedy to wszystko zaczęło przybierać jakiś publiczny kształt. Na początku właściwie nic się nie działo. W każdym razie nic, co rzucałoby się w oczy. Ale jeśli z perspektywy czasu przyrzeć się tym niewinnym początkom, to nie sposób nie dojść do wniosku, że ślady przemyślanego działania pewnych ludzi zaznaczyły się jakoś tak w połowie tego wyborczego, 1995 roku. Właśnie wtedy na przykład, w domach ludzi znanych ze swych wpływów na lewicy i w gabinetach związanych z SLD polityków, zaczęły nagle bywać urzędnicy dawnych central handlu zagranicznego - niegdyś bardzo ważni menadżerowie socjalistycznej gospodarki, faceci świetnie poustawiani służbowo, partyjnie i towarzysko. A i teraz, po zmianie ustroju na lepszy - nie klepali biedy. Dalej byli bardzo dobrze poustawiani. Trzeba jednak trafu, że byli to ci akurat, o których wiadomo było, że albo w przeszłości współpracowali ze służbami specjalnymi, albo po prostu byli oficerami działającymi pod przykryciem. Co prawda nie było jasne czy to swoje hobby nadal uprawiali - tym razem w parze z UOP-em, ale też jakichś bardzo wyrazistych powodów, by myśleć inaczej,

również nie było. Właśnie oni zaczęli nawiedzać pokoiki liderów lewicy w partyjnej centrali na ulicy Rozbrat w Warszawie, zapraszać ich na lunchy, poklepywać po ramionach jak starych kumpli. Z podobną, aczkolwiek dotąd niespotykaną pasją, życiu towarzyskiemu zaczęli się też oddawać wysocy urzędnicy MSW oraz czynni oficerowie UOP i WSI. Na ogół żyjący w cieniu, z łatwością przemienili się w salonowe lwy. Sam Andrzej Milczanowski, człowiek na co dzień pogodny jak gradowa chmura, też przywdział uśmiech i czynił miłe gesty pod adresem polityków SLD. Urządzał im kolacyjki, na których wygrywał na pianinie smętne melodie, a potem obdarowywał ich prezentami, dobieranymi zresztą z istic policyjnym wdziękiem. Na przykład Leszek Miller w dowód sympatii dostał od Milczanowskiego brazylijski rewolwer.

Takie gesty i spotkania nic niby nie znaczyły - przecież ludzie mogą się lubić, mogą się spotykać, mogą nawet politykować. Zwłaszcza w roku wyborczym jest to naturalne - wszyscy wtedy, jak Polska długa i szeroka, kombinują co będzie, gdy wygra ten, a co gdy tamten...

Ludzie służb specjalnych, to jednak nie „wszyscy”. I oni nie rozmawiali „ze wszystkimi”. Docierali wyłącznie do liderów SLD i do ich przyjaciół. Z jedną tezą: Olek nie powinien startować! Jeszcze nie teraz. Ma czas. Niech poczeka cztery lata. Teraz powinien wystartować Józek. Jest premierem, jest szanowany, nie jest oszołomem, postępuje racjonalnie, ludzie go lubią. To jest naturalny kandydat lewicy. A Olek? - za młody.

Tak to było szyte. To szeptano do ucha Millerowi, Siemiątkowskiemu, Szmajdzińskiemu, Janikowi. Ale także na przykład Mieczysławowi Rakowskiemu, który choć przecież czynnym politykiem już nie jest, nadal uważany jest za człowieka mającego pośród lewicy mir i poważanie, i Jerzemu Urbanowi - redaktorowi wpływowego tygodnika „NIE”. „Szeptanka” uprawiana była konsekwentnie, planowo, choć bywało, że poszczególne jej odsłony kończyły się żałośnie lub zgoła komicznie. Jak, dajmy na to, u Urbana.

Do jego wili w Konstancinie wprosiły się na kolację dwie na raz gwiazdy spec-służb. UOP reprezentował sam Marian Zacharski, zaś WSI - ówczesny szef tej instytucji gen. Konstanty Malejczyk. Panowie ostro jedli i ostro zapijali, cały czas jednak sącząc Urbanowi tego Oleksego - że on, a nie Kwaśniewski, że dla dobra lewicy należy wystawić kandydata statecznego, z niewątpliwym dorobkiem państwowym, a nie młodzika, który i tak nie będzie miał najmniejszych szans.

- My to wiemy. Uwierzcie nam. Jesteśmy wśród nich na co dzień. Przecież dla swoich nie chcemy źle. Co pan, panie Jurku, myśli, że zapomnieliśmy skąd jesteśmy?

Zacharski uderzył w ton konfidencyjny i tajemniczy zarazem, jakby dając do zrozumienia, że on, jak również jego koledzy, pracując dla Wałęsy i dla Milczanowskiego, w rzeczywistości pełnią jakąś bardzo ważną dla lewicy misję, że w obozie wroga są jej oczami i uszami.

- Słowo oficera - podchwycił myśl Zacharskiego Malejczyk.

Nachyliwszy się w stronę Urbana, szepnął zaś: ale najlepiej byłoby, żebyśmy się jak najszybciej spotkali, nieprawdaż, powtórnie. Może u mnie, sami. Spokojnie porozmawiamy. Niech pan koniecznie zadzwoni.

Urban był już nieźle wstawiony, nie był więc w stanie zrozumieć, o co mu chodzi. To znaczy rozumiał, że generał chce się z nim spotkać sam na sam, ale po co? Nic nie przychodziło mu go łba.

Tymczasem Zacharski, jakby nie widział umizgów Malejczyka i ciągnął śpiewkę o ciężkiej doli esbeka, który musi wysługiwać się swoim nowym, głupim panom.

- Pracujemy z nimi, bo musimy. To nie jest przyjemne, wierzcie mi państwo. Ludzie „Solidarności” mają różne fobie, kompleksy, często są po prostu ograniczeni...

Nagle przerwał w pół słowa. Głowę lekko odchylił do tyłu, oczy postawił w ślup, jak człowiek czymś głęboko zdumiony. Czknął. Po chwili policzki nadęły mu się, jak trębaczowi przed wzięciem górnego tonu, a cała twarz nabrała koloru marchewkowo-buraczkowego.

Trwało to bardzo krótko i Zacharski szybko wrócił do normy. Niestety nie potraktował tego incydentu jak na to zasługiwał, zlekceważył go. As popełnił niewybaczalny błąd, było to bowiem pierwsze poważne ostrzeżenie wystosowane przez jego żołądek pod adresem jego głowy. Ta jednak była już za bardzo pijana i nie odbierała sygnałów jak należy. Nad Zacharskim zawiła katastrofa, tymczasem on - jak gdyby nigdy nic - ciągnął przerwane czknięciem zdanie...

- A nade wszystko są cholernie wobec nas podejrzliwi. Ale trudno. Rozkaz nie gazeta. Zgodzą się chyba państwo z nami, że nie można ot, tak - oddać im ojczyzny w pacht. Polska to wielka rzecz, jak mówił poeta, nieprawdaż?

Słowom „z nimi”, „im” towarzyszył charakterystyczny ruch twarzoczaszki, jakby wskazujący tych na górze. Onych, którzy są przy władzy.

- Pilnujemy tego co najważniejsze, mamy oko na tę ich transformację, bo zostawieni sami sobie, mogliby narobić nieodwracalnych szkód. Również nam, ludziom lewicy. Dlatego musimy tam być. Ale przecież nasze serca jak zawsze są po lewej stronie ...

Tak się rozpolitykowali, tak rozgorączkowali i tak zapędzili w przekabacaniu Urbana na swoje kopyto, że całkiem stracili miarę w picu i jedzeniu.

W pewnym momencie Zacharski ponownie gwałtownie zaniemówił. Biesiadnicy, bardzo już słabo widzącymi oczami, ledwo podnosząc brwi znad stołu, spojrzeli w jego stronę. On zaś znów silnie poczerwieniał, parę razy gibnął się na boki jakby próbował wstać, ale podrzucany potężnymi wewnętrznymi wstrząsami opadł zrezygnowany na fotel i poddał się - na Urbanowy dywan puścił gigantycznego, niespotykanego w tym salonie ani pod względem barwy, ani pod względem zapachu, ani wreszcie pod względem obfitości, wielce nieeleganckiego pawia. Fontannie dobywającej się z ust Zacharskiego towarzyszył poświst i charakterystyczne, przetykane gulgotaniem, jęknięcie uwolnionego od nadmiaru doznań żołądka.

Co prawda Urbanowa do sprzątanía willi używa służącej, ale w żaden sposób nie miała zamiaru spokojnie znosić, żeby ktokolwiek zarzygiwał jej persy. Choćby nawet osoba tak znana jak funkcjonariusz tajnych służb Zacharski. Mając w pogardzie wielką politykę, wzięła obu dostojnych gości za mordę i wyrzuciła za drzwi. Jak ta żona leśniczego, która rozwścieczona, że raz wyżerają jej z garów partyzanci z AK, innym razem z AL - złapała za szczotę i wszystkich z lasu popędziła.

Na drugi dzień, gdy tylko trochę się wyspał, Urban rzeczywiście zadzwonił do Malejczyka. Na tyle wyraźnie i dobitnie, na ile pozwalał mu ciągle jeszcze skołowaciały język powiedział do słuchawki: mam nadzieję, że służby specjalne nigdy nie będą wtrącać się do polityki.

- Myślisz, że dobrze im się nagrało - zapytał podtrzymującej go żony.

- Na pewno kochanie, na pewno. Jeśli włączyli magnetofon, to na pewno.

Choć w starciu z Urbanową wódką i Urbanową żoną służby specjalne Najjaśniejszej Rzeczypospolitej poniosły dotkliwą klęskę, to jednak planu wmówienia lewicy Oleksego w miejsce Kwaśniewskiego nie zarzucono. Inna odsłona tej samej sztuki odbyła się więc w innym warszawskim salonie - w willi MSW przy ulicy Zawrat, w której mieszkał Andrzej Milczanowski.

Zawrat, choć jest uliczką mikroskopijną, to odgrywa w polskiej polityce rolę tak samo ważną jak inne maleńkie warszawskie uliczki - Aleja Przyjaciół, Aleja Róż, Parkowa, czy z nowych - Grzesiuła.

Willi MSW schowana jest w głębi ogrodu. Mimo, że jest naprawdę obszerna, nie rzuca się w oczy - jest szara, z małym podjazdem. Oddalona od ulicy sprawia skromne wrażenie. Na dole jest holi, kilka sal i pokoi. Część z nich zajmuje ochrona. Szerokie schody prowadzą na górę, gdzie są apartamenty mieszkalne i sale recepcyjne. Tam mieszkał Milczanowski, tam była główna kwatera jego „wojska” i tam ostro pili, gdy wszystko zaczęło się im już sypać, rozlać w palcach. Ale to potem. W maju 1995 roku, Zawrat to było samo centrum. Tu był

mózg, który pracował z dala od biur, od ministerstwa, od wszystkich.

Tego dnia obsługa miała nieco więcej pracy niż zwykle. Milczanowski zapowiedział, że na kolacji będzie premier Oleksy. I rzeczywiście. Oleksy przybył w towarzystwie Andrzeja Anklewicza. Gospodarzowi towarzyszyli najbliżsi współpracownicy – Zimowski i Jasik. Był z nimi również Zbigniew Sobotka, delegowany przez lewicę do Milczanowskiego na wiceministra. Obsługa postarała się wyjątkowo. Na stole pojawiły się wysmienite (zresztą jak zawsze na „Zawracie”) wędliny, z przebojem gospodarstwa pomocniczego MSW - delikatną, cudownie różową, pokrojoną cieniutko i równiutko co do milimetra, szyneczką. Gdy ją się gryzie nie stawia oporu, przeciwnie - roztopia się, tworząc w ustach bukiet smaków absolutnie niebywałych: słonawy a jednocześnie jakby z lekka słodki. Ta esbecka szynka jest tam po prostu zjawiskowa, niczym kobieta w tańcu, żaglowiec pod pełnymi żaglami i koń w galopie. Do tego dobrze wymoczony śledzik w pachnącej Grecją oliwce, marynowane borowiki jeszcze pachnące lasem i mrożona, czysta wódeczka, nie pachnąca już niczym. Świat naprawdę może być piękny.

Panowie gaworzyli kulturalnie, choć nie bez przykrych wpadek. Zwłaszcza Jasik miał zły dzień. Za każdym razem, gdy zwracał się do Oleksego mówił „panie ministrze”, choć miał przecież przed sobą premiera. Poprawiał się i znów się mylił. Rozmowa dotyczyła podziału wpływów w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W owym czasie było to tzw. ministerstwo prezydenckie, z czego prezydent Wałęsa korzystał do ostatnich granic. Nie mógł jednak tak całkiem nie liczyć się z wynikiem wyborów parlamentarnych, a więc z faktem, że wygrała je lewica i ma coś do gadania. Także w MSW. Zawarto kompromis, który nazywał się Zbigniew Sobotka. Strona pałacowa była przekonana, że jest dobrze przez lewicę rozumiana - na Sobotkę zgoda, ale niech zajmuje się gaciami, papierem toaletowym i niczym więcej. Sobotka jednak wychodził z ram. W gruncie rzeczy więc spotkanie na Zawrat miało być ułożeniem stosunków po dobroci, ale i po myśli prezydenta i jego Milczanowskiego.

Po godzinie premier Oleksy opuścił zgromadzonych. Gospodarz i jego najbliżsi odprowadzali go do samego wyjścia. Nagle na oczach zdumionych Anklewicza i Sobotki oraz zdębiałej ochrony, Jasik, żegnając się z Oleksym, ukląkł przed nim i przepraszając „pana premiera” za te swoje nieszczęsne pomyłki, za tego „ministra”, pocałował Oleksego w rękę. Tylko Milczanowski wiedział, że Jasik nie jest tak pijany na jakiego wygląda, i że nie był to także z jego strony szczyt wazeliniarstwa. Już wtedy przecież jego ludzie przy premierze grzebali, kopali pod nim doły, zbierali na niego haki, wszystko po to, żeby za parę miesięcy związać go jednym sznurem z rosyjskim szpiego-dyplomata, Ałganowem. Na Zawrat z nim pili, a na Rakowieckiej szyli mu śmiertelną koszulę. W oczach Milczanowskiego więc, Jasik jako oficer gotów do takich aż gestów, zdecydowany na aż taką grę, byle tylko wykonać zleczone mu zadanie, urósł jeszcze bardziej.

Gdy Oleksy odjechał, a panowie wrócili na górę do stołu, dopiero wtedy skoczyli sobie do oczu. Słowa ciężkie jak dębowe krzesła padały gęsto. Jednak mimo daleko posuniętej szczerości i morza wódki, do kompromisu nie doszło. Sobotka nie okazał Jasikowi szacunku. Choć to jemu, jako wiceministrowi podlegał bezpośrednio, nie złożył deklaracji lojalności i nie zapewnił, że dobre zaopatrzenie policjantów, strażaków i szpitali MSW w papier toaletowy będzie jedyną treścią jego urzędowania. Nigdy się nie polubili.

* * *

Milczanowski zobaczył Jasika po raz pierwszy podczas posiedzeń centralnej komisji weryfikacyjnej dla byłych funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Przewodził jej Jacek Merkel. Sekretarzami byli Brochwicz i Anklewicz. Przyszła kolej na wywiad. 1500 ludzi. Poszczególne departamenty reprezentowali delegaci: II (kontrwywiad) - Andrzej Kapkowski, I (wywiad) - Czempiński i Jasik. W czasie wielogodzinnych posiedzeń i przesłuchań weryfikowanych oficerów Jasik siedział jak zamurowany - ani jeden mięsień na jego twarzy nie

drgnął. Nie uszło to uwadze Milczanowskiego.

- Ten to dopiero musi być wyszkolony - szepnął do siedzącego obok Zimowskiego.

Gabinet ministra spraw wewnętrznych jest obszerny, ale bez przesady. Ma wymiary nieco większej kawalerki. Na lewo od drzwi, pod ścianą, na której wisi dywanik z wyhaftowanym orłem, stoi biurko ministra. Obok, jakby na oddzielnym biurku, bateria telefonów. Po prawej ręce siedzącego jest przeszklona szafa z trofeami wręczanymi ministrom przy okazji oficjałek - medale CIA, plakietki różnych policji, znaki polskich jednostek policyjnych i wojskowych. Przy lewej ścianie, w środku pomieszczenia, stoi mały stolik do kawy, kanapa i dwa fotele. Na wprost - stół do narad.

W gabinecie było czterech mężczyzn. Minister Krzysztof Kozłowski i szef Urzędu Ochrony Państwa - Andrzej Milczanowski, siedzieli. Dwóch innych stało. Byli to pułkownicy Zych i Jasik. Obaj byli oficerami wywiadu.

- Panowie - zaczął Milczanowski. - Wezwaliśmy was dlatego, iż dowiedzieliśmy się o istnieniu bardzo niebezpiecznego agenta. Panowie mogą wiedzieć kim on jest, gdzie on jest i jak go unieszkodliwić. Nam nie chodzi teraz o całą agenturę. W tej sprawie działać należy ostrożnie, bo więcej można zepsuć niż naprawić. W sprawie agentury jesteśmy gotowi przyjmując wasz punkt widzenia, iż trzeba tu raczej operować skalpelem niż siekierą. Ale tego agenta musimy zlokalizować szybko. To dla nas sprawa priorytetowa. Dla ludzi „Solidarności” honorowa nawet. Wiemy tylko, że to „Irmena”, że wbrew imieniu jest mężczyzną i że był wysoko ulokowany w „Solidarności”.

Gabinet wypełniła krzycząca cisza. Milczanowski popatrywał po kolei to na Zycha, to na Jasika. Kozłowski swoim zwyczajem wpatrywał się w cybuch fajki. Popykiwał z wolna, ale solidnie. Głowę miał spuszczoną, oczy schowane pod powiekami.

Zych zdawał sobie sprawę, że jest od Jasika starszy rangą, od niego więc jako pierwszego oczekują odpowiedzi. Ale nie wiedział co powiedzieć. Mówiąc precyzyjniej - nie wiedział, jak ma im powiedzieć, że niczego nie powie. Doskonale rozumiał, że decyduje się jego los. Nie pierwszy raz, to prawda, ale dotąd zawsze miał jakieś wyjście, lata treningu nauczyły go wszystko przewidywać, mieć zawsze ścieżki odejścia. Teraz czuł, że decyzja będzie ostateczna, że już się losowi nie wykręci. Nie odzywał się, ale i nie udawał, że nie wie, o co go pytają. Milczał. A to znaczyło, że nie chce powiedzieć.

Kozłowski przestał pykać. Ręka z fajką powędrowała na kolano. Druga odgarnęła dym sprzed oczu. Łypnął spode łba.

- No, panowie, słuchamy - powiedział niby spokojnie, ale zabrzmiało to groźnie.

Zych nie żałował swego milczenia. Gdyby teraz zdradził „Irmenę”, kiedyś musiałby zdradzić pozostałych. Na przykład pewnego dżentelmena z Krakowa, który słynął z niesamowitej głowy do alkoholu. Lubił zwłaszcza koniaki. Ze spotkań z nim chłopaki zawsze przyjeżdżali z potężnym kaczem. Był bardzo ciekawym rozmówcą. Tylko rozmówcą... Ale przecież wystarczyło szepnąć słówko, a „solidarnościowcy” sami zrobiliby z niego agenta.

- Melduję panie ministrze... - Jasik stał wyprężony na baczność, palce obciążone, oczy z lekka przestraszone, ale szczerze, białe w Kozłowskiego ...

- Chwileczkę, panie pułkowniku.

Milczanowski przerwał mu - jak to on, z ciepłym uśmiechem kostuchy, dobrotliwie.

- Myślę, że pułkownika Zycha nie będziemy dłużej zatrzymywać. Może pan odejść, panie pułkowniku.

Gdy za Zychem drzwi zamykały się, to przed Jasikiem jakby symbolicznie się otwierały.

Wśród oficerów wywiadu panuje przekonanie, że Jasik zdradził. Nie tylko „Irmenę”, całą agenturę o jakiej wiedział.

Pułkownik Zych wkrótce umarł. A Jasik? - cokolwiek by nie powiedział, jest faktem, że prawdziwą karierę zrobił przy Milczanowskim. Mimo, że był oficerem służb PRL, przeszedł

suchą nogą na stronę demokracji, choć setki jego kolegów, z powodu takiego samego życiorysu, musiało pożegnać się z pracą, z placówkami, ze swoją pozycją. Jasik nie był od nich ani mądrzejszy, ani lepszy. Czyli musiał być „sprytniejszy” - to jedyne uzasadnienie, że akurat jemu się udało.

Przyszłość pokazała, że ten niepozorny, trochę zakompleksiony i strachliwy oficer, poniósł największe zasługi w oswojaniu Milczanowskiego z ludźmi dawnej SB, osobiście z oficerami wywiadu. Na początku nic nie zapowiadało, że jego kariera tak się rozwinie.

* * *

Mimo, że był ulubieńcem płk. Konrada Biczyka, wychowawcy wielu oficerskich pokoleń, jako liniowiec Jasik nie miał dobrej opinii. Jego koledzy z „fabryki arbuzów” (tak szkołą wywiadu w mazurskich Kiejkutach nazywali jej słuchacze - „fabryka arbuzów”, czyli coś czego nie ma) przezwali go „appfel”, po niemiecku „Jabłko”. Pracował w wywiadzie naukowo-technicznym, m. in. w Niemczech właśnie. Wrócił stamtąd na przełomie lat 70. i 80. z marną oceną, rozbity psychicznie. Bardzo źle zniósł stres i strach. Odesłano go z powrotem do mazurskiej „leśnej szkółki” (to inna, popularna wśród słuchaczy, nazwa Ośrodka Kształcenia Kadr Wywiadu), ale tym razem w charakterze wykładowcy. Ulokowany w domku nazywanym przez kursantów „rybaczówką” wykładał, leczył nerwy i dochodził do siebie. Po klęsce wyborczej jakiej władze PRL zaznały w roku 1989 i po pierwszej fali czystek nowy szef wywiadu, gen. Sarewicz, na gwałt szukał ludzi do roboty. Dla będącego na aucie Jasika wybiła jego godzina. Został szefem Wydziału Naukowo-Technicznego, potem zastępcą szefa wywiadu, jeszcze potem szefem wywiadu. Doszedł aż do stanowiska wiceministra spraw wewnętrznych.

Oto fragmenty listu, który napisał do Jasika jego były przyjaciel i podkomendny, major. D. z Warszawy. List napisany został przed awansowaniem Jasika na stopień generała:

Pułkowniku Jasik, Henryku!

Właśnie przeczytałem o Twojej nominacji na v-ce ministra spraw wewnętrznych. W innych okolicznościach i w innej sytuacji cieszyłbym się razem z Tobą, a jako Twój dobry kolega śpieszyłbym z gratulacjami i życzeniami. Ale dzisiaj, po ciężkich doświadczeniach ostatnich lat, a zwłaszcza Twej postawy i dwuznacznych zachowań w sierpniu i wrześniu 1990 roku, gdy świadomie z rozmysłem rozbijano zagraniczne struktury polskiego wywiadu, a Ciebie, jego szefa, nie było stać na odwagę odejścia wraz z tymi, których zepchnięto na margines i pozbawiono sensu życia, dzisiaj Twa nominacja budzi niesmak i sprzeciw. Czyż ceną za tę nominację musiało być upokorzenie i w wielu przypadkach tragedia Twych dawnych kolegów i podwładnych? Gdzie Twa godność i honor oficera polskiego wywiadu? Gdzie etyka zawodowa, o której sam uczyłeś młodych adeptów OKKW? Jaka moralność pozwala Ci piąć się do władzy po nieszczęściach innych? Czyż nie pozostało w Tobie choć małe ziarenko zwyczajnej, ludzkiej uczciwości? Co się stało z Henrykiem Jasikiem, którego cenilem i dawałem jako wzór podległym mi oficerom? (...) W wojsku dobry dowódca dzieli los ze swymi żołnierzami w dobrej i złej godzinie. Ty natomiast dzielileś tylko tę dobrą część losu, w której, dzięki poświęceniu i ciężkiej pracy Twych żołnierzy zdobywałeś kolejne medale i zaszczyty. W złej godzinie wyrzekłeś się swych podwładnych, którzy w swej pracy wywiadowczej za granicą z największym poświęceniem wykonywali Twoje przecież rozkazy i realizowali Twoje instrukcje. W czym więc ich rzekoma wina miałyby być inna niż Twoja? Podobnie zresztą rzecz się ma z identyfikowaniem się z określoną, wówczas jedyną możliwą opcją polityczną. Czym więc się zasłużyłeś swym nowym mocodawcom, że tak docenili Twoje usługi? (...) Nie miałem pretensji do „zwycięzców”, nowej, jedynie słusznej opcji, którzy przeprowadzając zbiorową vendettę, uderzali na ślepo i nie tam, gdzie naprawdę należało. Tak było w historii świata wielokrotnie. I chociaż niesłusznie zostałem rozjechany przez

toczące się koło historii, przyjąłem ten wyrok z pokorą i zrozumieniem. Pretensję miałem do Ciebie, że bezkrytycznie przyjąłeś wyznaczoną Ci rolę i zapomniawszy o honorze, dumie i godności za wszelką ceną, kosztem krzywdy innych, starałeś się o łaski nowej władzy. Dzisiaj jesteś premiowany, awansowany. Nie może Ci to przynieść szczęścia. Prawdziwego szczęścia nie można zbudować na nieszczęściu innych.

Pułkownik Jasik, choć dochrapał się generała, zakończył swą karierę, tak jak ją zaczął - przy boku Milczanowskiego i w niesławie. Jako uczestnik spisku przeciwko premierowi. Jednak „drużyna” nie zapomniała o nim. Odbębnił kwarantannę w charakterze emeryta, by po kilkunastu miesiącach zostać członkiem zarządu przedsiębiorstwa Porty Lotnicze. Przedsiębiorstwo to zawsze było pod szczególnym nadzorem służb specjalnych. Gdy tam przychodził firma była w przededniu wielkich inwestycji - będzie budowane nowe lotnisko wraz z całą infrastrukturą drogową. Wartość całego przedsięwzięcia określa się na ok. 600 milionów dolarów. Samo lotnisko ma kosztować 300 milionów. Trzeba trafu, że to właśnie Jasik został członkiem kierownictwa Portów Lotniczych, odpowiedzialnym za zorganizowanie tak drogiego przetargu. Na sensacje nie trzeba było czekać zbyt długo - nie minął rok, gdy Minister Sprawiedliwości i Prokurator Generalny Lech Kaczyński ogłosił publicznie, iż jednej z prokuratur nakazał wszcząć śledztwo w sprawie nieprawidłowości dotyczących przetargu na rozbudowę Okęcia.

To prawda, że bracia Kaczyńscy mają powód, by nie lubić Jasika, ani zresztą nikogo z ekipy Milczanowskiego, która, jak się okazało, dobierała się do skóry nie tylko lewicy, ale również starała się minimalizować znaczenie niemiłych Wałęsie ugrupowań prawicowych - w tym także Porozumienia Centrum, w którym Kaczyńscy odgrywali wielką rolę. Minister Lech Kaczyński wydaje się jednak zbyt wytrawnym politykiem, by szukać prywatnej zemsty przy pomocy oficjalnego, prowadzonego przez podległy sobie organ państwowy, śledztwa. Coś na rzeczy być musi. Czy służby specjalne pozwolą sobie na to, by ktoś spoza ich kręgu dobrał się do ich interesów? - a to zupełnie inna sprawa.

Czempiński

Noc otulająca Wzgórze Światowida zawsze jest tu majestatyczna, trochę czarodziejska, bardzo tajemnicza. Od jeziora niesie chłodem. Wiatr jest ciągle - trochę słabszy, trochę mocniejszy, ale jest. Wyginane jego harcami ognie pochodni i płomienie ognisk łamią się, pochylają, rzucają blask na wszystkie strony świata. Nawet w nocy, górujący nad okolicą Światowid, widzi swoimi czterema parami oczu wszystko.

Gdy w blasku pochodni, pod rozgwieżdżonym mazurskim niebem i pod czujnym wzrokiem Światowida niosło się po lesie, po jeziorze, po łąkach: „ślubuję stać na straży bezpieczeństwa i niepodległości Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”, to niejednemu patriotyczne wzruszenie dławilo gardło, a na plecach czuł mrowienie. To naprawdę była wielka, podniosła chwila. A potem sadzenie drzewka - każdy rocznik jedno. Powinno być ich już około trzydziestu. Mały zagajnik...

Jednak pierwszemu rocznikowi nie dane było przeżywać tych chwil. Gdy tu przychodzili Ośrodek Kształcenia Kadr Wywiadu pachniał jeszcze wapnem i farbą. Nie wszystko było skończone. Najczęściej przysyłano ich z Wyższej Oficerskiej Szkoły MO ze Szczytna - niejako na „specjalizację”. Ślubowanie podpisali wcześniej, w obecności kilku przełożonych. W Kiejkutach zorganizowano im jedynie coś na kształt uroczystej akademii w sali gimnastycznej. Tu zobaczyli się po raz pierwszy. Wtedy rocznik 1972/1973 splótł swe losy na zawsze. Gdziekolwiek byli i gdziekolwiek są, zawsze są „pierwszym rocznikiem”. Nie ma takiego

świństwa, którego by sobie nie zrobili, ale też nie ma takiej siły, która poróżniłaby ich naprawdę. Mogą mieć do siebie żal, mogą się nawet nienawidzić, są zazdrośni o swoje sukcesy jak kobiety, ale gdy przychodzi co do czego, podają sobie rękę, pomagają sobie. Każdy, nawet najbardziej marnotrawny syn, może liczyć na wybaczenie. Żaden nigdy nie znalazł się bez pracy, żadnemu nigdy bieda nie zajrzała w oczy. Bywało różnie, wielu musiało przestać się z życia wypełnionego zagranicznymi wyjazdami, na życie na krajowej delegacji, z dobrych alkoholi na takie sobie z piwem, wielu musiało zasadniczo zmienić przyzwyczajenia, co niejednokrotnie było bolesne, ale żaden nigdy nie zobaczył w garnku dna. Nie wybaczały tylko jednego - zdrady ojczyzny i zdrady swojego agenta.

Ale z tą ojczyzną to było kiedyś. Gdy wszystko w Polsce się zmieniło, gdy polityczna zawierucha ogarnęła również służby specjalne, gdy „Solidarność” zaczęła te swoje lustracje, to i ich świat zmienił się. Wiele wartości uległo relatywizacji. Na przykład - co to teraz znaczy „zdrada ojczyzny”? Wedle standardów w jakich ich wychowano Kukliński jest zdrajcą wręcz podręcznikowym. Ale przecież w majestacie państwa, w obecności premiera, zrobiono z niego bohatera. Czy to znaczy, że można wszystko? Można, bo wszystko jest względne. Można - co było do niedawna nie do pomyślenia - dla jakichś „wyższych celów” zdradzić swojego agenta, można wyciągnąć łapę po państwowe pieniądze, można także zdradzić swój kraj, pod warunkiem, że z kimś „właściwym”. Tolerowana jest więc, nawet bardzo ścisła i jednoznaczna, współpraca z sojusznikami z NATO. Natomiast każda dłuższa rozmowa z „Ruskim”, choćby przy okazji dyplomatycznego przyjęcia, od razu pachnie zdradą. Nieznośnym kamieniem ciężą też na życiorysie skończone kiedyś w Rosji studia. Żeby więc kariera układała się po różach wystarczy jedynie wystrzegać się Ruskich jak zarazy.

I tak, wcale nie powoli, tylko w tempie wręcz ekspresowym życie skurwiło tę niegdyś siejszą kastę, najlepszych z najlepszych, elitę elit: oficerów wywiadu PRL.

* * *

Gromosław Czempiński, dla przyjaciół „Gromek”, wyróżniał się od początku. Na wskroś nowoczesny, znający języki, dobrze wykształcony, wysportowany. Ma na swoim koncie laury szybownicze, pasjonują go samoloty, podniecają balony. Przy tym jest przystojny - wysoki, dobrze utrzymany, zawsze lekko opalony. Bardziej zachodni playboy lub model od Armaniego, niż oficer wywiadu PRL. Zna świat, wszędzie czuje się dobrze, jak u siebie. Nie stroni od radia, telewizji, kolorowych magazynów. Znakomicie gra swoją rolę - człowieka, który wiele wie i dużo może, ale zarówno w mówieniu jaki w czynach jest powściągliwy.

Dziś otacza go aura niesłusznie odsuniętego na bok bohatera. Sam umiejętnie ją tworzy - doskonale radzi sobie bowiem z dziennikarzami. Bawi się nimi, ich marzeniami, tym że zazdroszczą mu jego pełnego przygód życia. Mówi im tylko to co chce, świetnie omija rafy i znakomicie ignoruje pytania zmierzające w niemiałą mu stronę.

- *Panie generale* - pyta dziennikarz „Aneksu” (październik 2000 r.) - w wielu wypowiedziach podkreśla Pan, że służba w wywiadzie była marzeniem, może nawet powołaniem, choć to nie Pan poszedł do wywiadu z ofertą, ale to jego wystannicy przyszli do Pana. Jak się zaczęła kariera polskiego Bonda?

- *Zawsze pociągła mnie literatura przygodowa, przepadałem za Sienkiewiczem i Dumasem, ciekawiły mnie opowieści wojenne, a w nich tajemnice i tajne misje. W codziennym życiu byłem bardzo aktywny. Chętnie rywalizowałem grając w siatkówkę, koszykówkę. W 14. roku życia zacząłem latać na szybowcach, z czasem na samolotach. Do dziś mam licencję pilota i od czasu do czasu latam. Jest to moje ulubione zajęcie i gdybym miał wybierać drugi zawód, byłby to zawód pilota...*

Proszę zwrócić uwagę, że Czempiński powiedział o sobie bardzo dużo, ale na pytanie

nie odpowiedział. Wiemy, że grał w siatkę i kosza, że czytał Sienkiewicza, ale jak trafił do wywiadu? - nie wiemy. Dziennikarz jeszcze nie daje za wygraną:

- Więc któregoś dnia przyszli do Pana, takiego wysokiego chłopca (190 cm), i co? - dopytuje się.

- Nie powiedzieli nic o wywiadzie, mówili natomiast o ciekawej pracy, o wyjazdach zagranicznych, o czym 30 lat temu wielu mogło pomarzyć. Sami oferenci też prezentowali się jak z innego świata, dobrze ubrani, pachnący, także zapachem ciekawego życia.

Czempiński, dla przyjaciół Gromek, z wdziękiem kłamię jak najęty - jeszcze przed chwilą był chłopcem, czternastolatkiem, który zaczynał latać na szybowcach, ale przecież pytania padają w roku 2000.

Mówi więc: „30 lat temu o wyjazdach zagranicznych można było pomarzyć...” czyli propozycję pracy w służbach specjalnych złożono mu na początku lat 70. Wtedy jednak nie był już kilkunastoletnim chłopcem, którego można czarować wyjazdami. Zresztą jego akurat nie trzeba było czarować - przed takimi dynamicznymi, młodymi ludźmi, świat nie był już zamknięty na głucho. Gierek uchylił drzwi - każdy mógł wykupić 100 dolarów i ruszać gdzie oczy poniosą. Tysiące młodych Polaków skorzystało z tej możliwości - jeździli po całej Europie, a najbardziej pomysłowi i przedsiębiorczy po całym świecie. Czempiński nie mógł tego nie wiedzieć. Nie mógł też nie orientować się, czego chcą od niego tajemniczy dżentelmeni. Na początku lat 70. był młodym mężczyzną po studiach, który za dwa lata miał skończyć pierwszy kurs dla oficerów wywiadu w Kiejkutach.

Dlaczego więc Czempiński nie chciał powiedzieć dziennikarzowi prawdy? - bo ona jest banalna, szara. Gromek miał ustosunkowanego, cieszącego się dobrą opinią w kręgach partyjno-milicyjnych, ojca. Stary Czempiński w 1956 r. dzielnie bronił Poznania przed „antysocjalistyczną rebelią”. W Polsce Ludowej uchodziło to za czyn szlachetny, dowód najwyższej odwagi i lojalności dany w chwili próby. Przed dziećmi takich zasłużonych towarzyszy otwierały się najlepsze perspektywy. Młody Gromek nie musiał na własną ręką szukać pracy w służbach specjalnych. Rzeczywiście sami po niego przyszli - miejsce dla niego było z góry zarezerwowane. Także dla jego brata. On, ze względu na predyspozycje, trafił do wywiadu, brat do zwykłej esbecji. Obaj przebrali się potem za funkcjonariuszy UOP.

To o wiele mniej romantyczna, ale za to o wiele bliższa prawdy wersja początków „polskiego Bonda”, przasna i całkiem nie przystająca do legendy.

* * *

Czempiński doskonale wiedział, że kariera jest mu pisana, że oczekuje go jak kochanka. Rozumiał, co ma robić, żeby sobie pomóc, dlatego nic stronił od aktywności społecznej. W Kiejkutach był szefem ZMS. Do dziś wielu ze wzruszeniem wspomina na przykład partyjne pogrzeby, na których występował jako chorąży. Sztandar organizacji przepasany kirem pięknie wyglądał niesiony przez niego wysoko. Najwyżej zresztą, bo w całym kondukcje nie było wyższego od niego żałobnika.

Niestety jego rocznik miał pecha - wśród absolwentów trafił się zdrajca. W Kiejkutach występował pod nazwiskiem legalizacyjnym, powiedzmy „Wodnicki”, jego prawdziwe nazwisko było inne. Mogło na przykład brzmieć „Kopaczewski”. Ponieważ zdrada była wówczas zdradą (a nie przemyślną, prywatną intrygą, której celem było odzyskanie przez Polskę niepodległości), cały kurs wycofano na boczny tor. Trzeba było bowiem założyć, że „Kopaczewski” powiedział wszystko, a więc zdradził również swoich kolegów. Opowiedział o specjalizacjach w jakich ich wyszkolono, o ich zamiłowaniach, charakterze, słabostkach, powiązaniach rodzinnych, partyjnych, opisał ich wygląd.

Na długie lata zamknęła się przed nimi perspektywa wyjazdów. Żaden nie mógł poja-

wić się w świecie bez ryzyka rozpoznania.

Czempiński przeczekał ten czas w kontrwywiadzie. Nie był to czas stracony - poznał metody pracy tej służby, stosowane przez nią techniki. Bardzo mu się to potem przydało, gdy już kwarantanna minęła i wpadł w objęcia kontrwywiadu zagranicznego, czyli najbardziej elitarnej jednostki wywiadu, zajmującej się rozpoznawaniem za granicą agentury skierowanej przeciwko Polsce.

Jakiś czas spędził w USA. Za każdym razem w nieco innej roli: wypełniał obowiązki zawodowe, bywał prywatnie, a także jako członek kierowanej przez ministra Milczanowskiego delegacji polskiego MSW. Ten ostatni epizod był zabawny - cała delegacja przeszła już przez stanowisko kontroli emigracyjnej, tylko Czempińskiego zatrzymali i za cholerę nie chcieli puścić. Nie pomagały żadne tłumaczenia ani nawet interwencje oczekujących na lotnisku przedstawicieli CIA - nie i już. W końcu tajemnica się wyjaśniła - w komputerze, przy nazwisku Czempiński wyświetliło się: „uwaga, komunistyczny szpieg”. Mimo trwającej już od kilku lat przyjaźni, dla amerykańskich komputerów Czempiński nadal był wrogiem! Żeby urzędnik „imigration” dał wreszcie za wygraną niezbędna była interwencja Departamentu Stanu.

Mimo, że cała delegacja widziała, jak potraktowały Gromka apolityczne komputery, to i tak wszyscy wiedzą, że jego stosunki z Amerykanami są bardzo dobre. Różnie się o tym mówi. Koledzy Czempińskiego, jak on - oficerowie służb specjalnych - mają własne wytłumaczenie tej czułości. Przebąkują, że we właściwym czasie „Gromek” przeorientował się na jankesów. On zna te opinie.

- Ja zawsze od nich odstawałem. Żaden z nich jednak, nawet przed samym sobą, nigdy nie przyzna, że jest od kogoś gorszy. Dla własnych niepowodzeń zawsze szuka się łatwych usprawiedliwień. W naszym fachu najczęstszym tłumaczeniem jest - „dał się przewerbować”. Niech im będzie. Nie mam zamiaru tłumaczyć, że żeby wywieźć z Iraku sześciu Amerykanów musieliśmy sami narazić się na śmierć. I narazić na śmierć kilkunastu co najmniej ludzi. Od tego momentu Amerykanie uwierzyli nam jako sojusznikom i uznali za partnerów w zawoździe. To się w ich świecie liczy najbardziej - co umiesz i czy potrafisz być lojalny aż do śmierci. Taka jest ta moja tajemnica.

A jednak aura czegoś niedopowiedzianego wokół Czempińskiego jest. Niby tego co mówi słucha się dobrze, jego interpretacja jest wiarygodna, spójna, ma sens. Ale za chwilę w innym miejscu, przy innej okazji, powie coś takiego, co przywołuje na pamięć fakty dwuznaczne, zdarzenia zmacone, niejasne. Jakby sam dbał o to, by ludzie po cichu myśleli, iż jego stosunki z Amerykanami są rzeczywiście szczególne. Pozostańmy na chwilę przy tym Iraku. Dziennikarz ANEKS-u pyta:

— *CIA zwróciła się bezpośrednio do Pana, wówczas zastępcy szefa wywiadu. Dlaczego?*

- *Amerykanom znany był polski wywiad, ja takie, choćby Z mojego pobytu w USA, poza tym zajmowałem się sprawami operacyjnymi, znałem angielski, gdy szef akurat niemiecki. Rozmowa była między fachowcami, co do możliwości powodzenia przedsięwzięcia, które co tu dużo mówić zapowiadało się jako bardzo ryzykowne, a nawet wręcz niemożliwe do przeprowadzenia. W tym momencie nie chodziło o decyzje, ale o wstępna ocenę operacji, naszych możliwości.*

- *Mimo wszystko była to niecodzienna sytuacja, rozmawiać tak bezceremonialnie, poza decydentami służb...*

- *Amerykanie byli bardzo zdeterminowani, czas naglił, niezbędna była choćby wstępna opinia fachowca. Tym bardziej, że inne, współpracujące z CIA służby odmówiły pomocy. Gdyby moja opinia była negatywna, szukaliby pomocy gdzie indziej.*

(ANEKS - październik 2000 r.)

Czempiński jest konsekwentny: Amerykanie docenili go jako fachowca, uznali klasę dawnego przeciwnika, dla nich to się liczy najhardziej.

Stare szpiegusy przyjmują te tłumaczenia z przymrużeniem oka. Jakby chcieli powiedzieć: dobra, dobra - gadaj zdrów, to nawet niezła nawijka.

Rzeczywiście trudno nie być sceptycznym. Nie tylko Polska, ale i świat był w okresie transformacji. Zimnowojenne podziały wcale jeszcze przecież nie znikły i nie było tak, że z dnia na dzień wczorajsi wrogowie stawali się przyjaciółmi. Poza tym chodziło o życie amerykańskich agentów, których wojna ogarnęła w zajętych przez Irak Kuwejcie. Amerykanie nie mieli podstaw by bezgranicznie wierzyć Polakom - z państwem Saddama od lat przecież utrzymywaliśmy dobre stosunki. CIA miała wszelkie powody by zakładać, że przez te lata przeniknęły się również służby specjalne Iraku i Polski. To zaś oznaczało, iż poproszenie Polaków o pomoc w rozwiązaniu tak poważnego problemu, mogło dla Irakijczyków nie być tajemnicą.

Ponadto - w codziennym zwyczaju służb jest podchodzenie pod obcych w celu zwerbowania. W sprawach dla danej służby żywotnych, obcych o pomoc się nie prosi.

Krótko mówiąc - z tego, że Amerykanie, z pominięciem drogi służbowej, zwrócili się właśnie do niego, Czempiński wytłumaczył się dziennikarzowi ANEKS-u dosyć marnie.

Na dodatek ma kłopot z pamięcią kolegów, w której zapisane są fakty znane tylko nielicznym. Na przykład zawody balonowe w Chicago - wieczny temat wódczanych wspomnień oficerów wywiadu.

Gromek bardzo chciał w nich wziąć udział. Jego lotnicze pasje były powszechnie znane, poza tym naturalna okazja wjechania do Stanów kadrowego pracownika służb specjalnych sama pchała się w ręce, więc - czemu nie? Można spróbować. Dostał zgodę. Polecono mu po przyjeździe nawiązać kontakt z rezydentem i w ramach rezydentury wykonać pewne zlecenie. Gromek wyjechał, z kim miał kontakt nawiązać, nawiązał, poczym zniknął. Tłumaczył, że latał. Możliwe. Ale, jak to mówią - na dwoje babka wróżyła. Wcale nie jest wykluczone, że i Amerykanie potraktowali to balonowe latanie jako dobrą, bo naturalną okazję do nawiązania kontaktu z najbardziej obiecującym polskim oficerem młodego pokolenia. Czy to jest takie nieprawdopodobne? Mieli wszak do dyspozycji zbiegłego uczestnika pierwszego kursu z Kiejkut. Gość na pewno opisał wszystkich kolegów, opowiedział na co którego stać, przekazał ich pełne charakterystyki. Czempińskiego nie trudno było dostrzec - przystojny dryblas z daleka rzucał się w oczy. Jeśli chcieli do niego podejść, to na pewno nie pomylili go z kim innym.

W sumie wszystko się dla niego dobrze skończyło: coś tam sobie w Warszawie pomyślano, ale nie było zahaczenia. Powiedzmy - wystarczająco silnego zahaczenia. W każdym razie kariera Czempińskiego zaczęła toczyć się wartko, w tempie, które mu od początku wróżono. Wyjechał do Stanów kolejny raz - teraz już na dłużej, bo do „pracy”. Wszelako jego prawdziwym przeznaczeniem okazała się Genewa, gdzie był rezydentem. W Genewie poznał młodego polskiego stypendystę, wcześniej lwa warszawskich klubów studenckich i dyskotekeja - Andrzeja Olechowskiego. Ich znajomość trwa do dzisiaj i do dzisiaj obfituje w spektakularne przedsięwzięcia.

Z Genewą zresztą wiąże się kolejny tajemniczy przypadek w jego życiu.

* * *

Schyłek lat 80. Wiedeń. Koniec epoki socjalizmu było już widać gdzieś na horyzoncie, ale wydawał się jeszcze daleko. W każdym razie wiedeńscy mieli własne problemy i nie bardzo interesowali się tym, co dzieje się za „żelazną kurtyną”. Aliści Wiedeń to nie tylko stolica walca i ważnych konferencji, to również Mekka szpiegów i agentów.

Słynna kawiarnia „Landtmann'a”, tuż koło pierwszej austriackiej sceny - Burgtheater, codziennie miała komplet gości. Tu właśnie „wszyscy” spotykali się ze „wszystkimi”.

Wiedeń to doskonałe miejsce dla takiej „pracy” - miasto w środku Europy, dobrze z nią skomunikowane, dobrze wewnętrznie zorganizowane, przyjazne ludziom. Nic dziwnego, że stało się targowiskiem wszystkich wywiadów świata. Tu ze sobą rozmawiają, tu załatwiają interesy, nawiązują współpracę dla osiągnięcia jakiegoś celu, poczym rozchodzą się i nadal ze sobą walczą - podglądają się, podsłuchują, śledzą, werbują i przewerbowują. Nasze służby nie odbiegały od tego standardu. Przeciwnie nawet - bardzo doceniały znaczenie Wiednia.

Tego dnia kapitan Kowalski, oficjalnie zatrudniony jako pracownik administracyjny ambasady, miał spotkać się z pewnym biznesmenem z kręgu wielkiej i znanej austriackiej firmy, słynącej nie tylko z produkcji na rynek cywilny, ale przede wszystkim z doskonałych wyrobów na potrzeby policyjno-wojskowe. To było ważne spotkanie. Przy Hietzinger Hauptstrasse 42 c, w Ambasadzie RP, byli wszyscy, którzy w takich razach być muszą. Rozpracowywano najdrobniejsze szczegóły zbliżającej się rozmowy. Właściwie - rozgrywki pomiędzy oficerem naszego wywiadu, a człowiekiem, który w jej rezultacie, miał z tym wywiadem współpracować. Jeszcze raz rozważano wszelkie „za” i „przeciw”, przedyskutowano wszystkie argumenty jakich Kowalski powinien użyć. Było ich trochę - polskie służby specjalne już od dłuższego czasu nad tym Austriakiem pracowały, więc trochę atutów zbierały. Były wśród nich piękna Ślązaczka i równie atrakcyjna mieszkanka Rzeszowszczyzny. Biznesmen znał się bowiem nie tylko na produkcji specjalnej i na handlu nią, ale także na kobietach i trunkach - kochał życie, po prostu. I niezależnie od miejsca i czasu nie zaniebdywał przyjemności. Potrafił mile spędzić wieczór zarówno gdy był w Łąbędach jak i wtedy, gdy interesy rzuciły go do Stalowej Woli.

Niby w latach 80. drobne miłości nie miały znaczenia, ale w kręgach poważnego biznesu obowiązywała niepisana zasada dyskrecji. Uznawano, że człowiek decydujący o wielkich zamówieniach dla zatrudniających tysiące ludzi fabryk, o poważnych przepływach kapitałowych, ma prawo do odrobiny relaksu, zapomnienia, a nawet szaleństwa, byle by to nie rzucało się w oczy. Gdy rzecz stawała się zbyt publiczna, środowisko natychmiast dawało odczuć, że w tej sferze takie zachowanie nie przystoi. Owszem - jest to hipokryzja. Można się zbuntować, można nie podporządkować się tym regułom - każdy jest wolny i może robić co chce... ale też niekoniecznie musi być członkiem kasty biznesmenów. Mimo więc, że bawiąc w Polsce Austriak niczego nie zdradził, niczego nie sprzedał, za bardzo się nie upił, ani nawet nie popełnił drogowego wykroczenia, to jednak jego miłości nie byłyby dobrze widziane w jego firmie, w jego otoczeniu i, co oczywiste, w jego rodzinie. W tym sensie ofiara jaką na ołtarzu interesów narodowych (i sztuki filmowej wydziału techniki operacyjnej wywiadu) złożyły obie Polki nie poszła na marne.

Gdy zdecydowano już o strategii samego werbunku, przyszła kolej na miejsce akcji - gdzie z „figurantem” spotkać się. „Landtmann” przy Karl-Lueger Ring nasuwał się sam przez się. Dojazd doskonały - zarówno tramwajami, metrem jak i samochodem, który akurat w tej okolicy jest gdzie zaparkować. Ale „Landtmann” z przyczyn jakby oczywistych odpadł jako pierwszy. To nie było spotkanie, które od razu powinno być zauważone przez „konkurencję”.

- To może „Cafe Central” - podrzucił ktoś z boku, przy Herrengasse. Też w centrum.

Jednak i ta propozycja przepadła. „Cafe Central”, to miejsce spotkań polityków, artystów, a oni, jak boże ptaki przyciągają do siebie całe stada nie tylko całkiem zwykłych, ale często też wręcz podejrzanym ptaszków.

- „Cafe Central” nie wchodzi w grę. Choćby dlatego, że sami Austriacy siedzą tam na okrągło i uszy mają - o takie.

- Pan się dziwi? Głupi byliby, gdyby tej budy nie pilnowali.

„Buda” była oczywiście słowem umownym, przenośnią, może nawet pieszczotą. Każdy z obecnych wiedział, że to jedna z najszlachetniejszych, najelegantszych i najstarszych wiedeńskich kawiarni.

- No to zostaje Grintzing - zakończył sprawą szef placówki.

Grintzing to najpopularniejsza w Wiedniu dzielnica knajp, knajpek i knajpianych ogródków. Można tu sobie pojeść do syta - tylko tu podają prawdziwy, wielki jak sierpniowy księżyc, sznycel wiedeński - można też upić się doskonałym, młodym winem, w polskich kręgach zwanym „kwaską”.

Grintzing jest wiecznie zatłoczony i stwarza największe szanse na zniknięcie w tłumie.

Ponieważ taka okazja mogła się więcej nie zdarzyć, werbunku nic nie mogło zakłócić. Z kapitanem Kowalskim ustalono więc system sygnałów, które miały upewnić go, że „figurant” przyszedł sam, że nikt go nie „podprowadził”. Dla pewności wyposażono go w specjalny długopis, który oprócz tego że pisał, miał dyskretnie informować czy rozmówca nie ma przy sobie jakiegoś mikronadajnika. To na wypadek, gdyby miało się okazać, że Austriak już dla kogoś pracuje.

Na szczęście żadnych wrogich działań nie zauważono. Nic pojawili się nawet Rosjanie, których było w Wiedniu tylu, że mogli upilnować każdego.

A jednak nie obyło się bez sensacji. Jeden z obserwatorów ubezpieczających Kowalskiego zauważył idącego po drugiej stronie ulicy Gromostawa Czempińskiego. Natychmiast przekazał tę informację.

- Jesteś pewien, że to on?

- Na sto procent.

- Co on tu robi, do jasnej cholery? Widział cię?

- Nie.

- Sprawdź dokąd idzie.

Łatwo powiedzieć. Gromek znał technikę poruszania się z jednoczesnym kontrolowaniem, czy nikt go nie śledzi. Na dłuższą metą nie było szans, żeby niczego nie zauważył. Ale obserwatorowi szczęście sprzyjało - na pobliskim skwerku Gromek serdecznie przywitał się z jakimś nieznanym. Obserwator nie mógł zobaczyć twarzy tego człowieka, bo zasłaniał go słup uliczny. Gdy jednak tamten wyszedł zza zasłony, „nasz” zdębiał po raz wtóry - to był facet z wiedeńskiej placówki CIA. Nic mylił się - zdjęcia rozpoznanych przez nasze służby amerykańskich agentów każdemu pracownikowi ambasady wręcz wbijano do głowy. W takim mieście jak Wiedeń nie wolno było mylić twarzy i koniecznie, ale to koniecznie trzeba było wiedzieć kto jest kim.

Nie było innego wyjścia jak postępowanie zgodne z instrukcją - do Warszawy popłynęła szyfrówka o zauważonym na terenie Wiednia kontakcie naszego genewskiego rezydenta z funkcjonariuszem CIA. Wszczęto procedurę - sprawdzano czy któraś z polskich służb prowadzi operację, której elementem mogło być spotkanie Czempińskiego z Amerykaninem oraz czy Czempiński, jak to jest wymagane, napisał notatkę z tego spotkania. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, bo historia miała akurat inny kaprys, niż zajmowanie się kontaktami Czempińskiego. Wydarzenia polityczne nabrały takiego tempa, że wkrótce nikt nie miał głowy do sprawdzania, co Czempiński robił w Wiedniu zamiast siedzieć w Genewie, i w jakiej sprawie spotkał się z facetem z CIA.

Jednak paru osobom do dziś nie daje to spokoju. Podobno Czempińskiemu też, bo, jak mówią, interesował się potem, czy ten incydent został jakoś zapisany w archiwach służb specjalnych. Niczego nie znalazł, co wcale przecież nie musi znaczyć, że niczego nie ma.

I jeszcze jeden „drobiazg”. Rok 1990, Lizbona. John Palewicz - najślynniejszy „łowca szpiegów” w całej CIA, oficer, który miał na koncie najwięcej werbunków wśród polskich oficerów pracujących w Wietnamie, ni z tego ni z owego zaaranżował spotkanie z polskim rezydentem. Rezydent znał historię Palewicza - wiedział, że po zdobyciu Sajgonu i opanowaniu Ambasady USA Vietkong przejął amerykańskie archiwa. Była wśród nich pełna dokumentacja werbunków polskich oficerów przysyłanych do pracy w misji łącznikowej. Palewicz pozyskiwał ich hurtowo.

- Może warto by pogadać? - zaczął, jak to Amerykanie, bez zbędnych ceregieli.
- Pogadać zawsze można - odparł nasz dyplomatacznie. - Zależy kto z kim ma gadać, my dwaj? Tutaj? O czym?

- Świat się zmienia, może i my moglibyśmy coś zmienić? Nie my dwaj i nie między sobą, tylko może mogłoby się coś zmienić między nami, tak w ogóle. Moi szefowie nie byłiby od tego.

- Przekażę.

- Gdyby twoi szefowie nie mówili nie, to moglibyśmy się spotkać gdzieś bliżej niż tu. Na przykład w Genewie. Może mógłby przyjechać ten wasz Czempiński?

Doszło do takiego spotkania. Co na to Gromek? Przypomnijmy, co powiedział dziennikarzowi ANEKSU: Amerykanom znany był polski wywiad, ja także, choćby z mojego pobytu w USA. Normalne? Może i normalne.

* * *

Można snuć różne przypuszczenia, zadawać setki niewygodnych pytań - w tej robocie nikogo to nie dziwi, ani nie powinno oburzać. Jednego na pewno nie można Czempińskiemu odmówić - on rzeczywiście coś zrobił, wykazał się odwagą i gotowością do poświęceń. W Iraku poszedł na całość. Co prawda teraz, wykorzystując swoją absolutną przewagę medialną nad innymi uczestnikami tej akcji, umiejętnie swoje bohaterstwo sprzedaje, ale i bez tego jego części zasług nikt mu nie odbierze.

„Show must go on” - przedstawienie musi trwać! Wpierw dostała się do prasy wiadomość, że w Polsce z tajemniczą misją przebywa szef amerykańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej Wiliam Webster. Potem okazało się, że kilku polskim oficerom wywiadu wręczył on pamiątkowe medale za zasługi dla CIA, następnie, że rząd USA umorzy Polsce połowę długów. O tym, że to z wdzięczności za uwolnienie sześciu Amerykanów, których zostali na terenach objętych wojną o Kuwejt, powiedziano na końcu. Jeszcze potem urządzono któreś „lecie” akcji, a w finale nakręcono o niej film.

Jednoznacznym i jedynym bohaterem tych opowieści jest Gromosław Czempiński. On sam opowiada o tym w sposób sobie właściwy: mówi, ale tak, jak gdyby nic nie mówił. To swoista mowa wywiadu - niby nic a coś, niby coś a nic. Odzywa się niechętnie, jakby przymuszany. Ale to pozór. Czempiński jest niczym śpiący, rozleniwiony słońcem gepard, którego ta kręcąca się opodal gazela zupełnie nie interesuje. Ale niech się tylko znajdzie w zasięgu skutecznego skoku... niech tylko w polu widzenia pojawi się dziennikarz z mikrofonem w rękę i uwielbieniem w oczach. Na pewno usłyszy suchą, oszczędną, a mimo to dziwnie wyczerpującą i barwną opowieść o pełnym niebezpieczeństw życiu tego skromnego oficera. Przez przypadek tylko nazywanego „polskim James'em Bondem”.

O akcji w Iraku najchętniej mówi tak:

- Gdyby nie irackie kobiety, nie dalibyśmy rady.

To oczywiście nieprawda. Akcja uwolnienia Amerykanów ma swoich prawdziwych bohaterów, którzy, dla ich własnego bezpieczeństwa, na zawsze muszą pozostać anonimowi. Śmierć bowiem podąża ich tropem. Wystarczy odrobina nieostrożności, by czyjeś życie zgasło. Zgasło już co najmniej dwa razy... Więc niech już tak pozostanie, niech Czempiński będzie odtwórcą głównej roli. Trzeba mu oddać, iż skupiając uwagę na sobie, odwraca ją od innych.

* * *

Ponieważ życie jest pełne paradoksów, to i ta kariera skończyła się w sposób, którego nikt nie przewidział, a już najmniej on sam. Padł w wojnie polsko-polskiej. Nie na ulicach Nowego Jorku, Bagdadu, Genewy czy Wiednia, a w polskim trójkącie bermudzkiem wyznaczanym przez Sejm z Urzędem Rady Ministrów, Pałac Prezydencki i Rakowiecką.

I nie w wyniku jakiejś spektakularnej akcji, tylko na skutek kompromitującej, karygodnej prowokacji, wymierzonej w premiera rządu - Józefa Oleksego. Zresztą koncertowo spranej. Padł mimo, że zachowywał wszelkie środki ostrożności.

W wymiarze operacyjnym nadzorował całość tej sprawy - gdy sprawdzano, kim może być „Olin”, tajemniczy informator rosyjskich służb specjalnych. Gdy jednak zaczęto fakty dobierać intencjonalnie i interpretować je tak, by można było poprowadzić Oleksego na szafot, jakby tego nie zauważał. Potem dawał do zrozumienia, że niby nie we wszystko go wtajemniczano, co między bajki można włożyć. W końcu to on zatwierdzał wyjazd dwóch oficerów na Majorkę, gdzie mieli się spotkać z rosyjskim dyplomatą - Ałganowem, wysysającym tajemniczego „Olina” z informacji wagi państwowej. Wyjazd ten zresztą skończył się popisowym blamażem - wszyscy się popili i w rezultacie, zamiast dowodów przeciwko premierowi, asy UOP-u przywozły nagrany pijacki bełkot, a i to niecały, bo skończyła się im kasetą w magnetofonie.

Gdy intryga zmierzała już do finału, Czempiński się „rozchorował”, więc też niby nie mógł wiedzieć, co się szykuje. Jakby chciał przekonać polityczną publiczność, że gdy rzecz zmierzała już do oskarżenia premiera o zdradę, to on w rzeczywistości nie był szefem Urzędu Ochrony Państwa. Naprawdę trudno w to uwierzyć. Tym bardziej, że miał powody by coś podejrzewać, możliwości by to sprawdzić i hańbie zapobiec. Nie zrobił tego. A wystarczyło niewiele, na przykład by pogadał z Zimowskim, przyjacielem Milczanowskiego i jego zastępcą w MSW, który dobrze pamięta, w jakich okolicznościach pierwszy raz zapoznał się z „dowodami” w tej sprawie.

* * *

Tego dnia Zimowski wrócił do domu późno. Nawet jego żona, redaktor P., która z reguły pracuje w nocy, już spała. Ledwie się położył, ledwie zmrużył oko, odezwał się domofon. Pani redaktor złym wzrokiem odprowadziła go do przedpokoju.

- Słucham.
- Jurek?
- Jurek. - Zimowski poznał głos Milczanowskiego.
- Schodź, czekamy na dole.
- Ale dopiero co przyszedłem. Co się stało?
- Nie będziemy rozmawiali przez domofon. Zejdz.

Zimowski zaklął, obsadzając w głównej roli tego przekleństwa mamusię przyjaciela. Na szczęście dla ich przyjaźni wcześniej przestał naciskać guzik domofonu.

- Co się dzieje? Czy wyście już kompletnie zwariowali, żeby urządzać zbiórki po nocach?

Redaktor była wściekła. Miała wyjątkowo ciężki dzień - od rana: URM, redakcja, rzeźnik, Sejm, bazar, dom, gotowanie, pisanie. Po takim maratonie nie może nawet spokojnie wypaść się we własnym łóżku.

Zimowski nie słyszał już jej gderania. Włożył na nogi kapcie i jak stał, tak zjechał na dół. W samochodzie czekał na niego Milczanowski z Jasikiem. Ruszyli ostro i po paru minutach wjeżdżali na teren MSW. Nie od frontu wszakże, od strony Rakowieckiej, tylko „od kuchni”, od ulicy Batorego, wprost na dziedziniec przed blokiem F.

W holu Milczanowski zatrzymał się. Odruchowo stanęli również - Jasik, jakiś taki zblały i ponury jednocześnie, jakby dręczył go potworny kac-gigant i Zimowski - w kapciach.

- Jerzy, sprawa jest wagi państwowej. Muszę odebrać od ciebie przysięgę, że docho-wasz tajemnicy. Podnieś prawą rękę i powiedz: przysięgam.

Początkowo Zimowski miał poczucie, że uczestniczy w jakiejś farsie, ale Milczanowski był śmiertelnie poważny, Jasik też. Nawet żołnierz pilnujący wejścia stał wyprężony na baczność. Podniósł więc rękę i głośno powiedział:

- Przysięgam.

W windzie klął w duchu jak cholera - ależ tu są cugi. Nogi mam zlodowaciałe. Że też nie zdążyłem zmienić tych kapci.

W gabinecie czekali na nich już Marian Zacharski - gwiazda wywiadu, człowiek, który zbierał dowody przeciwko premierowi i minister spraw zagranicznych Władysław Bartoszewski.

Co on tu robi, pomyślał Zimowski witając się z Bartoszewskim? Co to za skład?

Bartoszewski zaś, jakby w odpowiedzi: - ja wszystko rozumiem, ale włożyłby przynajmniej skarpetki.

- Panowie - Milczanowski przerwał ten niemy dialog. - Zwołałem was, bo rzecz jest wyjątkowej wagi. Jak panowie wiedzą, służba wywiadu Urzędu Ochrony Państwa jest od jakiegoś czasu w posiadaniu informacji, że w Polsce działa rosyjski szpieg, który ma doskonale ulokowanego agenta o pseudonimie „Olin”. Dotąd wiedzieliśmy o nim tylko tyle, że należy do klasy politycznej i że jest doskonale ulokowany w elitach politycznych. Pragnę panów poinformować, że w wyniku działań operacyjnych pan pułkownik Marian Zacharski zdobył dowód, że „Olinem” jest Józef Oleksy, premier.

Powietrze w gabinecie miało ciężar ołowiu. Jasik trzymał głowę nisko, niemalże między kolanami, Milczanowski, pewnie nie zdając sobie z tego sprawy, jak kabotyn przybrał minę sępa, Bartoszewski nerwowo wycierał okulary i wyjątkowo nic nie mówił. Tylko Zacharski nie mógł ukryć swojej ważności i dumy z osłupienia w jakie wprowadził tak zacne grono. Zimowski wprawdzie myślał, że śni, ale i na niego atmosfera tej chwili i tego niecodziennego zebrania zaczęła działać. Na plecach poczuł pierwsze ciarki, choć jeszcze nie wiedział czy to z emocji, czy z chłodu. Wstawał świt.

Świt jak zwykle jest czerwony, pomyślał ni w pięć ni w dziesięć.

- Zaprezentujemy panom nagranie jakiego pan pułkownik dokonał podczas rozmowy z rosyjskim dyplomatą - Jakimiszyinem.

Milczanowski spojrzał na Zacharskiego. Ten, wyciągając z kieszeni mały dyktafon, tłumaczył, że nagrania dokonywał tajnie, w sytuacji, która wymagała natychmiastowej decyzji.

Nie mógł więc odpowiednio przygotować sprzętu. Musiał posłużyć się tym, który zawsze ze sobą nosi.

- W moim fachu nigdy nie wiadomo kiedy wypadnie człowiekowi nagranie i z kim - zażartował. - Gdybym jednak miał więcej czasu, przygotowałbym odpowiedniejsze miejsce i lepszy mikrofon. Ale i tak jest nieźle.

Chwilę oglądał dyktafon, raz i dwa wykręcił go na wszystkie strony, aż wreszcie znalazł przycisk „play”. Z małego głośniczka zaczęły wydobywać się dźwięki jakiejś rozmowy toczonej przez dwóch mężczyzn. Zimowski zmarszczył czoło z wysiłku, żeby żadnego słówka nie uronić. Ale to, co usłyszał, za chińskiego boga, nie chciało układać się w zdania, które Zacharski wypowiadał równoległe z tym, co ciekło z dyktafonu. Zacharski bowiem symultanicznie tłumaczył to, o czym właśnie teraz, w dyktafonie, z Jakimiszyinem mówił. Wszyscy słuchali go z zapartym tchem. Zimowski bał się cokolwiek powiedzieć, żeby nie wyjść na idiotę: może to ja jestem kretyn? Na dodatek głuchy jak pień.

Tymczasem Zacharski, a z nim zauroczeni słuchacze, podniecał się coraz bardziej.

- Teraz, teraz, uważajcie. Słuchajcie, co powie.

Zimowski znów usłyszał tylko „kurwa” i „chuj”. Reszta, nie wiadomo już który raz, złała mu się w pijacki bełkot.

Wreszcie zmaltretowany dyktafon przestał wypluwać z siebie dźwięki, które w opinii Zacharskiego, ale też pozostałych słuchaczy, miały być dowodem, przyszpilającym Oleksego.

Okazało się, że to jeszcze nie koniec niespodzianek. Milczanowski podszedł do szafy pancерnej i wyjął z niej teczkę z nadrukiem „Minister Spraw Wewnętrznych”. Była w niej kartka papieru. Pokazał ją zebrany. Była to jakaś notatka pisana po rosyjsku.

- Mamy nagranie, mamy również dowód na piśmie. Notatkę oficera rosyjskich służb specjalnych, pracującego pod dyplomatycznym przykryciem w Ambasadzie Rosji w Warszawie, z której jednoznacznie wynika, że Oleksy musi być „Olinem”.

Każdy po kolei wziął papier do ręki, oglądał z podziwem. Zacharski puchł z dumy. Gdy notatka dotarła do Zimowskiego zaczął ją czytać. Nie znał rosyjskiego biegle, ale żeby zorientować się o czym czyta, wystarczyło.

- Słuchaj Andrzej. Na tyle na ile ja znam ten język, to nie ma tu niczego o czym mówisz.

- Spokojnie, drogi przyjacielu. Przed tobą czytał ją nasz oficer, który pół życia spędził na robocie w dawnym ZSRR. Nie gniewaj się, ale w jego rosyjski bardziej wierzę, niż w twój.

Gabinet wypełnił zdrowy rechot zadowolonych z siebie mężczyzn. Milczanowski otworzył barek i nalał po lampce koniaku.

- Wypijmy za polski wywiad i za pana pułkownika Zacharskiego w szczególności. Dobrze zasłużył się pan Polsce, panie pułkowniku.

Zrobiło się kiczowato podniosłe. Co prawda Milczanowski nie omieszkiał natychmiast dodać, że ten sukces oznacza niestety, iż Polska stanie w obliczu najtrudniejszej od roku 1989 próby, ale podstawowym obowiązkiem patrioty jest odeprzeć każdy atak na niezawisłość ojczyzny. Mówiąc to zmieniał się z sekundy na sekundę - rósł, potężniał. Popadł w jakiś trans, w rodzaj samonapędzającego się podniecenia. Oczy błyszczały mu gorączką, głos sam modułował się monumentalnie... Już nie był człowiekiem z krwi i kości, tylko, przyobleczonej w majestat sprawiedliwości, człowiekiem ze spiżu. Wierzył w to, co mówił.

Doprowadzenie człowieka do takiego stanu, żeby z oddaniem i absolutnym przekonaniem robił co chcemy, to największe mistrzostwo, osiągane tylko przez najwybitniejszych oficerów służb specjalnych i to po latach szkolenia. Jasik i Zacharski z zapartym tchem patrzyli na swe dzieło. Minister ciągnął:

- Ten atak zaś był wyjątkowo groźny i podstępny. Wymierzony bowiem został przez czołowego reprezentanta formacji, która tylko dzięki wspólnemu myśleniu ludzi „Solidarności”, na równych z nią prawach, uczestniczy w życiu publicznym. Wszelako zbrodnia Oleksego stawia na porządku dziennym pytanie o sens dalszej koabitacji. „Solidarność” będzie musiała sobie odpowiedzieć, czy jest możliwe dalsze przyzwolenie na niczym nieskrępowanie działania postkomunistów. Może należy rozważyć zakaz wszelkiej działalności publicznej dla tych ludzi, po to by z czasem ukształtowała się zupełnie nowa lewica, wyrosła już z Polski niepodległej.

Zacharski chciał bić brawo, ale w ostatniej chwili opanował się. Jasik, jak zwykle miał twarz karawaniarza, co w tej sytuacji akurat było bardzo *à propos*, Bartoszewski nerwowo oblizywał wargi. Zimowski stał skamieniały. Na nim też Milczanowski zrobił wrażenie. A mimo to, gdzieś w zakamarkach jego twarzy czaiła się... no właśnie, co? Niepewność? A może był to strach przed przyszłością? Bo przecież, to co rozegrało się tutaj było dopiero wstępem, uwerturą, do tego co miało nastąpić, gdy kurtyna odsłoni przed publicznością całą scenę.

Już po tym spotkaniu przy jakiejś obojętnej okazji Zimowski szepnął do Sobotki, też wówczas wiceministra spraw wewnętrznych - za chwilę będziemy się tłukli. I po co nam to?

* * *

Czempiński był bodaj jedynym człowiekiem, który mógł przerwać ten fatalny rozwój wydarzeń. Nie zrobił tego. Nie mógł, czy nie chciał? Nie był w stanie, czy liczył na jeszcze mocniejszą pozycję po nowym rozdaniu - już po unicestwieniu SLD? To są podstawowe pytania, które zaważyły na jego karierze.

Tymczasem on, oprócz zawistnych kolegów, za sprawcą swoich niepowodzeń, za człowieka, który doprowadził do odsunięcia go od wpływów na bieżącą politykę, uważa byłego

koordynatora służb specjalnych w rządzie Cimoszewicza i następcę Milczanowskiego na stanowisku Ministra Spraw Wewnętrznych - Zbigniewa Siemiątkowskiego. Czempiński jest przekonany, że Siemiątkowski swoimi intrygami zniechęcił do niego prezydenta Kwaśniewskiego.

W pewnym sensie ma rację. Myli tylko powinności służbowe z dworskimi podlizzami, fakty z poglądami.

* * *

Prezydencki samolot wrócił z Brukseli z niewielkim opóźnieniem. Prezydent Kwaśniewski właśnie Brukselę, Unię Europejską i NATO wybrał za cel swojej pierwszej podróży w charakterze głowy państwa. Chciał w ten sposób podkreślić priorytety jakie on, wywodzący się z SLD polityk, chce podczas swej prezydentury realizować.

Na lotnisku wojskowym w Warszawie czekali na niego najbliżsi współpracownicy, wśród nich - jak zawsze sprawiający wrażenie wyplószonego - Siemiątkowski. Premiera nie było, bo Polska w tym momencie w ogóle premiera nie miała. Zgnębiony Oleksy podał się już do dymisji, a koalicja PSL-SLD nie uzgodniła jeszcze następcy. Lewica była skłonna zgodzić się na to, by premierem został ludowiec, ale pod warunkiem, że będzie to Łuczak. Tymczasem bardzo silna w PSL-u frakcja, związana z byłym premierem Pawlakiem, prędzej rękę dałaby sobie obciąć, niżby zgodziła się na tego tenisistę.

Prezydent, zaraz po wyjściu z samolotu i po zdawkowych powitaniach, przeszedł do rzeczy.

- Co sływać?

- Sam zobacz.

Siemiątkowski podał mu najnowszy numer poznańskiego tygodnika „Wprost” z krzyżującym z okładki tytułem „Zdrada”. Ładna rzecz. Było o tym, że „Olin”, to kaszka z mlekiem, to za ledwie wierzchołek góry lodowej. Tygodnik, ni mniej ni więcej, tylko „wpadł” na trop informacji, że jeszcze bardziej zakonspirowani i jeszcze groźniejsi są inni agenci. „Kat”, mianowicie i „Minim”. To są dopiero szubrawcy. „Olin” przy nich to niewinne dziecię, które co najwyżej zapaskudziło pieluchę. „Kat” i „Minim” też, a jakże, wywodzili się z przywódczych kręgów lewicy.

- Ściągnij Koniecznego i Czempińskiego - rzucił wściekły w stronę Siwca.

Kolumna czarnych limuzyn z kopyta ruszyła w stronę Pałacu Prezydenckiego. Siemiątkowski jechał z Kwaśniewskim. O czym rozmawiali, nie wiadomo. Po kilkunastu minutach samochody wjeżdżały przez bramę Pałacu obok wyprężonej na baczność warty. Prezydent poszedł do swojego gabinetu. Tymczasem na dziedzińcu pojawiły się dwa następne auta - przyjechali Konieczny i Czempiński. Sytuacja był bardzo nieprzyjemna. Prezydent był w najwyższym stopniu wzburzony. Z trudem nad sobą panował.

- Co to jest? - rzucił na stół „Wprost” ze „Zdradą” na okładce.

Nie czekał na odpowiedź. Natarł z furią na Czempińskiego.

- Ty myślisz, że ja nie wiem o co chodzi. Przecież to jest gówna. Jest tylko jedna, jedyna notatka, w której padają ten „Kat” z „Minimem”. Nigdy nie potwierdzona żadnym dowodem, bez żadnych wiarygodnych wskazań na kogokolwiek. Na kogokolwiek! Są tam cztery podpisy: twój, Zacharskiego, Libery i Wałęsy. Każdy z was napisał „zapoznałem się”. Tylko wy czterej znaliście tę notatkę. A oni - w tym momencie prezydent wziął do ręki tygodnik, chwilę nerwowo nim wymachiwał, poczym trzasnął nim o biurko - mi tu pieprzą, że „wpadli na trop informacji”. To któryś z was spowodował ten wyciek. Próbujecie grać Polską. Kierujesz organizacją groźną dla państwa, zawiązałeś sojusz starej bezpieki z nową, jesteście chorzy. A ty, chuju - prezydent już nad sobą nie panował, grasz ze mną w tenisa, strugaszk kumpla, a za plecami ostrzysz sztylet - wysyłasz do Cetniewa kapusiów, żeby wachali moje łóżko, żeby zaglądali do talerzy, żeby przepytywali kelnerów z kim piłem.

To była ich ostatnia rozmowa. Kwaśniewski nie przyjmował żadnych tłumaczeń. Uważał, że nie tylko koleżeńskim, ale wręcz państwowym obowiązkiem szefa Urzędu Ochrony Państwa było poinformować prezydenta o podejrzeniach gęstniejących wokół premiera, dać ocenę ich wartości. Czempiński nie dość, że tego nie zrobił, to jeszcze kto wie, czy nie przyłożył ręki do antyprezydenckich działań. „Najzdolniejszy oficer polskiego wywiadu” wyszedł z prezydenckiego gabinetu purpurowy. Nigdy dotąd nikt tak go nie potraktował. Wrócił do biura, napisał raport o zwolnienie ze służby i złożył go u Koniecznego. Nie wiadomo skąd, ale już na drugi dzień rano Siemiątkowski o tym wiedział. Konieczny nie mógł więc, nawet gdyby chciał, udąć że nie ma sprawy. Tymczasem po pani godzinach Czempiński rzeczywiście otrząsnął się z przykrych przeżyć i znów zaczął na zimno kalkulować. Wykalkulował, że rezygnacja jednak mu się nie opłaca. Oddawał przecież pole bez walki, tracił wpływy i znaczenie.

Zrozumiał, że staje przed potwornie trudnym zadaniem - jedynym ratunkiem była rozmowa z nowym szefem MSW - Siemiątkowskim. Zameldował się więc i natychmiast został przyjęty. Niestety jego plany, różne warianty tej rozmowy, które sobie opracował, okazały się funta kłaków warte. Siemiątkowski „ze zrozumieniem” pochylił się nad jego problemem i nie miał zamiaru hamować biegu decyzji, którą ten wybitny oficer podjął. Nie wiadomo, czy to on zaprojektował tę grę! W każdym razie on ją skończył.

- To kiedy chcesz odejść? - zapytał.

Właśnie w tym momencie Czempiński znienawidził go serdecznie i do końca. Zrozumiał, że choć sam całe życie grał z ludźmi w gumy, tym razem z nim zagrano. Obaj przecież wiedzieli, że on wcale nie chce odchodzić, ale tylko Czempiński był w pułapce. Musiał robić dobrą minę do złej gry. Minister przecież z pełnym szacunkiem „poszedł mu na rękę”. „Gromek” zdołał wypowiedzieć jakieś zdanie na temat Amerykanów, ale nie wiadomo o co mu chodziło.

Być może chciał powiedzieć, że oni mogą nie być zadowoleni z jego odejścia. Być może. W każdym razie podczas jakiejś kurtuazyjnej wizyty, którą na Rakowieckiej złożył przedstawiciel służb amerykańskich o „sprawie Czempińskiego” nie było mowy. W niedługim czasie Siemiątkowski został zaproszony do złożenia wizyty w USA. Czempiński natomiast, chcąc nie chcąc, rozpoczął karierę biznesmena. Bez kłopotu, gdyż miał bardzo rozbudowane kontakty i nawet pewne zasługi dla różnych biznesmenów. Mieli teraz okazję okazać swą wdzięczność, a i solidarność poniekąd też.

Zacharski

Dom prezesa najgłośniejszej na początku lat 90. oficyny wydawniczej jest obszerny i gościnny. Bywają tu goście szczególnie, gdyż i gospodarz jest człowiekiem szczególnym - ustosunkowanym, zaprzyjaźnionym z ludźmi z pierwszych stron gazet, czasem z drugich, z ludźmi okupującymi listy najbogatszych, z najwybitniejszymi postaciami ulicy Rakowieckiej też. Dla wielu z nich jego dom był naturalnym miejscem ucierania interesów.

Jednak w ten wieczór goście, nawet jak na ten dom, byli wyjątkowi: Marian Zacharski, Henryk Jasik, Leszek Miller, Mieczysław Rakowski, Wojciech Jaruzelski. Spotkanie zaaranżował gospodarz. Czas był gorący, czas „Olina”. W tych dniach polityka przelewała się przez ulice Warszawy niczym wyjąca kipiela powodziowa fala, która niosąc na swoim grzbiecie połamane biurka, zmięte życiorysy i rozszarpane kariery, zmiata i niszczy wszystkich po drodze.

Choć poziom emocji, jak poziom wód, oscylował w górnych strefach stanów wysokich, to gazety ujawniające kolejne rewelacje związane ze „sprawą Oleksego” stopniowo dostawały

zadyszki, publiczność zaś wykazywała pierwsze oznaki znudzenia. A i sama intryga wytracała początkowy impet. Niemniej harcownicy nie dawali jeszcze za wygraną. Donald Tusk wyskoczył na przykład z postulatem delegalizacji lewicy. Wszelako najbardziej opiniotwórcze środowiska, związane z „Gazetą Wyborczą” i Unią Wolności dawały do zrozumienia, że na razie dymisja Oleksego i poddanie premiera lewicowego rządu procedurom śledczym, wystarczy. Tym bardziej, iż jęły pojawiać się pierwsze wątpliwości, ludziom UOP i kierownikowi MSW zaczęto stawiać niewygodne pytania, słowem plan wyraźnie zaczął się rysować. Okazało się na przykład, że wiceminister Zimowski miał rację, mówiąc, iż jeden z „koronnych” dowodów przeciwko premierowi - napisana po rosyjsku notatka, którą pokazano mu tamtej pamiętnej nocy w gabinecie na Rakowieckiej - oznacza coś innego, niż to, o czym go wówczas zapewniano. Podobnie rzecz się miała z innymi „koronnymi” dowodami. W tej sytuacji autorzy awantury zorientowali się, że sprawę może uratować tylko cud. Cudem na przykład byłoby, gdyby SLD dał się przekonać do złożenia Oleksego na ołtarzu zgody narodowej. Taki był cel nowej misji Zacharskiego, której spełnienie ułatwił mu gospodarz domu. Bo przecież na zaproszenie Zacharskiego nie przyszedłby ani Miller, ani Rakowski, ani Jaruzelski. A tak - wszyscy znaleźli się w jednym miejscu i w jednym czasie. Zacharski dwoił się i troił.

- Leszek, proszę was, machnijcie ręką na Józka. Trudno, stało się. Co wy myślicie, że nam nie było przykro. Też nie wierzyliśmy w to wszystko. Przecież nie zapomnieliśmy skąd jesteśmy. Co się jednak stało już się nie odstanie. Coś więcej jest do uratowania niż Oleksy. Nie będziemy za niego umierać, pal go diabli, nie kłómy się o niego. Panie generale..., panie premierze..., Leszek...

W końcu zrezygnował. Cudu nie było. Wracając, gdzieś w głębi duszy próbował zrozumieć, czy potraktowano go tylko lodowato, czy może jak pętaka.

* * *

Kariera „najstłynniejszego szpiega PRL” zaczęła się banalnie - Zacharski został do współpracy zwerbowany. Nigdy nie był oficerem. Był „stukiem”, po prostu, czyli właśnie kimś, kogo się najpierw „opracowuje”, czyli bada w czym może być przydatny, ocenia jego dobre i złe strony, sprawdza czy ma jakieś nałogi, przyzwyczajenia, pasje, ułomności. Potem się pod takiego delikwenta „podchodzi”, a więc nawiązuje kontakt, a na końcu się go „stukają” - czyli prośbą, groźbą, za pieniądze lub szantażem, werbuje do współpracy. Zacharski został wysłany do Ameryki nie jako oficer wywiadu, lecz jako agent wywiadu. To różnica mniej więcej taka jak między Skrzetuskim a Rzędzianem, albo jak między Kmicicem a Butrymami. Choć oficerowie pełnymi garściami korzystają z pomocy agentów, to tak naprawdę mają ich w pogardzie. Dopiero gdy Zacharski w tej Ameryce wpadł, to po to, by łatwiej było prowadzić negocjacje na temat jego uwolnienia, „ukadrowiono” go, czyli zarejestrowano jako oficera.

Rozmowy w jego sprawie prowadzono poprzez NRD-owskiego adwokata. Ostatecznie dobito targu - na Zacharskiego zrzucił się cały Układ Warszawski. Wymieniono go za 25 amerykańskich szpiegów, osadzonych i osadzonych w więzieniach wszystkich krajów socjalistycznych.

* * *

Warszawa, wojskowe lotnisko na Okęciu. Jest słonecznie i bardzo ciepło. Na placyku przed pawilonem dla VIP-ów kręci się spora grupa mężczyzn. Dobrze ubrani, eleganccy, odświętni. Co chwilę któryś spogląda nerwowo na zegarek.

- Są już nad Łodzią. Niedługo ich zobaczymy. Nadlecą z tamtej strony, o stamtąd, towarzyszu dyrektorze.

Ekipa Dziennika Telewizyjnego zauważyła, że na słowa „towarzyszu dyrektorze” we wskazanym kierunku spojrzęły trzy co najmniej głowy. Ludzie z DTV zostali tu wpuszczeni

jako jedyni. Byli uprzedzeni, że mogą filmować wszystko i wszystkich, ale... od tyłu.

- Do redakcji pojedzie z panami ten pan.

Oficer prasowy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wskazał im na jeden z tych bardzo dobrze skrojonych garniturów. Garnitur skłonił się w ich stronę, co znaczyło, że znajomość została zawarta.

Samolot nadleciał wreszcie i szczęśliwie wylądował. Obsługa podstawiała schodki, po chwili drzwi otworzyły się i pokazał się w nich świetnie w słońcu i na tle srebrzystego samolotu prezentujący się blondyn. Marian Zacharski. Bohater. Przy schodkach, pozornie w nieładzie, ale jednak w ordynku, stał już - uformowany w półkole - wianuszek facetów. Mimo, że wszyscy byli po cywilnemu, to każdy doskonale wiedział, jaki kto ma stopień, jakie zajmuje stanowisko i komu przed kim należy się pierwszeństwo. Pośród tych ciemnych ubrań, jak chorągiew na wietrze, powiewały długie blond włosy, stojącej na samym przedzie, jedynej w tym towarzystwie kobiety - żony bohatera. Dyrektorzy, generałowie i pułkownicy z czułością, rozrzewnieniem i rozmarzeniem uśmiechali się, gdy małżonkowie po raz pierwszy od wielu, wielu miesięcy pocałowali się i przytulili do siebie. Niejednemu zrobiło się mokro pod oczami. To był wielki dzień polskiego wywiadu - ich człowiek, wykonał najcięższe zadanie. Co prawda wpadł, ale państwo potrafiło go obronić, wydobyło z amerykańskiego więzienia. Cena nie grała roli. Nie zostawiono Zacharskiego na pastwę losu. To było dla nich bardzo ważne - świadomość, że poświęcają się dla Polski, która o nich nie zapomina, gdy są w potrzebie, była dla nich wzruszająca i mobilizująca zarazem.

Po krótkim powitaniu na lotnisku wsadzono Zacharskiego do samochodu i długa karawana czarnych Peugeotów pojechała na Rakowiecką, do „centrali”. Ekipa DTV już się z nimi nie zabrała. Jak zwykle czasu było mało i jeśli relacja miała ukazać się w głównym wydaniu Dziennika, to musieli jechać na Plac Powstańców, do redakcji. Człowiek, którego przedstawiono im na lotnisku, oczywiście był z nimi. Pilnował zwłaszcza fazy montowania filmu - w kadrze nie mogła pojawić się ani jedna twarz, poza twarzą Zacharskiego.

O 19.30 relacja została wyemitowana i... nagrana w amerykańskiej ambasadzie w Warszawie, jako dowód, że „transakcja” dokonana się. Materiał filmowy uzupełniono informacją, że zaraz po powrocie przyjął Zacharskiego Minister Spraw Wewnętrznych, Czesław Kiszczak i przypiął mu do garnituru Krzyż Walecznych - jedno z najwyższych odznaczeń za bohaterские czyny na polu walki.

Potem zapadła cisza. Zacharski zniknął. Publiczność przyjęła to jako coś normalnego - każda służba na zawsze odsuwa od siebie agenta po takiej wpadce. Tymczasem cisza wokół Zacharskiego trwała kilka miesięcy zaledwie, do czasu gdy okazało się, że zrobiono z niego dyrektora Przedsiębiorstwa Handlu Zagranicznego Pewex. W latach 80. taka posada kojarzyła się jednoznacznie z życiem spędzonym w dostatku, pośród markowych przedmiotów, smacznych potraw i dobrych trunków.

Należy mu się, pomyślał niejeden.

Ale mało komu wpadało do głowy, że ta posada może być sygnałem, iż Zacharski nie został od służb specjalnych odsunięty przesadnie daleko. Pozycja dyrektora Pewex-u oznaczała nie tylko łatwość w czynieniu tekstylno-garmażeryjno-alkoholowych grzeczności kolegom i ich żonom. To również naturalne kontakty handlowe z firmami z całego świata, naturalna okazja do ciągłych wyjazdów, podróży, kontaktowania się z każdym i wszędzie. To również były zresztą powody, dla których służby specjalne utrzymywały tak liczne „aktywa” pośród pracowników handlu zagranicznego i handlowych central.

Patrząc po latach na karierę Zacharskiego można powiedzieć, że posada dyrektora Pewex-u to był pierwszy, choć zlekceważony przez wszystkich sygnał, że agent wraca do gry.

* * *

Spiker przeczytał tę wiadomość rutynowo, banalnie: jak poinformował rzecznik Mini-

sterstwa Spraw Wewnętrznych, minister Andrzej Milczanowski powołał Mariana Zacharskiego na stanowisko dyrektora Zarządu Wywiadu Urzędu Ochrony Państwa. Gdy skończył w kilku co najmniej domach w Warszawie, na twarzach widzów, malowało się totalne zaskoczenie. Tylko widz Czempiński nie stracił zimnej krwi.

- To robota tego pieprzonego Henia!

Nigdy Jasika nie lubił. Brało się to głównie z pychy Czempa, który sięgał przecież szczytów - kontrwywiad zagraniczny, w którym pracował, to była najbardziej rektyfikowana, najczystsza postać bezpieczeństwa. Pracowali tylko za granicą. W całkowicie obcym środowisku musieli wyrobić sobie kontakty i znajomości na tyle efektywne, by skutecznie kontrolować agenturę działającą w Polsce. W latach 80. chodziło głównie o rozsypywanie powiązań działaczy „Solidarności” i zagranicznych struktur związku z obcymi służbami.

Jasik natomiast całe swoje szpiegowskie życie spędził w wywiadzie naukowo-technicznym. Gdy już zdarzyło mu się pracować za granicą - w Niemczech, to zestrzącał się, zestreśował do tego stopnia, iż musiał wracać i leczyć nerwy pośród mazurskich ostępów, jako wykładowca w Kiejkutach.

W ocenie przyczyn sensacyjnego awansu Zacharskiego, Czempiński nie mylił się - rzeczywiście był to robota Jasika. Czempiński w sekundzie uświadomił sobie, że jeśli tego nie storpeduje, to „stuk” będzie przełożonym oficerów.

- Takiego! Makowski, Bednarz, Banaszek, Chętko - ale nigdy nie ten.

* * *

Był czerwiec 1992 roku. Szef MSW w rządzie Olszewskiego, Antoni Macierewicz, rozpuścił pierwszą aferę teczkową. Ulica w ogóle na nią nie zareagowała. Tzw. przeciętny człowiek już nie identyfikował się z tym, czym żyją elity, „oni”. Sejm natomiast trząsał się w posadach, premier z dramatycznym orędziem wystąpił w telewizji, a w kilku miejscach w stolicy panował stan najwyższej gotowości. Tymczasem w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego, u Koniecznego, na rozwój wydarzeń czekał ściągnięty już ze Szczecina Milczanowski. Gdy przewrót się dokonał i rząd Jana Olszewskiego przeszedł do historii, Wałęsa podsunął go Suchockiej, która oczywiście nie stawiała żadnego oporu. Milczanowski natychmiast zajął gabinet po Macierewiczu. Wtedy jego kandydatem na szefa UOP był Jasik, który, wyrzucony przez Macierewicza, marnował się w firmie Inter-Arms. Czempiński, skutecznie to marzenie rozwiązał. MSW było wtedy tzw. „resortem prezydenckim” z czego Wałęsa korzystał w pełni i bez skrupułów. „Gromek” miał bardzo dobre kontakty z Belwederem, a zwłaszcza z jego prawdziwym zarządcą - Mieczysławem Wachowskim. Panowie lubili się i mieli do siebie zaufanie. Równie dobre kontakty utrzymywał z Szefem Sztabu Generalnego gen. Tadeuszem Wileckim. Tak więc wystarczyło zadzwonić, by Jasik nie miał szans. Chcąc nie chcąc musiał zostać w Inter-Armsie, gdzie go zresztą przyszedł Marian Zacharski, któremu Pewex zdążył już się znudzić.

W wyniku akcji Czempińskiego szefem UOP został kryminolog z Katowic, profesor Jerzy Konieczny.

Po raz kolejny Milczanowski sięgnął po Jasika w roku 1993, kiedy to, po raz drugi (znów nie bez pomocy Wałęsy) został szefem MSW, tym razem w rządzie SLD-PSL, przy premierze Pawlaku. Korzystając z tego, że zwycięzcy wyborów parlamentarnych nie chcieli już na samym starcie zadrażniać swych stosunków z prezydentem, mianował Jasika jednym ze swoich zastępców. Czas pokazał, że polityce uprawianej przez Wałęsę, Jasik z Zacharskim bardzo się w tym Inter-Armsie przysłużyli. Trzeba bowiem trafić, że to właśnie stamtąd wypłynęła w świat afera, która zdmuchnęła Pawlaka z premierowskiej posady. Wystarczyły pierwsze oznaki niesubordynacji wobec Belwederu, by lider PSL-u ujrzał swoje prawdziwe miejsce w szyku - tygodnik „Wprost” opublikował artykuł neglżujący jego powiązania z wła-

ścicielem firmy Inter-Arms, która dostała lukratywne zamówienie na komputeryzację Urzędu Rady Ministrów. Zapachniało co najmniej kumoterstwem. Sensacyjna wiadomość o ich bliskim, jeszcze z czasów studenckich, koleżeństwie, które mogło mieć wpływ na wynik przetargu, okraszona była wątkiem miłosnym, sugerującym, że premier uprawia skoki w bok. Na opublikowanym we „Wproście” zdjęciu, niezwykle przypominającym zdjęcie robione w tzw. „warunkach operacyjnych”, widać nawet było bardzo atrakcyjny cel tych skoków.

Wkrótce również, tym razem korzystając z tego, że Czempiński na chwilę się odwrócił, Milczanowski zrobił Jasikowi grzeczność i mianował Zacharskiego szefem Zarządu Wywiadu UOP.

„Czemp” nie stracił jednak zimnej krwi. Szefem resortu spraw zagranicznych, jeszcze jednego „resortu prezydenckiego”, był przecież jego, jakby tu powiedzieć? - dobry znajomy, kolega - Andrzej Olechowski. We dwóch rozpętali niezwykle gwałtowną kontrakcję, która rozegrała się na linii Warszawa - Waszyngton. Ogień zaporowy przeciwko Zacharskiemu położyli Brzeziński z Nowakiem-Jeziorańskim. Na niestosowność tej nominacji zwrócił również uwagę jakiś urzędnik Departamentu Stanu. To wystarczyło - po dwóch dniach Zacharski zrozumiał, że nie ma szans, i że w jego, ani w niczym interesie nie jest, by się stawiał. Bez protestu został odwołany, co jak pokazały dalsze wydarzenia wcale nie znaczyło „przekreślony”. Co to, to nie. Jakaś opatrność nad nim jednak czuwała.

Ale ktoś szefem wywiadu być musiał. Jak nie Zacharski, to kto?

- No dobrze panowie, kogo proponujecie?

Zimowski i Jasik patrzyli na siebie zdezorientowani. Szczerze mówiąc nikt nie przychodził im do głowy. Gdyby Czempiński był na ich miejscu, nic miałby najmniejszych kłopotów ze wskazaniem któregoś ze swych długoletnich kolegów. Ale Jasik ludzi z wywiadu nie znał. A przynajmniej nie na tyle dobrze, żeby odpowiedzialnie wskazać jakąś kandydaturę. Milczał więc prawdziwie zakłopotany. Nagle uświadomił sobie, że przecież nigdzie nie jest zapisane, iż wywiadem musi rządzić ktoś z wywiadu. To była prawdziwa iluminacja.

- Mam kandydata, panie ministrze. Nie jest on co prawda stricte z wywiadu, ale to fachowiec z długoletnią praktyką w służbach specjalnych, również za granicą.

Zimowski wyglądał jak człowiek, któremu zdjęto z pleców worek z mąką. Od chwili gdy Milczanowski zapytał o kandydata z nadzieją wpatrywał się w Jasika, jakby szukając w nim wybawienia z tego poważnego, było nie było, kłopotu. Tak naprawdę bowiem Zimowski znał tylko jednego człowieka ze służb - szefa delegatury szczecińskiej, Jana Wesołowskiego. Milczanowski też go oczywiście znał, ale była to postać zbyt mikra, by można było widzieć w niej szefa Zarządu Wywiadu. Tym bardziej, że Wesołowski to były komuch tylko przerobiony na nowe kopyto, a z góry było wiadomo, że Wałęsa takich przeróbek nie lubi. Woli już raczej pracować z tymi, którzy do końca pozostali wierni złożonej kiedyś przysiędze. Słynne było przecież jego powiedzenie o tym, że jak ktoś raz zdradził, to zdradzi i drugi. Wesołowski nadawał się więc co najwyżej do specjalnych poruczeń zleczanych przez Milczanowskiego, ale raczej typu „załatw wczasy w Świnoujściu”, lub przypilnuj mi tego a tego.

Był co prawda w Szczecinie jeszcze jeden oficer, doskonały zresztą, jeden z tych z pierwszego kursu w Kiejkutach, ale jego z kolei Milczanowski nie znosił, bo facet „nie pękał” - nie łaścił się, nie udawał skruszonego, na biurku ostentacyjnie kładł „NIE”, a już z Wesołowskiego kpił w żywe oczy.

- Szlag by trafił te pieprzone prezydenckie resorty.

Zimowski rzeczywiście był zdenerwowany. Nie zwracał nawet uwagi na swojego przyjaciela Milczanowskiego, który wydawał się być w najwyższym stopniu zdumiony, że ten przecież na co dzień niezwykle ostrożny człowiek, tak obcesowo i głośno wypowiada polityczne herezje.

- Bądź mądry i znajdź teraz kogoś - ciągnął Zimowski - kogo pan prezydent zaakceptuje i kto zaakceptuje, że pan prezydent będzie mu się co chwilę wtrącał do roboty, wymądrzał się.

Kogoś kto będzie znosił prezydenckie humory i gabinetowe gry uprawiane przez Wachowskiego. A jednocześnie, a jakże, musi to być fachowiec, z praktyką... Czyli z przeszłością, ale nieposzlakowaną, nie splamioną akcjami przeciwko „Solidarności”, bo w przeciwnym razie nie zaakceptują go nasze sejmowo-związkowe orły i kolejną awanturę mamy jak w banku.

- Chyba mam kogoś takiego.

Jasik miał twarz odkrywcy. Promieniał. Szczęście wprost go rozsadzało - zaczął w jakichś dziwnych podskokach przemierzać gabinet w tę i z powrotem, wzorem karciarzy, którym karta „żre”, zacierać ręce i poklaskiwać w dłonie. - Mam! Mam! Mam!

- Niech się pan uspokoi i powie wreszcie kto to taki. - Milczanowski był trochę zgorzogniony jego zachowaniem, ale o wiele bardziej zaciekawiony.

- Pułkownik Bogdan Libera. Oficer wywiadu naukowo-technicznego.

- No to przynajmniej można zakładać, że w latach 80. nie pracował przeciwko nam - Zimowski odetchnął.

- Będzie lojalny? - Milczanowski spojrzał Jasikowi głęboko w oczy.

- Ręczę za to.

- Czy na przypadku nie pracował w ambasadzie w Wiedniu? - zapytał Zimowski.

- Pracował. W okresie, gdy ambasadorem był pan Bartoszewski.

- To ja go znam. To rzeczywiście bardzo kulturalny człowiek. Bardzo troskliwie zajął się nami, gdy spędzaliśmy z Janką urlop w Austrii.

W ten sposób zaczęła się burzliwa kariera Bogdana Libery - szefa Zarządu Wywiadu, o której zdecydowały nie tyle sukcesy na polu zawodowym, co raczej turystyczno-towarzystkim.

Jednak Zacharski, którego z kolei kariera wydawała się trwale skończona, nie dawał o sobie zapomnieć. Jego „szemrane” inklinacje były wręcz nieokiełznane. Nie minęło tygodni kilka, jak wdał się w handel samochodami sprowadzanymi na lewe zaświadczenia o mieniu przesiadłości. Doszło do wpadki na granicy, potem do policyjnej rewizji w jego domu, którą Jasik wstrzymał osobistą interwencją. Afera bynajmniej nie umarła, tyle tylko, że ciągle jest nie rozliczona. Po latach ogłoszono nawet list gończy za Zacharskim. Ale ponieważ tak naprawdę nikt łąpać go nie ma zamiaru, więc całkiem spokojnie kłusuje sobie po Europie z pobrękującym w klapie Krzyżem Walecznych.

Niemniej Jasik miał i ma prawdziwego hopla na punkcie Zacharskiego. Mówiło się, że to wyrzuty sumienia. Jasik jest podobno przekonany, że Zacharski mógł w Ameryce wpaść z powodu jego błędu. Tylko kto to wie na pewno? A poza tym - kto na pewno wie, jak tam w tej Ameryce było?

Niektórzy pracownicy polskiej dyplomacji, pracujący w tamtym czasie w ambasadzie w Waszyngtonie, dobrze Zacharskiego zapamiętali. Jak na bardzo zakonspirowanego agenta zachowywał się wręcz prowokująco - obnosił się ze swoimi kontaktami w kraju, grał mocnego człowieka, który wszystkich zna i wszystko może. Tak nie zachowuje się ktoś, kto występuje w podwójnej roli, kto musi przekonywująco udawać normalnego, zajętego interesami biznesmena. Z tych wspomnień wynika, że Zacharski aż się prosił, żeby amerykański kontrwywiad zwrócił na niego uwagę.

Zresztą cała ta amerykańska wyprawa i ten niebywały sukces polskiego asa wywiadu są, w miarę upływu czasu, coraz bardziej tajemnicze. Z biegiem lat pytania gęstnieją, a odpowiedzi się komplikują.

* * *

Czesław Kiszczak w swojej książce *Generał Kiszczak mówi prawie wszystko* (BGW - 1991 r.) tak sumuje amerykańskie zdobycze Zacharskiego:

(...) plany lokacyjne myśliwca F-15, antyrakietowy system radarowy, system cichego

(niewykrywalnego przez urządzenia przeciwnika) radaru dla bombowców B-1 i „Stealth” (słynne niewykrywalne „latające skrzydło”), niezależny od pogody system radarowy dla czołgów, eksperymentalny system radarowy dla marynarki wojennej USA, plany pocisku raketowego Phoenix klasy powietrze-powietrze, radarowy system nadzoru statków, plany antyrakiety Patriot (która odegrała tak wielką rolę podczas wojny z Irakiem), system sonarowy dla okrętów podwodnych, najnowszy typ rakiety powietrze-powietrze Hawk, plany systemu obrony powietrznej NATO (...)

No, no! Kłopot w tym, że dokumentacja jednej tylko rakiety klasy powietrze-powietrze, mierzącej ok. 1,5 metra długości, to góra papieru. Nawet więc gdyby Zacharski rzeczywiście miał dostęp do tego wszystkiego, co podobno zdobył, to i tak skrycie, w sposób dla nikogo niezauważalny, musiałby wpierw te tony skopiować, a następnie przerzucić zdobycz przez Atlantyk. Nie jest to możliwe, mówiąc szczerze. Nie jest również możliwe, by zwerbowany przez niego agent mógł bez pozostawienia śladu grzebać w dokumentacji i w komputerach, przekazywać następnie wszystko Zacharskiemu, pobierać od niego wypłatę i spokojnie ją wydawać. Nawet w Ameryce nie kupuje się niczego płacąc złotem. Trzeba wpierw iść do banku i wymienić złoto na dolary, czyli dokonać transakcji, która zostaje gdzieś zapisana.

Co ja z tym złotem? - bo gen. Kiszczak pisze, że agentowi Zacharskiego płacono złotem, ni mniej ni więcej.

Skoro tak, to wydatki pana Bella (tak się ten agent Zacharskiego nazywał), zupełnie nie mające pokrycia w jego oficjalnych zarobkach, szybko musiałyby wpaść w oko FBI, które wszak kontroluje ludzi zatrudnianych przy programach zbrojeniowych.

Po latach wyrosła z tych wątpliwości następująca hipoteza: owszem - Zacharski był ważną figurą w grze wywiadów, tylko, że tak naprawdę toczył ją wywiad amerykański z rosyjskim.

Okazuje się na przykład, że Amerykanie, dzięki swojemu zbiegłemu z Polski - najpierw do Szwecji, a potem za ocean - szpiegowi, od początku wiedzieli o misji naszego „super asa”. Szpieg ten bowiem brał udział w przygotowywaniu Zacharskiego do amerykańskiego zadania. Mogło więc być tak, że Federalne Biuro Śledcze dotąd Zacharskiego tolerowało, aż poprzez niego do syta nakarmiono Rosjan wiadomościami o rakietach Patriot. Sprawiały one silne wrażenie prawdziwych, ale zanim Rosjanie zorientowali się, co naprawdę dostają, to na kilka lat wstrzymali prace nad własnymi, oryginalnymi koncepcjami podobnej broni.

Na potwierdzenie tej hipotezy podaje się fakt, że po upadku Związku Radzieckiego, gdy nastąpiła odwilż, a nawet pewne otwarcie w handlu bronią między Rosją i USA, Rosjanie zgłosili chęć kupienia kilku baterii antyrakiet Patriot. Po co im one, skoro od Zacharskiego dostali plany tej broni?

W tej robocie pytanie: czyj on jest? - także w odniesieniu do najbardziej nawet zaufanych własnych agentów, nie jest pytaniem niestosownym. Służby bez końca kontrolują same siebie i nikogo to nie dziwi. Bywa, że agenci działający w obcym środowisku, pod stałą presją, stają się podwójnymi agentami, pracują na dwie strony. Czy coś jeszcze, poza więzieniem, łączyło Zacharskiego z Amerykanami?

Bo to, że Zacharski pozostawał w zażyłych stosunkach z bratnią służbą radziecką, tajemnicą nie było. Zapatrzony weń jak w obrazek Milczanowski także powinien o tym wiedzieć. W archiwach MSW zachował się nawet film szkoleniowy o metodach pracy Zacharskiego w USA. Jego realizację sfinansowały pospołu MSW i KGB. Budynki MSW - wartownia na ulicy Rakowieckiej w Warszawie, wille na ulicy Zawrat i w Magdalence, wystąpiły w tym obrazie w roli budynków amerykańskich - tych, w których przebywał i które penetrował nasz szpieg. Natomiast kalifornijskie okolice udawały okolice Gagry w radzieckiej Abchazji i ogrody dawnej willi Stalina, zaś amerykańskich agentów z FBI, agenci KGB.

I nagle, po latach, jakby tego wszystkiego nie było - tego filmu, tych przyjaźni. Trzeba

trafu, że akurat właśnie Zacharski dostał zadanie splecenia sznura dla premiera Oleksego. Nieustannie wbijany w dumę Milczanowski, ciągle podbechtywany zachwytnymi nad swoją przenikliwością i zdolnością do operacyjnych kombinacji, ani razu nie zadał sobie pytania: no dobrze - krawca znam, ale kim jest krojczy tego ubranka, w jakiej pracowni zdjęto Oleksemu miarę?

Nic nie może zachwiać jego miłością do „najwybitniejszego” szpiega PRL. Na samą myśl o nim, o wspólnych kolacyjkach w Warszawie, w Magdalence, w Wiedniu i w Szwajcarii, oczy zachodzą mu lekką mgiełką, a ręka czule głaszcząc pamiątkę tych miłych chwil - złotego „Longina”.

Ten oficer ma głód werbunku w oczach, zwykł mówić o Marianie Zacharskim minister Milczanowski.

To nieprawdopodobne do jakiego stopnia Milczanowski uległ fascynacji tą postacią: sztandarowym asem wywiadu PRL, ale też podejrzanym o pospolite oszustwa, poszukiwanym listem gończym knociarzem, którego partactwo ostatecznie skompromitowało operację „Olin”.

„Longin” „Longinem”, a pytania pozostają bez odpowiedzi: kim tak naprawdę on jest, ten Zacharski? Skoro mieszka w Szwajcarii, to musiał dostać prawo stałego pobytu, co jest tam skrupulatnie przestrzegane i na co nie każdego stać. Opłatom na rzecz gminy, w której cudzoziemiec chce się osiedlić, mogą sprostac kieszenie ludzi naprawdę zamożnych. Z czego więc Zacharski tam żyje, skoro UOP oficjalnie zaprzecza, że nadal ma go „na stanie”. Chyba że to nieprawda, że posłowie zostali oszukani i po cichu Zacharski dostaje jednak pensję z uwzględnieniem poziomu życia w kraju pobytu? A może pomogli mu jego przyjaciele z filmowego planu, lub wręcz przeciwnie - Amerykanie? Koledzy Zacharskiego mówią między sobą, że pisze on książkę o w swoich działaniach w USA, na którą jakiś tamtejszy sponsor miał podobno wyłożyć milion dolarów. Podobno sprzedaż książki w Ameryce wziął na siebie ów John Palewicz - najstynniejszy werbownik, dokonujący spustoszeń wśród polskiego personelu w Wietnamie. Podobno... podobno... same tajemnice. Jedno tylko jest pewne - Zacharskiemu posypało się życie osobiste. Po wielu latach małżeństwa jego żona odeszła od niego i wróciła do Polski. Nie chce z nikim rozmawiać. Jak dotąd.

Miodowicz

- Tu stacja Busko, tu stacja Busko... w każdy weekend, zgrzytając niemiłosiernie hamulcami, na peron buskiego dworca wtacza się pociąg z Warszawy. Wśród wysiadających są Małgorzata i Konstanty Miodowiczowie. W niewielkim mieszkanku przy ulicy Pabla Picassa, na osiedlu Andersa, spędzają święta i wolne dni. Konstanty godzinami potrafi opowiadać o urokach tych okolic.

No dobrze, zapytajmy, a w Warszawie? - Gdzie śpi, gdzie trzyma szczoteczkę do zębów i kapcie? Nawet najbardziej zapracowany poseł musi kiedyś odpocząć. Owóż w stolicy poseł Miodowicz śpi, odpoczywa, przyjmuje gości, słowem mieszka, na ulicy Lecznicy, pod 4.

Konstanty startował do Sejmu ze Skierniewickiego. Zaimponował wyborcom, wmówił, iż mimo, że przez wiele lat był szefem kontrwywiadu, tak naprawdę jest apolitycznym państwowcem, który oddał się w służbę ojczyźnie. Teraz zaś o niczym innym nie marzy tylko o tym, żeby wypalić swe pozytywne piętno na reformie samorządowej.

Oczywiście niczego nie wypalił, na reformie samorządowej zwłaszcza. Konstanty nie ma głowy do samorządów. Ledwie tym posłem został, od razu zapisał się tam, gdzie od początku był przeznaczony - do sejmowej Komisji do spraw Służb Specjalnych w której, za każdym razem gdy UOP rozpętuje kolejną polityczną aferę, Konstanty mówi, że to niepra-

wda, że UOP jest do bólu apolityczny, że... no broni kolegów niemalże do ostatniej kropli krwi.

Wbrew temu, co mogłoby się wydawać, jego status wcale nie jest taki łatwy do opisanie. Jest świadek, niejaki Jerzy Foks - były oficer kontrwywiadu z Łodzi, który twierdzi, iż w jego obecności, najbliższy współpracownik Janusza Pałubickiego - Sebastian R., powiedział, że Miodowicz jest tzw. „nielegałem”, czyli, że jest nadal czynnym oficerem służb specjalnych, tyle, że na niejawnym statusie.

Gdyby, dajmy na to, ów R. nie mijał się z prawdą, to przypadek posła Miodowicza byłby jednym z większych skandali polityczno-policyjnych III RP. To co mówi doradca Pałubickiego oznacza bowiem, iż Sejmowa Komisja d/s Służb specjalnych może być systematycznie inwigilowana przez policję polityczną. A przecież to ona miała kontrolować, a nie ją mieli kontrolować.

Trudno komuś z zewnątrz dociec, jak jest naprawdę. Pewną poszlakę może stanowić mieszkanie posła.

Dlaczego właśnie Lecznicza 4? Dlaczego nie hotel sejmowy, albo wynajęte na koszt Sejmu jakieś inne mieszkanie na mieście?

Miodowicz interesował się takim rozwiązaniem, ale nie skorzystał z niego. Nie mieszka także u swojego ojca, założyciela i pierwszego szefa Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych.

Lecznicza 4 to nie jest pierwszy lepszy adres. To „lokal kontaktowy” d. MSW. W różnych punktach miasta dawna bezpieka miała takich trochę. W każdym razie tyle, iż po zmianie ustroju zobowiązano MSW do rozliczenia się z tych mieszkań i oddania ich miastu. Był to jeden z licznych, bardzo chwytliwych postulatów, przy pomocy których „Solidarność” zdobyła masy: wolne soboty, równe żołądki i właśnie mieszkanie dla każdego - nie dłużej niż po pięciu latach. Skoro bezpieki miało już nie być, to mieszkania nie były jej potrzebne, więc powinny się dostać się w ręce zwykłych ludzi - takie było to rewolucyjne podejście do problemu mieszkalnictwa. Natomiast bezpieka, jak to bezpieka - podeszła do sprawy praktycznie. Rozkaz nie gazeta, trzeba go wykonać. Zwracano więc mieszkania odpowiednim władzom, a one przydziałały je potrzebującym. W budynku przy Lecznicznej 4 Ministerstwo Spraw Wewnętrznych miało do dyspozycji dwa lokale i oba Urząd Dzielnicowy Śródmieście rozdysponował: - na rzecz policji. Czyli tak całkiem w obce ręce nie poszły. Właśnie w jednym z nich pomieszkuje nasz parlamentarzysta. Czy to nie intrygujące, że akurat ten poseł korzysta z lokalu policyjnego?

Grono jego przyjaciół doskonale wie, że jeśli gdzieś muszą się spotkać, to najlepiej na Lecznicznej, u Kostka - tam zawsze jest sucho, ciepło i bezpiecznie.

BLOTKI

Nad regłami rozsnuwała się lekka, poranna mgiełka, a leżące poniżej górskie łąki nawet z daleka pachniały świeżością. W porannym, ciepłym słońcu, przeżyły się tatrzańskie szczyty. Zapowiadała się wspaniała pogoda. Stoły w jadalni na dole były już zastawione. Panowie, w gustownych, przerobionych z dawnych garaży, pokojach gościnnych oddziału zamiejscowego UOP, kończyli poranną toaletę.

Śniadanie było obfite, bo goście zapowiedzieli, iż na obiedzie nie zostaną. Ich nieobecność w miejscu pracy nie powinna trwać zbyt długo. Mówiąc dokładnie - powinna zostać niezauważona. Nawet w dobie telefonów komórkowych i coraz lepszej łączności, w którą wypo-

sażane są samochody Urzędu Ochrony Państwa, dłużej niż jeden dzień nie mogą udawać, iż są gdzieś na terenie będącym pod kontrolą kierowanej przez nich delegatury. Najgorzej miał Wesołowski, który przyjechał do Zakopanego aż ze Szczecina. Najbliżej miał szef delegatury krakowskiej - Rusak, który siłą rzeczy pełnił w Zakopanem honory domu. Byli również: Urbański z Poznania, Kuca z Opola, Bondaryk z Białegostoku. Z oddali patronował ich spotkaniu Andrzej Milczanowski. Nie mogło go tu być, nie mógł dać najmniejszego dowodu, że ma z tym coś wspólnego. Nikt nie mógł wiedzieć, ani nawet domyślać się, że w UOP, obok oficjalnych podległości działa jakaś tajna, nie uznająca tych podległości, struktura.

- Panowie - zaczął Rusak, gdy po śniadaniu usiedli do kawy. Oczywiście pomieszczenie zostało dokładnie sprawdzone, a uczestnicy rozmowy nie dość, że odłączyli baterie od swoich telefonów komórkowych, to jeszcze dla pewności zostawili je w holu. Musieli mieć pewność, że ich spotkanie jest absolutnie szczelne, że nie wycieknie stąd ani jedno słowo. - Musimy szybko powiedzieć sobie - kontynuował - co mamy robić, jak postępować w czasie tych ostatnich miesięcy przed wyborami. Jest jasne, że nie można dopuścić do powtórki roku 1993. Musimy zrobić wszystko, żeby komunę odsunąć od rządów skutecznie i na długo. Nasi przyjaciele, których tu z nami, z oczywistych względów nie ma, oceniają, że byłoby wręcz historycznym błędem, gdyby Polska wchodziła do Europy, a zwłaszcza do NATO, pod rządami postkomunistów. Byłaby to wielka, historyczna niesprawiedliwość. Trzeba zrobić co w naszej mocy, by do tego nie dopuścić. Z naszego rozeznania wynika, że do NATO przyjdą zostaniemy w ciągu dwóch, trzech lat. Dla środowisk wolnościowych, posierpniowych, jest wystarczającym upokorzeniem, że stanie się to, gdy prezydentem nie jest pierwszy, historyczny przywódca NSZZ „Solidarność”, tylko minister w komunistycznych rządach. Tych samych, które patriotów miary Lecha Wałęsy prześladowały i trzymały w więzieniach - nie w imię jakichś polskich interesów narodowych lecz w imię strategicznych, wymierzonych w NATO, interesów Układu Warszawskiego...

Sprawę stawiano jasno - „komunie nie!” Przedsięwzięcie opatrzone kryptonimem „Grot”, bo planowano solidnie ukłuć czerwony tyłek. Zakrojono je szeroko i niekonwencjonalnie, ale z zachowaniem wszystkich pozorów i demokratycznych dekoracji. Formalnie UOP, jako instytucja apolityczna, musiał pozostawać poza grą, poza kampanią i poza podejrzeniami. Co w połowie roku 1996 nie było trudne, gdyż kierownictwo nad urzędem sprawował przecież minister lewicowego rządu. Jeśli nawet podejrzewałby, że podlegli mu funkcjonariusze knują coś za jego plecami, to i tak się nie poskarży, gdyż sobie samemu wystawiłby świadectwo niekompetencji, dałby dowód, że nie panuje nad powierzoną sobie instytucją. Gdyby zaś chciał pokusić się o zakulisowe metody działania, też przegra, bo po pierwsze - słabo się na tym zna, a po drugi - lewica nie dysponuje ani w służbach, ani w świecie zewnętrznym (na przykład w mediach) wystarczającą siłą by skutecznie przeciwstawić się intrygom. Cokolwiek więc zrobi, będzie skrytykowane, wyszydzone i oskarżone o polityczny zamach na apolityczną służbę. Na rok przed wyborami, gdy każdy następny miesiąc nabrzmiewa politycznymi emocjami, ze wszystkiego można zrobić aferę, prasa roztrąbi każde głupstwo, które się jej podsunie.

„Grot” pobudził do działania cały potencjał niejawnego, nieformalnego układu zbudowanego przez Andrzeja Milczanowskiego, jego generałów i Wałęsą. Każda ich, najlichsza nawet blotka, podniosła głowę, otrzepała się i meldowała gotowość do gry. Historia jednak w swoisty sposób zakpiła sobie z pomysłodawców i ojców chrzestnych tej afery. W gruncie rzeczy Wałęsa, który rozkochał się i rozsmakował w tajnych służbach, jego Milczanowski i ich esbecy generałowie, zbudowali nie UOP-bis, tylko bezpieczeń-bis. Ich najbardziej zaufani zausznicy, najwierniejsi wykonawcy ich poleceń, w większości byli janczarami Polski Ludowej, mocno spletanymi z jej tajnymi - cywilnymi i wojskowymi - służbami.

* * *

Tadeusz Rusak już drugi raz spoglądał na zegarek. Do końca służby zostało mu jeszcze pół godziny. Tyle samo do spotkania, które mu gwałtownie, w trybie alarmowym wyznaczono. Miało do niego dojść na skwerku nad Odrą, w miłym lokaliku słynącym z pysznych francuskich naleśników. Rusak potrzebował co najmniej dwudziestu minut, żeby się nie spóźnić. Musiał się przecież przebrać w cywilne ubranie, bo było zasadą, że na spotkania na mieście nie chodzi się w mundurze.

- Kompania na moją komendę! - Kilkudziesięciu żołnierzy przerwało zajęcia. - W dwuszeregu, plutonami zbiórka!

W kilka sekund stał przed nim równy zielony mur.

- Na dzisiaj koniec. Dowódcy plutonów omówią ze swoimi plutonami dzisiejsze ćwiczenia. Tylko nie jak zwykle - po łebkach. Jutro powtórka, zobaczymy czy wyciągniecie wnioski z dzisiejszych błędów. A teraz - w czwórki w prawo zwrot, do koszar marsz!

Rusak odłączył od oddziału i szybkim krokiem udał się na kwatery. Przebrał się i galopem opuścił koszary 25 pułku X Dywizji Pancерnej w Opolu.

- Czołem!

- Czołem! - odpowiedział.

Jego oficer prowadzący był mężczyzną postawnym, przystojnym. Nawet w swetrze i sztruksowych spodniach wyglądał dobrze. Rusak zaś zawsze był jakiś pochylony, skurczony, jak nie żołnierz.

- No, co tam u was?

- Melduję, że bez zmian. Niczego szczególnego, ani nowego nie zauważyłem.

- To dobrze, ale mamy dla was robotę.

- Tak jest. - Rusak zamienił się w słuch.

- Dostaliśmy sygnał, że jeden z sierżantów z waszej jednostki opowiada po pijaku, że wyjedzie do Niemiec, do rodziny. To dla nas nowość. Do tej pory nie był przez nas notowany jako podoficer, który ma rodzinę za granicą. Nazywa się Poborski.

- Znam go. Rzeczywiście służy w mojej kompanii.

- No to pogadajcie z nim. Co to za rodzina, co tam robią, no, sami wiecie.

- Tak jest.

- Sprawa jest pilna, inaczej nie uruchamialibyśmy trybu alarmowego. Ale stary nie lubi, gdy o czymś co dotyczy jego terenu dowiaduje się na odprawach w sztabie okręgu. A o tym sierżancie, którego macie pod nosem, nic nie wiedzieliśmy.

- Tak jest. Zrobię co się da.

Rusak wyczuł, że jest strofowany i jak zwykle okazaniem gorliwości chciał potwierdzić swoją przydatność. Nie zapomniał przecież, że sam się do tej współpracy wprosił i jego pozycja w służbie ciągle nie była zbyt mocna.

- Wszystko się da, towarzyszu Rusak.

Przełożony dość brutalnie przerwał jego rozmyślenia.

- Spotykamy się za tydzień, tam gdzie zwykle, o zwykłej porze. No, do roboty.

Takie, nieprzesadnie imponujące były początki wymarzonej kariery. Ale ostatecznie zrobił ją. Po trupach, ale zrobił. W stanie wojennym udanie odblokowywał Hutę Katowice. Potem przeniósł się do Krakowa, gdzie słuchaczy Wyższej Oficerskiej Szkoły Wojsk Chemicznych gonił po polach, a swoich wojskowych sąsiadów z osiedla, na zebraniach - za komunie ich dzieci.

Nikt nie wie, czy zerwał wszystkie kontakty ze służbami specjalnymi. W każdym razie, gdy fala buntu zaczęła nadkruszać również, niezłomną do tej pory, kadrę oficerską, Rusak udanie przesmyknął do tajnej organizacji wojskowej „Viritim” i w łodzi przyszłych zwycięzców zdołał przepłynąć na drugą stronę politycznej powodzi, jaka właśnie w Polsce się rozlała.

Zadzierzgnął nowe przyjaźnie - z Bronisławem Komorowskim, Janem Marią Rokitą i

Piotrem Nowiną-Konopką. Jednak do znaczenia doprowadził go Andrzej Milczanowski, który uczynił z niego, zapewne nie bez poręki wyżej wymienionych, szefem delegatury UOP w Krakowie. W tej chwili Rusak jest szefem służby, której w przeszłości służył współpracą.

* * *

Jan Wesołowski - totumfacki Milczanowskiego, jako były członek PZPR, ma za sobą bogatą kartę partyjną. Dziś nieformalny przywódca „grupy majstra”, wczoraj I sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej w Pomorskiej DOKP. To była bardzo odpowiedzialna funkcja, na którą nie każdy mógł zasłużyć. Zawodowo Wesołowski kierował zespołem radców prawnych Dyrekcji Okręgowej Kolei Państwowych, Tak jak swą pozycję polityczną zawdzięczał PZPR, tak towarzyską zażyłości z Andrzejem Milczanowskim i Jerzym Zimowskim - jak on prawnikami i radcami prawnymi, a potem kierownikami MSW. Bez trudu więc został członkiem komisji weryfikujących byłych funkcjonariuszy SB. Do UOP trafił w roku 1990. Niczym specjalnym się nie wyróżniał, ale lubili go, bo jak trzeba było, to sam przeniósł się z rodziną do garażu, byle tylko gościowi z centrali zapewnić jak najlepsze warunki spędzenia letniego urlopu na pięknych świnoujskich plażach. Gdy Milczanowskiego w MSW zabrakło, przez wiele miesięcy blisko współpracował z nowym szefem UOP.

* * *

Zbigniew Nowek - też ulubieniec Milczanowskiego. Komuchem nie był. Co to, to nie. Przeciwnie - prezentował się i prezentuje jako zagorzały antykomuch.

I w jego przypadku okazało się, że słuszne przekonania polityczne nie gwarantują jeszcze sukcesów w pracy. Nowek zupełnie nie ma się czym pochwalić, a to, czym się chwali, to resztki, które zostawili mu poprzednicy. Jedyne co mu się udało to rzeź, którą po przyjeździe do centrali urządził „starym” funkcjonariuszom.

W maju 2000 r., gdy miał wszelkie podstawy sądzić, iż wszystkich „niepewnych” już się pozbył, jakiś anonimowy oficer UOP, bardzo dobrze zorientowany w wewnętrznych układach, dostarczył na biurko posła ZChN-AWS Stefana Niesiołowskiego, obszerny elaborat o sytuacji w służbach specjalnych. Wybrał Niesiołowskiego dlatego, iż wcześniej informowany o wszystkim minister-koordynator Pałubicki, nie potraktował tych wiadomości w sposób zadowalający autora. Z listu pisanego do Niesiołowskiego wynika, iż Pałubicki skierowane do siebie pismo, zawierające wiele krytycznych uwag pod adresem szefa UOP - Nowka, oddał jemu właśnie, celem wyjaśnienia. Oczywiście, iż w tej sytuacji Nowek nic był zainteresowany wyjaśnianiem czegokolwiek.

Wobec takiego potraktowania autor listu uznał, że musi zawiadomić, znanego z radykalizmu i wojowniczości, posła Niesiołowskiego. To ciekawy ślad obyczajowości politycznej, jak również sposobu myślenia o tym, czym mają być służby specjalne. Otóż przede wszystkim mają one być „nasze”. Przy czym „nasze”, nie koniecznie oznaczało całą AWS. „Nasze” oznaczało poszczególne frakcje AWS, które walczyły ze sobą o wpływy. Oficer, o którym mowa, pisał m. in.:

Z chwilą kiedy trwały rozmowy dotyczące obsadzenia stanowiska ministra-koordynatora służb specjalnych oraz szefów UOP i WSI, przez gabinet premiera Jerzego Buzka przewinął się przedziwny korowód osobistości, chcących „wprowadzić” swoich ludzi do wyżej wymienionych instytucji. Zrozumiałe było, że premier oraz przedstawiciele koalicji AWS-UW zgłaszali swoje kandydatury na te stanowiska. Między innymi w gabinecie premiera, a wcześniej Przewodniczącego A WS Mariana Krzaklewskiego, pojawiła się pani Marszałek Senatu Alicja Grześkowiak, silnie forsując osobę pana Nowka na stanowisko szefa UOP Ponadto powtórzono stary wybieg z czasów weryfikacji oficerów SB - poparcie Nowkowi dal również biskup toruński.

Nie bez przyczyny pojawił się też pan poseł Konstanty Miodowicz, wielki przyjaciel Milczanowskiego oraz senatora UW Kozłowskiego (...), który zachęcał do zatwierdzenia Tarnowskiego oraz Rusaka na prominentne stanowiska w UOP. W rezultacie podjęto decyzję o nominowaniu Nowka na szefa UOP, Tarnowskiego na jego zastępcę, Rusaka zaś na szefa WSI.

Następnie autor uzasadnia dlaczego te nominacje są złe - Rusak i Tarnowski, jako szefowie UOP w Krakowie mają na sumieniu zakładanie nielegalnych podsłuchów. Według tego informatora Rusak ma też za paznokciami jakieś drobne kanty finansowo-podatkowe. Prawdopodobnie chodzi o jego żonę, która przebywa w USA i o prawidłowość rozliczeń podatkowych małżeństwa Rusaków. Autor listu podaje nawet nazwisko oficera z wydziału kontroli finansowej, który zajmował się tą sprawą i zapewnia, że jej akta są dobrze ukryte i zabezpieczone. Nowkowi natomiast zarzuca coś znacznie gorszego niż drobne szwindle i nielegalne podsłuchy. Aż strach to powtarzać. Zresztą i tak w działalności Nowka jako szefa UOP, znaleźć można wystarczająco dużo powodów, by jak najdalej odsunąć go od służb specjalnych.

Szef służb specjalnych, który przed wyrokiem sądu orzeka o winie i karze, co Nowek publicznie uczynił podczas procesu lustracyjnego Aleksandra Kwaśniewskiego, kompromituje się całkowicie i ostatecznie. Nawet jeśli tak nienawidzi, jak nienawidzi Nowek - nie ma prawa do wypowiedzania tego typu sądów.

INTERESY

Wilecki nie słyszał sygnału. Przy takich okazjach jak ta obecna - w Drawsku, w ogóle nie nosił przy sobie telefonu. Zostawiał go u wartownika.

Właśnie skończyli wykańczać Kołodziejczyka. Pierwszy opuszczał salę prezydent Wałęsa. Wyglądał paradnie - mały, krępy, w polowym mundurze. Szwejk, nie Zwierzchnik Sił Zbrojnych. Minę miał marsową, ale oczy strzelały błyskami zadowolenia.

Jednak trzyma ich wszystkich za mordę, jednak się go boją. Nie chciał admirała... i proszę - już go nie ma. Po cholere wychodził przed szereg! Cywilnej kontroli nad wojskiem mu się zachciało. Oddać wojsko tym popaprańcom posłom i pożał się Boże politykom od siedmiu boleści? - Niedoczekanie! Taki Wilecki, niby też komuch jak Kołodziejczyk, a czuje dobrze, ma węch - wojsko to wojsko. A on jest jego Zwierzchnikiem i nie zamierza się tą władzą z nikim dzielić.

Skoro nie zamierzał... to tak się jakoś „porobiło”, że sami generałowie wymówili admirałowi posłuszeństwo. Jemu pozostało tylko uwzględnić ich wolę. Ze „smutkiem” oczywiście.

Na sali aż błyszczało od srebrnych epoletów.

Wszyscy, jak jeden mąż, głosowali przeciw ministrowi. No, dwóch się wstrzymało. Wystarczyło, że zapytał „Kto za?” i ręce same podniosły się do góry. Demokratycznie, jak najbardziej.

- Panie generale Wilecki, proszę ze mną. - Powiedział do Szefa Sztabu Generalnego, stojącego na czele szpaleru generałów czekających aż prezydent pierwszy opuści salę. Każdy z nich miał proszące oczy psa, który spełniwszy życzenie swego pana, czeka na pogłaskanie.

Wilecki wszedł za Wałęsą do obszernego pomieszczenia, które podczas pobytu na poligonie służyło prezydentowi za gabinet i garsonierę jednocześnie. Obecny był też biskup polowy. Popatrzyli na siebie bez słowa, strzelili po „piątce”. Tylko Wałęsa rzucił na „do

widzenia” - jutro w Warszawie o 9.00, u mnie. Było oczywiste, że polecenie odnosiło się do Wileckiego, a nie do Głódzia. Taki ton - władczy, przepełniony wyższością - przeznaczony był wyłącznie dla zwykłych generałów. A biskup przecież jest generałem niezwykłym. I nie zniósłby, gdyby Wałęsa wyznaczał mu spotkanie tak bezceremonialnie.

Dopiero więc po dobrej godzinie Wilecki mógł przejrzeć listę dzwoniących. Nie skończył, gdy komórka odezwała się sama. Dzwonił Gromek Czempiński.

- Czołem!

- No, cześć. Co tam robisz? Dzwonię już któryś raz. Przecież poligony są dla szwejków, a nie dla takich poważnych generałów.

- Dobrze ci żartować. Ale rzeczywiście nie mogłem rozmawiać. A dlaczego - dowiesz się z wieczornych Wiadomości.

- Znowu wdajesz się w jakąś awanturę. Ale ja cię rozumiem. Też kocham tego naszego Lecha.

Szef UOP dał tym samym do zrozumienia Szefowi Sztabu Generalnego, któremu wówczas podlegały Wojskowe Służby Informacyjne, że wie o ich zebraniu na poligonie i zna jego cel.

- Ale ja nie o tym. Słuchaj Tadziu, potrzebna jest twoja pilna interwencja. Najlepiej, żebyś zaraz do niego zadzwonił.

- Do prezydenta? - Wilecki nie wiedział o co chodzi.

- Nie. Do tego faceta z Wesołej. Do dowódcy pułku. Jak wiesz mamy kupca na te nowe czeskie BWP-y, które stoją w garażach nieużywane. Terminy nas pilą, wysyłka już powinna nastąpić, a facet mówi, że nie wyda sprzętu, bo o niczym nie wie. Szlag może człowieka trafić. To w końcu kupa kasy.

- Nie denerwuj się, jutro każę je przygotować do transportu.

- Bardzo ci dziękuję. W Warszawie zapraszam na obiad. Kiedy będziesz?

- Wygląda na to, że już jutro z samego rana. Odezwę się.

- Czekam. Do widzenia.

- Czołem!

Szef Sztabu wyłączył telefon.

W tym samym momencie, w odległym o kilkaset kilometrów pomieszczeniu nasłuchowym WSI, taśma w kasecie magnetofonowej przestała się przesuwac. Podoficer przewinął ją do początku, przepisowo opisał i natychmiast przekazał dowódcy. Gdy ten przeczytał metryczkę na kasecie i zobaczył, kto został nagrany, nie czekając zameldował się u swojego przełożonego. Ostatni szczebel stanowił szef WSI, kontradmirał Kazimierz Głowacki. Po przesłuchaniu nagrania sięgnął po słuchawkę telefonu specjalną linią połączonego z ministrem obrony. Po drugiej stronie odezwał się adiutant Kołodziejczyk. Proście do telefonu ministra. Minęło kilka minut.

- Słucham, Kołodziejczyk.

- Melduje się Głowacki. Panie ministrze, melduję, że służba nasłuchu kontrwywiadu, podczas rutynowej kontroli przestrzeni radiowej wokół poligonu w Drawsku, zarejestrowała rozmowę między Szefem Sztabu Generalnego a szefem UOP. Treścią rozmowy była transakcja handlowa, której przedmiotem są Bojowe Wozy Piechoty produkcji czeskiej będące na stanie Pierwszego Praskiego Pułku Zmotoryzowanego z Wesołej.

- A co ma Czempiński do sprzętu wojskowego?

- Melduję, że UOP, poprzez swoje firmy, handluje sprzętem specjalnym.

- Ale z garaży wojska? I co Wilecki na to?

- Melduję, że z rozmowy wynika, że obiecał pomoc w zmiękczeniu dowódcy z Wesołej, który nie chce sprzętu wydać.

- Dziękuję panu.

- Odmeldowuję się.

Kołodziejczyk oddał słuchawkę stojącemu obok adiutantowi.

- Niczego nie słyszeliście.

- Tak jest.

Kołodziejczyk nie miał złudzeń, że są to jego ostatnie godziny na stanowisku ministra obrony.

- Przynajmniej odejdę z przytupem.

W tym momencie w ogóle nie interesowało go, czy nagranie tej rozmowy nie jest aby przejawem jakiejś wojny toczonej między wojskowymi i cywilnymi służbami specjalnymi o władzę nad polskim rynkiem broni. Miał to gdzieś, szczerze mówiąc.

Stało się więc - po raz pierwszy opinia publiczna dowiedziała się, że Szef Sztabu, do spółki z przełożonym cywilnych służb specjalnych, angażuje się w handel bronią. Obaj cieszyli się względami obozu belwederskiego.

Po 1989 roku biznesmeni rychło zrozumieli, że jednym z podstawowych warunków powodzenia dużych interesów jest w Polsce przychylność służb specjalnych, a zwłaszcza ich zwierzchników.

* * *

Powiedzieć, że pogoda była tego dnia fatalna, to nic nie powiedzieć. Fale robiły ze statkiem co chciały. Wiatr szalał. Mały bałtycki tankowiec - „Sobótka” ciężko walczył o życie. Płynął z Rotterdamu do Porvoo na południu Finlandii. To był już drugi kurs w tym miesiącu. Ale nie było wyjścia. Chłop też - jak ma żniwa, na urlop nie jedzie, pocieszał się kapitan. Trzeba się było uwijać, dopóki interes się kręcił. „Sobótka”, tocząc morderczy bój ze sztormem, płynęła do Finlandii tylko po to, by w dzienniku pokładowym można było odnotować wejście do tego portu. Kapitan nic nie mówił, niczemu się nie dziwił. Swoje i tak wiedział. A przez tyle lat nauczył się, że na Bałtyku nie o wszystko należy pytać. Zwłaszcza bez potrzeby. Życie małych, bałtyckich tankowców regulują trochę inne zasady niż kolosów przemierzających oceany. Robić swoje i nie wtrącać się w nie swoje - to pierwsza z nich. Bałtyk niejedno widział, niejednej kontrabandy był świadkiem. Na pełnym morzu przeładowywano już nie tylko broń, czy papierosy, ale też iracką, objętą embargiem ropę. Robił, za co płacili i w ramach skalkulowanego ryzyka. Jasne, że za takie numery można beknąć, ale to przecież ostateczność. Beknąć każdy głupi potrafi, chodzi o to, żeby przekręcić „numer”, zarobić i nie wpaść. Ktoś o tym myślał za niego, ktoś czuwał. Ktoś kto nie musi w sztormie włożyć się z Rotterdamu do Porvoo.

Był pewien, że umówiona suma wpłynie na jego konto. Co do centa. W tej robocie obowiązywała nie tylko dyskrecja, również solidność. Kazali płynąć z Rotterdamu do Porvoo więc płynię. Wie za ile. Dopiero stamtąd weźmie kurs na dom. Na Szczecin.

W Szczecinie był jednak ktoś, kto domyślał się jak funkcjonuje ten układ i jaki jest cel morskich podróży, które odbywała wysłużona „Sobótka”. Krzysztof Det był zbyt wytrawnym kontrolerem Urzędu Kontroli Skarbowej, żeby nie czuł zapachu pieniędzy szeroką rzeką płynących nie do, lecz obok kasy Urzędu.

Był pewien, że marszrutę „Sobótki” nakreślono w znanej na Zachodnim Pomorzu firmie paliwowej „Solis”. Mechanizm był prosty jak konstrukcja cepa - statek tankował benzynę w Rotterdamie po cenie rynkowej jaka akurat na tym największym paliwowym bazarze Europy obowiązywała. Następnie o umówionej porze przepływał przez Kanał Kiloński, który ma tę zaletę, że jest wąski. Różne rzeczy można sobie podawać z burty na burtę. W tym przypadku podawano „oryginalne” papiery, z których wynikało, że ta benzyna, co to ją „Sobótka” ma w swych ładowniach, pochodzi z Finlandii i została zatankowana w Porvoo. Takie papiery to naprawdę drobiazg. Fachowcy dysponują wszystkim co trzeba: „oryginalnymi” pieczęciami, drukami, podpisami - nie do odróżnienia od prawdziwych. Niestety - żeby się nie zasypało, trzeba było dymać do tej Finlandii i dopiero stamtąd do Szczecina, na nabrzeże wynajmowane

przez firmę „Solis”. Dlaczego akurat do Finlandii - ano dlatego, że pan minister gospodarki wydał zarządzenie, iż w związku z różnymi międzypaństwowymi rozliczeniami, paliwo kupowane właśnie tam, będzie w Polsce zwolnione z opłat celnych. Gdyby więc benzynę z Rotterdamu przywieźć od razu do Polski, to należało zapłacić za nią jeszcze cło. Jeśli „przemieniła” się ona w benzynę fińską, to cło nie obowiązywało. Czysty zysk, choć czarny.

Krzysztof Det dużo wcześniej od innych obliczył, że wszystkie fińskie rafinerie razem wzięte nie produkują tyle paliwa, ile sprowadzono z Finlandii do Polski w ramach kontyngentu przyznanego przez Ministerstwo Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. Stwierdził też różne inne rzeczy: naruszone plomby na lądowych zbiornikach firmy „Solis”, trafił na dokumenty świadczące o tym, że „Sobótka” pływa z Europy do Polski przez Finlandię, był też pewien, że istnieje zażyłość między niektórymi pracownikami „skarbowki”, a właścicielami „Solisa”. Niczego jednak nie był w stanie udowodnić. Gdy zbyt natarczywie próbował dojść do prawdy, to zwyczajnie wyleciał z pracy. Układ działał naprawdę bezbłędnie.

Właściciel „Solisa” umiał zadbać o spokój na zapleczu - płacił, na przykład, na różne szlachetne fundacje, w których zasiadł miejscowy biskup pospołu z najznamienitszymi obywatelami miasta. Ojca redaktora naczelnego największej lokalnej gazety codziennej zatrudnił w swojej firmie na posadzie głównego doradcy prawnego, dawał forszę miejscowym politykom, żeby mogli sobie powydawać tygodnik, zatrudnił u siebie również syna głównej księgowej Urzędu Celnego, a także syna dyrektora szczecińskiego oddziału BRE. Musiał oczywiście na to wszystko zarobić, ale handlując paliwami, nie płacąc cła i mając stały, regularny zbytny, to nie było trudne. Zbyt zapewnił mu miejscowy działacz konserwatywno-ludowy Artur Balazs - wielokrotny minister rolnictwa i serdeczny kolega dyrektora miejscowego oddziału Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, który zarządzał naówczas pomorskimi PGR-ami. To one potrzebowały paliwa do swoich maszyn. Dyrektor przyznał „Solisowi” wyłączność na dostawy. Akurat temu samemu „Solisowi”, który wspierał kampanię wyborczą posła, ministra, prezesa - Artura B.

* * *

Czy służby specjalne niczego nie podejrzewały, czy taki port jak Szczecin, tuż przy niemieckiej granicy, nie był pod specjalnym nadzorem? Oczywiście, że musiały wiedzieć i wiedzieć. Tyle, że wówczas nie tylko państwo przestawiało się z lewa na prawo, ale zmiana kierunków i priorytetów dokonywała się również w służbach. Przystawiały się one, zwłaszcza UOP, z działań, których granice zakreślał wyłącznie kodeks karny, na działania opisane również w kodeksie handlowym.

Oficerowie służb specjalnych ochoczo łapali w żagle nowy wiatr i śmiało rzucili się w biznesowe otmęty. Zakładali własne firmy – na siebie, na żony - pletli sieć prywatnych interesów silnie wiążąc je z interesami służb.

Oni zresztą zawsze działali w sferze gospodarki. Firmy handlowe czy na przykład spedycyjne, to stały element gry wywiadów. Każdy takie zakłada, żeby łatwiej poruszać się w biznesie i czerpać stamtąd informacje. Nie inaczej postępowały polskie służby, choć trzeba powiedzieć, że specyfika ustrojowa wymagała pomysłowości. Był czas, że firmy prywatne z ideologicznego punktu widzenia były niepożądane. Państwo tolerowało jedynie niewielki margines gospodarki prywatnej, nie licząc oczywiście rolnictwa. Nie można więc było tak jak dziś - pójść i zarejestrować firmę. Dlatego wywiad werbował do współpracy pracowników central handlu zagranicznego, na przykład. Z pewnością, ale niewielką przesadą można powiedzieć, że te wszystkie CIECH-y, METALEXPORT-y, ELEKTRIM-y i POLIMEX-y tak na dobrą sprawę były poniekąd filiami służb. Dopiero premier Rakowski stworzył całkiem nową jakość. Jego rząd hołdował zasadzie, że wszystko co nie jest zabronione jest dozwolone i realizując ją polikwidował koncesje, pozwolenia, promesy i tysiąc innych biurokratycznych barier, które hamowały ludzką przedsiębiorczość, pomysłowość, rzutkość. Zaczęły powsta-

wać pierwsze firmy polonijne, potem pojawili się pierwsi zagraniczni inwestorzy. Z punktu widzenia wywiadu otworzyło się całkiem nowe pole do popisu.

Mimo wszystko jednak jaki taki porządek był. Księgowość w służbach działała jak w każdej innej instytucji. Był budżet, były wydatki - bilans musiał wychodzić na zero. Łącznie z wydatkami specjalnymi, czyli wydatkami operacyjnymi - na informatorów, tajnych współpracowników, przedsięwzięcia gospodarcze będące przykrywką dla jakiejś operacji.

Nowe, już solidarnościowe kierownictwo MSW, otrzymało sumienne rozliczenie, żeby wiedzieli co jest, gdzie, i ile tego jest. Tylko, że potem starzy esbecy, bez których nowa tajna policja obejść się nie mogła, zaczęli wykorzystywać istniejące w wywiadzie możliwości robienia pieniędzy na własne konto, choć z wykorzystaniem pieniędzy UOP. Nawet wysocy rangą funkcjonariusze założyli swoje firmy lub sklepy. Na ogół na członków rodziny - żony, czy, jak to było w przypadku jednego z zastępców szefa wywiadu, na dalszych pociotków - chodziło o duży sklep odzieżowy na jednym z warszawskich osiedli.

Czy szczeciński „Solis” był taką firmą? Czy swoboda z jaką ona działała i z jaką teraz upada jest normalna i nie powinna budzić żadnych podejrzeń? Otóż jest coś, co cieniutką nitką łączy „Solis” ze spec-służbami.

W jednym z ekskluzywnych warszawskich domów towarowych, na ostatnim piętrze, wciśnięty trochę w kąt, jest sportowy butik. Specjalizuje się w sprzęcie do gry w tenisa. Tenis był ulubioną grą właścicieli „Solisa”. W czasach swojej świetności organizowali nawet międzynarodowy turniej tenisowy „Solis Cup”.

Trzeba trafić, ten warszawski butik, oddalony o pięćset kilometrów od szczecińskiej firmy paliwowej, też w nazwie ma „Solis”. „Solis Sport”. Taki przypadek. Ale to nie wszystko - jego właścicielka jest żoną funkcjonariusza wywiadu UOP, którego nazwisko stało się publicznie głośne w związku z aferą „Olina”. Też przypadek? Jeśli tak, to trzeba powiedzieć, że takie przypadki dość gęsto trafiają się w tajno-policyjnych środowiskach. Niektóre są wręcz zadziwiające.

Czy komukolwiek mogłoby przyjść do głowy, że jeden z głównych oskarżonych w największej aferze gospodarczej znanej jako „afera FOZZ”, może jednocześnie być głównym konsultantem finansowym Urzędu Ochrony Państwa. A tak było. Plakatowemu „państwowcowi” - Milczanowskiemu - zupełnie to nie przeszkadzało. Tak samo jak nie czuł obrzydliwości do przedsięwzięć gospodarczych podejmowanych wspólnie z innym wrogiem młodej polskiej demokracji - Siergiejem Gawriłowem, obywatelem Belize, jakby się ktoś pytał.

Otóż jedną z firm, które obracały pieniędzmi Urzędu Ochrony Państwa było „Centrum Handlu ze Wschodem”. Z tego „obracania” korzyść miał nie tylko wywiad, ale przy okazji ludzie z UOP, bowiem akcje, powstałego za państwowe pieniądze Centrum, były sprzedawane osobom prywatnym - transakcji dokonali między sobą oficerowie wywiadu.

„Centrum” powstało w lecie 1993 roku jako spółka akcyjna. Oficjalnie powołano ją z inicjatywy polskiego MSZ w celu odbudowania na komercyjnych zasadach zdruzgotanego przez wydarzenia historyczne handlu między dawnymi partnerami z RWPG. Tworzyły ją firmy „Inter Management” i „TAN”. Ważnym udziałowcem „Centrum” był onże Siergiej Gawriłow - biznesmen, którego nazwisko znalazło się w polskich gazetach jako nazwisko człowieka niejasnych interesów, powiązanych z różnymi wywiadami.

Polscy koledzy Gawriłowa i - przy okazji - jego handlowi partnerzy, zarejestrowali go prawdopodobnie jako „źródło”. Tyle, że nie ma stuprocentowej pewności, kto dla kogo był tym źródłem: obywatel Belize dla naszych, czy może na odwrót. Dodać należy koniecznie, że Rosjanin oburza się na wszelkie sugestie swych rzekomych powiązań z tajnymi służbami swej ojczyzny. W każdym razie sielanki między partnerami nie było, tylko same interesy. Dopóki się chłopakom opłacały, kryli je. W końcu partnerzy Gawriłowa, to nie byli jacyś pierwsi lepsi. Jednym z nich mógł być na przykład Jarosław M. - wysokiej rangi dyplomata, a jednocześnie oficer służb specjalnych - podobno faktyczny twórca „Centrum Handlu ze

Wschodem”, absolwent SGPiS. Mógł być nim także Andrzej Z. - były minister w rządzie Bieleckiego, pełniący w spółce funkcję prezesa Rady Nadzorczej, jak również płk K. - szef „Inter Managementu” i Leszek C. z „TAN” - major wywiadu.

Mówiono, że twórca „Centrum” - Jarosław M., liczył na to, że firma, poprzez swe specyficzne powiązania zarówno w Polsce jak i w Rosji, uzyska dostęp do prawdziwie wielkiej forsy niezupełnie legalnie z Rosji do szwajcarskich banków wyprowadzonej (szeptano, że przez tamtejsze spec-służby). Legenda mówi, że do zagospodarowania było ok. 30 mld dolarów! Gdyby UOP-owi udało się przyssać do takich obrotów, to rzeczywiście mógłby planować karierę nie tylko na polskiej giełdzie.

W świecie tajnych służb jest oczywiście normalne, że wykorzystują one międzynarodowe organizacje lub firmy jako doskonałe przykrycie dla swoich poczynań. Jeśli jednak angażuje się w nie państwową forszę, żeby wzbogacić prywatną kasę, to kompromitacja zawsze wisi w powietrzu.

W tym przypadku fatalny wpływ na bieg rzeczy miały rozrastające się możliwości Gawriłowa i zazdrość. Zresztą z powodu zazdrości stosunki między wywiadem i kontrwywiadem gniją od lat. Oficerowie kontrwywiadu niezmiennie zazdroszczą kolegom z wywiadu ich możliwości i pieniędzy. Od czasu do czasu więc, z dużą przyjemnością psują im interesy. Podobnie było i tym przypadku.

Kontrwywiad puścił w miasto cynk o powiązaniach Gawriłowa z post-komuną, co w środowiskach post-solidarnościowych uchodzi za zbrodnię stanu. A ponieważ od powiązań postkomuny z ruskimi szpiegami jest w Warszawie pan Wołek, to właśnie jego „Życie” zaatakowało Gawriłowa. Po całości - jako bankiera zagrażającego polskiej suwerenności, niczym dawniej carskie armie.

Wystrzelono w niego całą serią artykułów. Niebawem - jak to zwykle bywa - „Życiu” zawtórowało „rycerskie” „Wprost”.

Z publikacji tych niedwuznacznie wynikało, że Gawriłow był handlarzem bronią, ruskim szpiegiem, a w dodatku synalkiem szpiega. Mało tego - typunio, sugerowano, zajmuje się także praniem brudnych pieniędzy. Przejmując kontrolę nad Bankiem Powierniczo-Gwarancyjnym, szykował się, ni mniej ni więcej, tylko do zdestabilizowania polskiego systemu bankowego. No, po prostu zgroza.

Ten ton, te tropy, te poszlaczki i smaczki - wszystko sprawiało wrażenie, jakby prostego przetworzenia materiałów operacyjnych UOP.

Ponieważ od zagrożeń polskiego systemu bankowego była prezeska Gronkiewicz-Waltz, to jasne, że i ona nie mogła zasypiać gruszek w popiele. Rach-ciach i postawiła Bank Powierniczo-Gwarancyjny, którego Gawriłow był znaczącym udziałowcem, w stan likwidacji.

Atak przeciwko niemu prowadzony był nie tylko na oczach publiczności. Nieco wcześniej bowiem, zanim na dobre zaczęła się Wołkowa nagonka, pod zarzutem wynoszenia tajnych materiałów został na krótko aresztowany kpt. S. z UOP, którego żona była zatrudniona w jednej z firm Gawriłowa. Aresztowany UOP-ek, przy którym rzekomo znaleziono jakieś tajne kwity, miał podobno zeznać, że niósł je do Gawriłowa. Na tej podstawie prokurator wydał polecenie przeszukania podwarszawskiej posiadłości obywatela Belize. Co prawda nie znaleziono żadnych trefnych papierów, ale za to w łapy rewidujących wpadła dubeltówka kal. 12. oraz niewielka ilość amunicji i raketnica. Flintę i patrony zatrzymano, a Gawriłowowi wytoczono proces o nielegalne posiadanie broni.

Zarekwirowana strzelba to był unikatowy egzemplarz ręcznej roboty, wykonany na polecenie Breżniewa. Przeznaczona była na prezent dla amerykańskiego polityka i finansisty, Roberta McNamary. Z niewiadomych przyczyn gospodarz Kremla ostatecznie nie obdarował jankesa artystycznie wykonaną dubeltówką. Tu warto dodać, że flinta została przez rzeczoznawcę wyceniona na kwotę 40 tys. USD, która u zwykłego myśliwego może wywołać

zawrót głowy.

Dubeltówka znalazła się w państwowym muzeum w Tule, skąd następnie odkupił ją dla Gawriłowa Andriej K.

Gawriłow, mający w Rosji legalne pozwolenie na posiadanie broni myśliwskiej wwiózł dubeltówkę do Polski też jak najbardziej legalnie, jako uczestnik „dewizowego polowania”, organizowanego dla cudzoziemców przez „Animex”. W Najjaśniejszej Gawriłow udanie postarał się o przyjęcie w poczet członków Polskiego Związku Łowieckiego. Nikt nie pytał go o polskie pozwolenie na broń, Gawriłow więc nie przywiązywał wagi do formalnego uregulowania sprawy dubeltówki. Tymczasem ta właśnie beztroska dała prokuraturze powód do wniesienia aktu oskarżenia.

Facetowi pomawianemu przez prasę i Urząd Ochrony Państwa o grubego kalibru przestępstwa, w majestacie prawa postawiono jedynie błahy zarzut posiadania dubeltówki bez policyjnego zezwolenia. Czy to nie dziwne? Na członka Rotary Wilanów i Royal Automobil Club w Londynie, ulubieńca „Warszawki”, posiadacza szmalu w ilościach większych niż Eskimos lodu, żony Larysy i piętnastomilionowych (w dolarach) aktywów na giełdzie, wystarczyła, jak się okazało, jedna dubeltówka. No i oczywiście Wolek. Zaprawdę, co by ten biedny UOP robił, gdyby nie było takiego poważnego redaktora.

Przyciskany w jednej z prywatnych rozmów, już po wyjeździe z Polski, Gawriłow wspominał, że przyczyną jego kłopotów było nieopatrzne wdanie się w interesy z „Centrum Handlu ze Wschodem”. Gawriłow przekonywał, iż nie wiedział, że jest to firma założona przez UOP. Ponieważ nie dał się wykiwać i twardo walczył o wycofanie włożonego szmalu, naraził się kilku wpływowym osobom powiązanym z polskimi tajnymi służbami. Tak brzmi jego wersja. Potwierdzona zresztą podczas oficjalnego przesłuchania, któremu został poddany przez oficera Zarządu Śledczego UOP - Andrzeja B. Gawriłow powiedział wtedy również, komu nie dał się oszukać w interesach.

* * *

Jedną z firm tworzących „Centrum Handlu ze Wschodem” był „Inter Management”. Wymyślił ją Bogdan Libera - gwiazdor występujący w farsach szpiegowskich o chwytniu Oleksego, za AWS powtórny dyrektor Zarządu Wywiadu UOP. Rzecz odbyła się jak najbardziej formalnie - spółkę założyli Libera, Jerzy K. i Wojciech B.

Założenie „Inter Managementu” i wywianowanie go z pieniędzy wywiadu jest, kto wie czy nie najokazalszą, operacją Libery. U kolegów opinię zawodową ma on raczej marną. W życiu cywilnym funkcjonował pod przykryciem - w Ministerstwie Górnictwa. Przeszedł drogę od sztygara do dyrektora. Oczywiście jego awanse były tego samego gatunku, co dajmy na to piłkarzy „Górnika Zabrze”, którzy też musieli gdzieś pracować, skoro udawali amatorów. Jako pracownik wywiadu sztygar Libera - absolwent AGH, zaczynał w Wydziale VI Departamentu I MSW, czyli w wywiadzie „naukowo-technicznym”. Miał wykraść kapitalistom ich tajemnice technologiczne. Libera pracował w rezydenturze w Kolonii, ale nie narobił naszym aktualnym przyjaciółom wielu szkód. Polityczną karierę post-PRL-owską zawdzięcza trzem osobom: sobie, byłemu ministrowi spraw wewnętrznych, później senatorowi - Krzysztofowi Kozłowskiemu i Władysławowi Bartoszewskiemu - też na starość senatorowi i ministrowi spraw zagranicznych na dodatek.

Sobie - bo usługiwał nowej władzy kosztem kolegów z wywiadu, czym ujął ówczesnego ministra spraw wewnętrznych - Kozłowskiego. Gdy więc Libera miał pojechać na placówkę do Wiednia i gdy ówczesny ambasador RP w Wiedniu, Władysław Bartoszewski, pytał się, kto zacz ten Libera, to Kozłowski wystawił oficerowi kartę gwarancyjną wraz z rękojmnią. Ostatecznie przekonał do siebie solidaruchów aktywnym udziałem w spisku przeciwko Józefowi Oleksemu.

Jerzy K. był dyrektorem „Inter Managementu”. Podobnie jak Libera, Jerzy K. jest

pracownikiem wywiadu. Uchodzi za człowieka samodzielnego w pracy operacyjnej, dobrze zorganizowanego i odważnego. Jest skryty. W centrali prowadził poważne sprawy, wymagające angażowania dużych kwot w operacje wywiadowcze i tak samo dużych wypłat dla agentów. Byle komu nie daje się dostępu do pieniędzy. Zwłaszcza do pieniędzy, które trzeba „mądrze” rozliczyć.

Wojciech B. był członkiem Zarządu „Inter Managementu”. Też jest oficerem wywiadu. Był poprzednikiem Libery na stanowisku naczelnika Wydziału w Departamencie I MSW. Pracował w USA, a później w Japonii. Jest kumplem Libery za studiów. Uchodzi za konfliktowego egocentryka. Jest jednak dobry w robocie operacyjnej.

Ci trzej dżentelmeni, postanowili raz u pewnego sprzedać trochę swoich udziałów w „Centrum Handlu ze Wschodem” niejakemu Krzysztofowi Ś. - jak oni oficerowi wywiadu, jakby się ktoś pytał. Krzysztof Ś. przykrywał swoją podstawową działalność zawodową majtkami i halkami z łódzkich fabryk, które sprzedawał w bazie morskiej ościennego mocarstwa. Bieliznę kupował w firmie żony jednego ze swych przełożonych, ale to tak na marginesie - skoro już mówimy o podłączaniu prywatnych interesów do operacji wywiadowczych służb specjalnych Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Krzysztof Ś. kupił udziały w „Centrum Handlu ze Wschodem” za 210 tysięcy złotych (dwa miliardy sto milionów starych złotych) jako osoba prywatna. Ale firma należy do wywiadu, sprzedający i kupujący też - powstaje więc pytanie, czy pieniądze z tej transakcji tam właśnie trafiły? Ciekawe też jak ów Krzysztof Ś. dzielił się z wywiadem zarobkami uzyskiwanymi z handlu damskimi halkami? Bo skoro wywiad dawał swojemu człowiekowi, do swojej własnej firmy, pieniądze do obrotu, to powinny one tam wrócić wzbogacone o zarobek.

Być może te, bądź podobne pytania, chciała postawić UOP-owi warszawska prokuratura, która wszczęła śledztwo w sprawie podejrzanych interesów prowadzonych przez tajne służby. Ale szybko jej przeszło:

Prokuratura Wojewódzka w Warszawie umorzyła śledztwo w sprawie (...) podejmowania przez funkcjonariuszy działalności gospodarczej niezgodnej z celami i metodami pracy UOP. (...)

(„Rzeczpospolita” - 5 grudnia 1997 r.)

Powód tej prokuratorskiej niemocy? - UOP odmówił dostarczenia materiałów.

Wynika z tego, że jeżeli ludzie z UOP podejrzani są o przestępstwo, a nie chcą na siebie donieść, to pozostają bezkarni. Umorzenie tym bardziej zdumiewało, że istniał tajny raport wewnętrznej komisji, którą powołano do wyświetlenia tych finansowych tajemnic. Został on przedstawiony posłom sejmowej Komisji d/s Służb Specjalnych. Powinien więc być dostępny dla uprawnionych organów. Prokurator prowadzący sprawę wydaje się być takim odpowiednim, uprawnionym organem do zapoznania się z materiałami dotyczącymi śledztwa. A jednak zostało ono umorzone! Łapy UOP-u bez trudu sięgają gdzie chcą, do Sejmu też.

BOLEK

W książce *Droga nadziei* o wydarzeniach z lat 70. Lech Wałęsa sam napisał: *Prawdą jest, że rozmowy były. Powiedziałem wtedy - a to jest zapisane w protokołach - że jeśli nie dopuszczą do powstania autentycznych organizacji robotniczych (...) dojdzie w niedługim*

czasie do większych jeszcze dramatów. I prawdą jest też, że z tego starcia nie wyszedłem czysty. Postawili warunek: podpis! I wtedy podpisałem.

Przełom maja i czerwca 1992 r. Kazimierz Świtoń - jeden z twórców wolnych związków zawodowych - ogłosił przed kamerami telewizyjnymi, że prezydent Lech Wałęsa był agentem SB.

20 czerwca 1992 r. Pierwszy solidarnościowy minister spraw wewnętrznych, senator Krzysztof Kozłowski, ujawnił w „Gazecie Wyborczej”, że widział dokumenty agenta o pseudonimie „Bolek”, ale uznał, że nie są warte zainteresowania. Jeden z członków komisji Ciemniewskiego (badającej sposób wykonania uchwały lustracyjnej Sejmu) powiedział „Gazecie”, co było w dokumentach, które 12 czerwca wyjęto z sejfu b. szefa UOP - Piotra Naimskiego: przeważają materiały z końca lat 70. Jednym z pierwszych jest podpisane przez Wałęsę oświadczenie, że zachowa w tajemnicy treść rozmowy z oficerem SB. W teczce „Bolka” są dwa lub trzy takie zobowiązania podpisane przez Wałęsę, co wiąże osobę z pseudonimem.

29 czerwca 1992 r. W telewizyjnym programie młodzieżowym „Luz” Wałęsa powiedział: Nie byłem agentem. Nie znajdziecie nawet pyłu, bym postąpił wbrew sprawie i swoim kolegom.

8 marca 1993 r. „Dziennik Chicagowski” publikuje dokumenty „Bolka” - sprawozdanie dla SB o sytuacji na wydziale W-4 Stoczni Gdańskiej w styczniu 1971 roku „Bolek” wymienia nazwiska dwóch elektryków tego wydziału: Jasińskiego i Popielewskiego, bo według niego mogą być członkami jakiejś komórki organizacyjnej, która może przygotowywać strajk. „Dziennik” drukuje też kopie odręcznych pokwitowań agenta „Bolka” za pieniądze otrzymane od funkcjonariusza SB.

10 marca 1993 roku Stan Tymiński powiedział radiowej „Trójce”: pan „Bolek” jest bezwzględnie obywatelem Lechem Wałęsą. Według Tymińskiego autentyczność posiadanych przezeń, kompromitujących Wałęsę materiałów, potwierdza analiza grafologiczna, na którą wydał 200 dolarów.

13-14 marca 1993 r. Antoni Macierewicz oświadczył, że informacje Lecha Wałęsy, iż materiały gdańskiej SB zostały zniszczone, traktuje jak doniesienie o przestępstwie popełnionym przez kierownictwo MSW.

- Do czerwca 1992 r., czyli do czasu, gdy ja kierowałem resortem, dokumenty te z całą pewnością istniały - zapewnił.

Maj 1993 r. „Gazeta Polska” (nr 4/93) opublikowała „listę Macierewicza, na której znajdowało się nazwisko Wałęsy.

Styczeń 1996 r. Wałęsa powiedział w radiu, że kupił jakieś papiery świadczące, że był inwigilowany przez SB.

17 kwietnia 1996 r. Szef UOP - Andrzej Kapkowski - przywrócił do służby i powołał na stanowisko szefa delegatury UOP w Gdańsku ppłk. Adama Hodysza. Nieoficjalnie mówiono, że Wałęsa zdymisjonował Hodysza za to, że na wiosnę 1992 r. wydał specjalnym wysłannikom ówczesnego szefa MSW, Antoniego Macierewicza, akta operacyjne SB dotyczące Wałęsy, tzw. teczkę „Bolka”.

Czerwiec 1996 r. Na wniosek ppłk Adama Hodysza szef UOP powołuje komisję do zbadania okoliczności zaginięcia części dokumentów oznaczonych klauzulą „Tajne specjalnego znaczenia”. Mówi się, że chodzi o dokumenty dotyczące „Bolka”.

29 września 1996 r. Stołeczna Prokuratura wszczęła postępowanie wyjaśniające w sprawie niezwrócenia przez b. prezydenta Lecha Wałęsę tajnych dokumentów UOP i MSW. Urząd Ochrony Państwa wszczyna własne, wewnętrzne śledztwo mające wyjaśnić zniknięcie tajnych dokumentów z gdańskiej delegatury. Wałęsa odrzuca zarzuty, twierdzi, że wszystko oddał.

2 października 1997 r. Telewizyjne „Wiadomości” poinformowały, że śledztwo prowadzone przez warszawską prokuraturę w sprawie zniknięcia dokumentów z teczki agenta o

pseudonimie „Bolek” może przekształcić się w śledztwo przeciwko b. ministrowi spraw wewnętrznych Andrzejowi Milczanowskiemu. „Wiadomości” przypomniały, że w lecie 1995 r. dotyczące tej sprawy akta zostały przez Milczanowskiego przekazane do Kancelarii Prezydenta Wałęsy. Wróciły niekompletne. Załączona była koperta z adnotacją, że wolno ją otworzyć tylko za zgodą prezydenta RP. Kiedy na wiosnę 1996 r., za zgodą prezydenta Kwaśniewskiego, UOP kopertę otworzył, okazało się, że jest pusta.

20 lipca 1997 r. Prokuratura stołeczna umorzyła śledztwo w sprawie zaginięcia części akt operacyjnych byłej SB zteczki „Bolka”. - *Nie stwierdziliśmy, żeby utrata tych dokumentów miała znamiona przestępstwa* - powiedziała rzeczniczka prasowa prokuratury.

Styczeń 2000 r. Ppłk Henryk Żabicki (również były szef delegatury gdańskiej UOP), wcześniej oskarżany przez Hodysza o zniszczenie dokumentów „Bolka”, powiedział, że takich dokumentów nigdy nie było. Według niego można mówić co najwyżej o fałszywkach fingowanych właśnie przez Hodysza. Żabicki złożył w tej sprawie doniesienie do prokuratury.

Kwiecień 2000 r. Cztery miesiące po sensacyjnym oświadczeniu swojego zwolennika - Żabickiego, na specjalnie zwołanej konferencji prasowej, Wałęsa pokazuje dziennikarzom kserokopie dokumentów mające dowodzić, że fałszowano jego akta. Koronnym dokumentem w tym zestawie jest, trzeba trafu, pismo Żabickiego zawiadamiające prokuraturę o rzekomych fałszerstwach dokonywanych przez Hodysza.

Sierpień 2000. Sąd Lustracyjny orzeka, że Wałęsa nie skłamał pisząc w swoim oświadczeniu lustracyjnym, że nigdy nie był tajnym i świadomym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa. Teoria o fałszowaniu dokumentów przeciwko niemu była fundamentem, na którym Sąd oparł swoje rozumowanie.

No to jak to naprawdę było z tym „Bolkiem”?

Na przykład mogło być tak.

* * *

W sali konferencyjnej Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej w Gdańsku było siwo od papierosowego dymu. Nastrój był ciężki - strajk wygasł, rozruchy stłumiono. Ale trupy były jeszcze ciepłe, łyzy nie obeschły, gniew buzował. Milicja czuła, że nikt nigdy nie weźmie jej w obronę, nikt nigdy nie stanie po jej stronie i nie powie, że obroniła miasto przed grabieżą, zapobiegła bandytyzmowi na wielką skalę. Historia zapisze tę akcję jako pacyfikację robotniczego buntu i morderstwo na broniących własnej godności robotnikach. W zakamarkach sali czuć było jeszcze smród gazów łzawiących, którymi początkowo próbowano uspokoić rozkołysane morze nienawiści.

Przemawiał wysoki rangą przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych:

- Musimy sobie jasno powiedzieć, że nasze służby nie zdały egzaminu. Sytuacja nas, towarzysze, zaskoczyła. Zaskoczyła skalą, determinacją i stopniem zorganizowania protestu. To oznacza, że na terenie stoczni nie pracowaliśmy dobrze, że nie o wszystkim wiedzieliśmy. To musi się zmienić. Trzeba odejść od rutyny, bo przeciwnik udowodnił, że potrafi działać niekonwencjonalnie, niesztampowo, potrafi dobrze się zakamuflować. Musimy wiedzieć wszystko o wszystkich potencjalnych przywódcach buntu, o każdym lokalnym watażce, choćby tylko by wodzem paru chłopaków, z którymi razem chodzą na piwo i na dziewczyny. Musimy ich znać, musimy być z nimi w hotelach robotniczych, na osiedlach, na których mieszkają, przy ich stanowiskach pracy. To nic, że dziś nic nie znaczą, są co najwyżej wydziałowymi cwaniaczkami, kombinatorkami, takimi co to aby do jutra, aby parę groszy skombinować na wino. Życie pokazało, że nigdy nie wiadomo, który z nich stanie się groźny dla władzy ludowej.

Henryk R., funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa pracujący w Komendzie Wojewódzkiej MO w Gdańsku, słuchał tych słów z uwagą. Złapał się na tym, iż w miarę jak mówca określał nowe zadania on w myślach przepatrywał wszystkich swoich agentów, którzy

mogliby być pomocni w nawiązywaniu nowych znajomości, mogliby go wprowadzić w stoczniowe środowisko. Właściwie - gdyby go zapytano - nie wiedziałby dlaczego w tym momencie właśnie przypomniał sobie twarz młodego robotnika, chłopaka jeszcze, który na wiecu z udziałem towarzysza Gierka gromko, nawet zapalczywie, krzyczał: „poomoożemy! poomoożemy!”.

Po naradzie, która trwała do wieczora, nie od razu wrócił do domu. Coś pchało go do kartoteki. Do późnej nocy przeglądał protokoły przesłuchań po strajku. Teczek były dziesiątki, ale tylko jeden zamknięty w nich człowiek zwrócił jego uwagę. Spojrzał na adnotację: wydział W-4, elektryk. Przyjrzał się zdjęciu - raz, drugi... nie mylił się. To był ten chłopak. Jakby przed chwilą widział go na tym wiecu. Zaczął czytać zeznania.

Głupi nie jest, przyznał w duchu.

Rzeczywiście jeśli władza dalej traktować będzie związki zawodowe tylko jak pas transmisyjny przekazujący załogom jej złote myśli, jeśli ludziom się choć trochę nie poluzuje, to bunt będą się powtarzać.

- Dobrze wam radzę - to było ostatnie zdanie z przesłuchania elektryka. Na końcu podpisane było przez niego zobowiązanie do zachowania tej rozmowy w tajemnicy.

Rutyna, pomyślał Henryk R. o oficerze, który prowadził rozmowę. - Oto co nas gubi. Przecież z daleka widać, że ten chłopak coś w sobie ma. Niby wiejski cwaniaczek, ale...

Następnego dnia, mimo zarwanej nocy, Henryk R. wcześniej rano był już w pracy. Pozałatwiając co niezbędne, z szafy wyjął swoją stoczniową przepustkę i poszedł tam. Wędrował po wydziałach niespiesznie, jak wszyscy. Na pierwszy rzut oka był kimś z biura, może zaopatrzeniowcem, może jakimś technikiem. Starał się zachowywać jak najbardziej naturalnie, gdyż robotnicy ciągle byli podenerwowani, bez końca rozpamiętywali minione wydarzenia i wokół węszyli szpicli. Nie inaczej było na W-4, dokąd wreszcie dotarł. Robota wyraźnie nie kleiła się. Niby stukano, niby pracowano, ale w każdym kącie z byle powodu, zbierały się grupki robotników - po dwóch, trzech i o czymś zawzięcie rozprawiali. Zauważył, że paru stoi przy wózku akumulatorowym. Gardłował jeden. Wyglądał jak większość chłopaków ze stoczni - oczy cwane, modne wąsy, włosy długie z lekka nieświeże, dzinsy w dzwon. To był ten, którego szukał! Ten sam, który krzyczał „pomożemy!”. Na pewno się nie mylił, jego wprawne, policyjne oko, jeszcze nigdy go nie zawiodło. Przeszedł obojętnie mimo, nawet nie patrząc w stronę tej grupki. Zniknął za najbliższym załomem. Cierpliwie czekał na koniec zmiany. Gdy tłum przeciskał się przez bramę stoczni oficer tak pośród niego żeglował, żeby nie stracić z oczu elektryka. Stopniowo, w miarę drogi, koledzy rozchodzili się każdy w swoją stronę, szli coraz luźniej, aż wreszcie elektryk znalazł się na przystanku sam.

- Miał pan nic nie gadać, a widzę, że pan niczym Lenin. Tyle, że nie na ciężarówce, a na wózku. No i publika nieco mniejsza.

Elektryk zeszytniał. Ale w lot zrozumiał, że nieznajomy robi sobie jaja.

- Lenin też skromnie zaczynał - odpalił. - A ja nie wiecuję, tylko rozmawialiśmy z chłopakami, normalnie. Jak wszyscy teraz.

- A ze mną pan też pogada? - zapytał Henryk.

- Dlaczego nie. Pogadać można.

Wysiedli na najbliższym przystanku i poszli na piwo. Lokal nie był może wykwintny, ale o taki chodziło: normalni kumple, normalne piwo po fajrancie.

Henryk R. wracał do firmy zadowolony. Może ten elektryk nie jest profesorem uniwersytetu, ale na pewno będzie pożyteczny. Usiadł za swoim biurkiem i napisał notatkę: w dniu dzisiejszym, na wydziale W-4 Stoczni Gdańskiej imienia Lenia, nawiązano współpracę z elektrykiem tego wydziału. Ustalono wspólnie, że będzie występował pod pseudonimem „Bolek”, który sam sobie wybrał.

Do akt załączono podpisane przez elektryka pokwitowanie na 1500 złotych, które „Bolek” przyjął „na dobry początek”.

W sumie, do roku 1976 zbierało się takich pokwitowań dwadzieścia kilka. „Bolek” był łasy na pieniądze, no ale i dziwić nie ma się czemu - żona, dzieci - co rok, to prorok. Niestety wiadomości miał marne dosyć. Jedynie na początku, w styczniu 1971, tuż po gdańskiej ruchawce, doniósł, że dwóch kolegów z W-4 być może należy do jakiejś komórki organizacyjnej, która może przygotowywać nowy strajk. Potem były już same, mało wartościowe, ploty.

Henryk R. awansował wkrótce do Warszawy, do departamentu III MSW. „Trójka”, to było coś. Tam mieli na oku całą opozycję. Henryk stracił kontakt z „Bolkiem”, a jego następcą najwyraźniej nie miał serca do takiego cwaniaczka, co to niby coś wie, niby coś mówi, ale jak to wszystko wycisnąć... Szkoda forsy. Zdecydowano więc zaprzestać kontaktów z „Bolkiem”, uznając go za agenta nierozwojowego.

Jak pokazała historia Służba Bezpieczeństwa nie popisała się dalekowzrocznością. Spuszczony z oka elektryk wdał się w „wolne związki zawodowe”, wpadł pod skrzydła Anny Walentynowicz i Andrzeja Gwiazdy z jednej strony i Bogdana Borusewicz z drugiej. Był więc pod jednoczesnym wpływem ideologów niezależnego ruchu związkowego i ruchu KOR-owskiego, kreślącego plany znacznie dalej zakreślone niż tylko pokorporacyjny horyzont. Rozpoczął się bardzo długi, naznaczony wieloma porażkami, proces szlifowania tego brylantu.

Dopiero podczas strajków roku 1980 bezpieka zorientowała się, że jej „Bolek” wyrósł na znaczącą figurę z mocnymi kontaktami w opozycji. Ale „Bolek” był cwańszy niż ładniejszy. I co najważniejsze - nie był już „Bolkiem”. Może jeszcze trochę się ich bał, ale już nie za bardzo. Właściwie z każdym tygodniem mniej. Grał o najwyższe stawki.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, iż „Solidarność” pełnymi garściami czerpie z pomocy oferowanej jej z zagranicy. Wielokrotnie natykano się na wyraźne ślady kontaktów z oficerami tamtejszych służb specjalnych. Wywiady otwierały też kanały do przerzucania do Polski sprzętu i pieniędzy.

Jednak paradoks tamtych czasów polegał na tym, że co dla władz było okropnym sprzeniewierzeniem się podstawowym interesom państwa i narodu, to opozycja uznawała za niosące nadzieję na wolność, czyny patriotyczne.

Dla MSW kontakty z obcymi wywiadami, korzystanie z pomocy obcych mocarstw, godziło w Polskę, a dla „Solidarności” Polsce służyło. Wałęsa rozumiał to doskonale. Zażyczony na jednej z konferencji prasowych o pieniądze dla „Solidarności” pochodzące od jakiejś faszyzującej niemieckiej organizacji, wcale się nie zarumienił ani nie speszył. Odpowiedział, że pieniędzy „Solidarność” ma dosyć, ale jak dają, to trzeba brać i nie patrzeć od kogo.

- Co my z nimi zrobimy, to nasza sprawa.

Takie wypowiedzi tylko zyskiwały mu aplauz, gdyż podtrzymywały nasze pyszne o sobie wyobrażenie - że jak nam się zechce, to każdego wykołujemy. Neofaszystów też? - a ile to roboty!

Władze, oficjalna propaganda, najwyraźniej nie czuły bluesa. Grały na polskiej racji stanu - polerowanej przez lata przez MSZ, plany Rapackiego, Gomułki i całe tabuny publicystów międzynarodowych. Wbijano ludziom do głowy, iż naruszenie porządku Jałtańskiego równa się trzeciej wojnie światowej, więc w polskim interesie narodowym jest tego porządku strzec wszelkimi siłami. Opozycja otóż, wspierana możliwymi protektorami, dążyła do zburzenia go.

Sytuacja była poważna. Do tego stopnia, że w MSW utworzono specjalną grupę do monitorowania wszelkich poczynań opozycji i przeciwdziałania im. Wałęsa już poczuł nowy wiatr. Chłopski instynkt bezbłędnie podpowiedział mu, kto jest teraz silniejszy i z kim należy trzymać. Ale bezpieka nie chciała się poddać, próbowała odzyskać stracone pole. Służby specjalne w gruncie rzeczy na całym świecie są do siebie podobne - jak nie pomaga perswazja, jakiś mały szantażyk, to uciekają się do, jak oni to mówią - „gry operacyjnej”. Gdy i to nie przynosi spodziewanego rezultatu, przychodzi czas na prowokację. W przypadku Wałęsy

nie działało już nic.

Ale Wałęsa najlepiej wiedział, że całkiem czystego sumienia nie ma. Poza tym Kazimierz Świtoń, który ogłosił, że Wałęsa był esbeckim kapusiem nigdy nie odwołał tego oskarżenia. Podobnie Antoni Macierewicz - były minister spraw wewnętrznych i szef UOP z tego czasu - Piotr Naimski. Co dla Wałęsy najboleśniej, prawdziwa legenda wolnych związków zawodowych - Anna Walentynowicz również nigdy nie przestała wyrażać się o nim jak najgorzej i nigdy nie przestała uważać go za człowieka związanego z MSW. Wałęsa do końca nic był pewien swego losu, choć razem ze swoim Milczanowskim i z jego generałami zrobili wszystko, żeby nie zostawić spraw własnemu biegowi.

* * *

Leśny dukt, którym szli, wiódł środkiem przepięknego sosnowego lasu. Pachniało igliwem, grzybami, pobliskim jeziorem. Lato było piękne, okolica była piękna. Było tak cicho, że gdy przebiegał rozdokazywany pies jednego z dwóch spacerujących mężczyzn, ziemia dudniła, jakby koński tabun przetaczał się mimo.

- Zalecam wielką ostrożność. Jeśli nie ma pan dokumentu, dowodu, to odradzam jakiegokolwiek publiczne wystąpienia na ten temat. On polubił swój nowy zawód, a nawet zachorował na jego dożywotnie wykonywanie. Są z nim ludzie, którzy z jego karierą związali swój polityczny los - jeśli nie bezpośrednio, to pośrednio. Przestrzegam - zbyt wielu, zbyt ważnym zależy na tym, żeby go wybielić. On to wie - sprytu nie można mu w żadnym wypadku odmówić. Wie też, bo miał przecież okazję, żeby się o tym dowiedzieć, że oryginałów nie ma. Sami zadbaliśmy o to, żeby nie było. Resztę zrobili jego ludzie.

- Kiedy zadbaliście?

- Dawno. Przed początkiem. Zresztą wiązaliśmy z nim pewne plany. Dziś łatwo powiedzieć, że to była z naszej strony naiwność, bo on już wtedy miał ważniejszych i potężniejszych od nas opiekunów. Ale naprawdę liczyliśmy, że wspólnie coś zrobimy. Coś nowego. Nie chcieliśmy więc niczego, co mogłoby wówczas i później pobrudzić jego wizerunek, stwarzać niezręczną dla obu stron sytuację. Powtarzam - oryginałów nie ma.

Więcej do tej sprawy nie powrócili. Do końca spaceru oddawali się poezji lasu, lata, urokowi przyrody.

W lipcu 1997 tygodnik „NIE” jako pierwszy poinformował, że Lech Wałęsa, otrzymawszy w 1992 roku - dzięki Milczanowskiemu - dostęp do sześciu tomów akt policyjnego konfidenta „Bolka”, przypuszczalnie wyrwał z nich bezprawnie 21 stron, których brakuje. Urban pisał:

Wedle tego, co mówią ludzie Wałęsy, te teczki pojawiły się u prezydenta między 1992 a 1994 rokiem. Prezydent zaczytywał się w nich - to je oddawał, to znowu je brał. Dawano mu akta w sposób sprzeczny z przepisami, które w MSW i UOP regulują takie rzeczy. Usłużnością taką wobec Wałęsy odznaczyli się ludzie dziwnym zbiegiem okoliczności umoczeni potem w robienie z Oleksego moskiewskiego szpiega. Czemu tenże Wałęsa w ostatnich dniach prezydentury wyraziście patronował: Milczanowski - jako szef UOP, a potem minister, następni szefowie UOP, w tym Czempiński, szef biura śledczego policji politycznej - Fonfara i były wódz kontrwywiadu, Miodowicz. Większość z nich Wałęsa na odchodnym mianował generałami.

Dowiedzieliśmy się w Gdańsku, że zgromadzone tam akta „Bolka” Milczanowski, jako szef UOP, ściągnął z nadmorskiej delegatury już w 1990 roku., aby w nich byle kto nie grzebał i - zapewne, by przecieki nie przeszkadzały Wałęsie w zostawaniu prezydentem RP. Potem - w dobie lustracji Macierewicza - pieczę nad teczkami miał mieć Naimski. (...)

W 1992 roku, dorobek „Bolka” trafił do Belwederu dostarczony Wałęsie na biurko. Dźwigać miał Fonfara - już wtedy zasługując się na przyszłe lampasy. Jest świadek tego i

pokwitowanie. Kiedy teczki wróciły do UOP okazać się miało, że brakuje 21 stron, bo zostały wyrwane. Kto wyrwał - zapewne bardzo aktywny Anioł Stróż Wałęsy Owe karty zawierały ponoć serdeczne i pełne wzajemnego zrozumienia dialogi „Bolka” z ohydnyimi funkcjonariuszami reżimu, który Wałęsa zwalczał. Jeśli nieprawda czemu tak są chowane? (...) Akta „Bolka” wracały do Wałęsy, a stamtąd do UOP, który wciąż nie miał prawa do nich zaglądać, tylko trzymać w pancерnej kasie.

(„NIE” nr 30/97)

We wrześniu 1997 także „Trybuna” napisała, że Wałęsa jeszcze raz sięgnął do tych teczek w roku 1993. Przed ponownym zwróceniem dokumentów do UOP-u prezydent wyjął z akt pewną liczbę kart i włożył je do koperty. Kopertę kazał zalakować i opatrzyć zastrzeżeniem: Wolno otworzyć wyłącznie za zgodą prezydenta RP.

W 1996 roku, po otwarciu tajemniczej koperty przez gen. Andrzeja Kapkowskiego, okazało się, że jest pusta. Zachodzi więc uprawnione podejrzenie, że Wałęsa „skreślił” kompromitujące go papiery.

Inne akta dotyczące „Bolka” były przechowywane w gdańskiej delegaturze Urzędu. Te papiery też „wyparowały”, i to w czasie, kiedy delegaturą kierował zaufany facet Wałęsy, były esbek, Henryk Żabicki.

W kilka dni po publikacji „Trybuny” temat podchwyciły telewizyjne „Wiadomości”. (...)

6 października 1997 r. Ryszarda Socha z „Polityki” zapytała samego Wałęsę, jak to naprawdę z tą kopertą było. Wałęsa, który zazwyczaj jest nieznośnie gadatliwy, tym razem odmówił odpowiedzi: *Byłem prezydentem, więc miałem różne prawa i nie będę się z tego tłumaczyć.* („Polityka” nr 43/97)

Jak wszyscy znamy Wałęsę, to nie mógł sam tego wymyślić. W tym zdanku: *byłem prezydentem i miałem różne prawa*, pobrzmiwa zbyt dużo wiedzy i całe lata praktyki w falandyzowaniu prawa.

* * *

Mimo wczesnej pory było ciepło, jak to w czerwcu. Nie miał kłopotów z dostaniem się tu. Wartownik od razu go poznał - może z telewizji, może z poprzedniego ministrowania, albo tak, po prostu. Urzędował już prawie tydzień, ale do tej pory nie miał czasu dobrze rozejrzeć się po swoim nowym-starym gabinecie.

- Proszę wezwać pułkownika Czempińskiego - powiedział do interkomu stojącego na biurku. Nawet go nie szukał - odruchowo zwrócił się w stronę, gdzie on zawsze stał. I rzeczywiście był tam nadal.

Ta sprawa była najpilniejsza. Świtoń już wystarczająco narozrabiał, rozgłaszając wszem i wobec, że prezydent znajduje się na liście agentów, sporządzonej przez ludzi Macierewicza. A teraz jeszcze ten. Szlag by to trafił!

- Pułkownik Czempiński już czeka - odezwał się interkom.

Sam poszedł otworzyć mu drzwi.

- Witam. Los sprawia, że znowu będziemy pracować razem.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł dwornie Czempiński.

- Wezwałem pana pułkownika, bo sprawa jest najwyższej wagi. Dla państwa, ale nie tylko. Dla nas też. Musimy wreszcie wiedzieć, jak jest naprawdę. Podkreślam - musimy. W przyszłości może być różnie, być może przyjdzie nam nawet, dla dobra służby, dla dobra kraju, zatajać prawdę. Ale znać ją musimy. Także po to, by lepiej ją ukryć, jeśli będzie taka potrzeba. Jak to Churchill kiedyś powiedział: Anglia nie ma wiecznych wrogów, ani wiecznych przyjaciół, wieczne są tylko interesy imperium... Otóż to - my też nie powinniśmy mieć ani wiecznych wrogów, ani wiecznych przyjaciół. Czy pan się ze mną zgadza, pułkowniku?

- Oczywiście. To jest również moja dewiza. Wywiad również nie ma ani wiecznych wrogów, ani wiecznych przyjaciół.

Milczanowski podszedł do małego stolika z alkoholem i naładował szklanki po odrobinie whisky. Tyle tylko, żeby można było uznać porozumienie za zawarte. Obaj znani byli z tego, że piją bardzo umiarkowanie, jeśli w ogóle. Milczanowski jest wszak buddystą-amatorem, a Czempiński lubi swoją sylwetkę, więc musi o nią dbać. Uprawia sport - gra w tenisa, pływa. Alkohol nie chodzi w parze z takimi zamiłowaniem.

Milczanowski spojrzał na Gromka jakoś tak spode łba, jakby dla podkreślenia wagi tego, co zaraz powie.

- Mamy sygnał od naszego człowieka w Wolnej Europie... - Zauważył, że przez twarz Czempińskiego przeleciał cień uśmiechu.

- Pan się chyba nie dziwi? Zresztą robimy to znacznie mniejszym kosztem niż wy wtedy; nie trzeba wysyłać agentów do Niemiec, Wolną Europę mamy na miejscu, w Warszawie.

- Przecież nic nie mówię, panie ministrze.

- Dobrze, dobrze. Znamy się. Wracajmy do rzeczy. Przedwczoraj, podczas bankietu organizowanego przez Wolną Europę, z jednym z redaktorów rozmawiał niejaki J. S. Jego pełne nazwisko, jak również nazwisko i niezbędne informacje o naszym redaktorze ma pan w tej kopercie. - Milczanowski podsunął ją w stronę swojego rozmówcy. - Powiem tylko, że J. S. to był funkcjonariusz SB, który w latach 70. pracował w Komendzie Wojewódzkiej MO w Gdańsku, w wydziale III. Potem został awansowany do Warszawy do departamentu III. Mieszka tu do dziś. Podczas bankietu J. S. chwalił się redaktorowi, że to on zwerbował „Bolka” i potem go prowadził; gdyby zechciał, mógłby napisać o tym sensacyjną wręcz książkę. Trzeba to, panie pułkowniku, sprawdzić i przy okazji sprawdzić wreszcie wszystko, co w sprawie „Bolka” może jeszcze wypłynąć. Jeśli coś jest na rzeczy, ma pan zapobiec nieszczęściu. Temu J. S. trzeba zaś przypomnieć jego miejsce w szeregu. Dobitnie.

Płk Czempiński od razu przystąpił do pracy. Już po kilkunastu dniach sporządził stosowną notatkę i ponownie zameldował się u Milczanowskiego. Był 17 czerwca 1992 roku. Minister uważnie zapoznał się z treścią przedłożonego mu dokumentu. Ich druga w tej sprawie rozmowa mogła przebiegać następująco...

- Słucham, panie pułkowniku.

Milczanowski skończył czytać i patrzył Czempińskiemu prosto w oczy.

- Jestem przekonany, panie ministrze, że prezydent Wałęsa miał w przeszłości z nami kontakt. Jego werbunek nie ulega wątpliwości.

Na twarzy Milczanowskiego pojawił się grymas zawodu.

- Myślałem, że to jednak nieprawda, że go w tego „Bolka” wrabiają.

- Bo wrabiają - wtrącił Czempiński.

- Nic nie rozumiem. To jak w końcu - był „Bolkiem” czy nie był?

- Był, ale dawno. Potem nie był, ale go wrabiali, że był dłużej niż był. Zwerbowano go zaraz po wydarzeniach grudniowych w Gdańsku. Wpadł w oko funkcjonariuszowi Henrykowi R., pracującemu w gdańskiej „trójce”. J. S. był podwładnym Henryka R. Po latach, żeby zaimponować dziennikarzowi, J. S. przywłaszczył sobie swoją zdobycz. Tym łatwiej, że Henryk R. nie mógłby już upomnieć się o swoje prawa, gdyż od roku nie żyje. To rozwiązało parę problemów.

Milczanowski spojrzał na Czempińskiego ze zdumieniem.

- Co to znaczy „rozwiązywało parę problemów”. Chyba nikt mu nie „pomógł”, do cholery. Jeszcze mi tego brakowało.

- Nie, nie - pośpieszył uspokajać Czempiński. - Pan mnie źle zrozumiał. Ale pamięta pan, jak w sejfie Naimskiego wspólnie z ministrem Kozłowskim znaleźli panowie pierwsze ślady, że Wałęsa to „Bolek”. Minister uznał wtedy te papiery za śmiecie, jakieś kserokopie z kserokopii. Mimo to wywiad dotarł wówczas do tego Henryka R. Już nie mieszkał w Gdań-

sku, tylko w Olsztynie. Był na emeryturze. Przeprowadzono z nim nawet rozmowę kontrolną. Muszę powiedzieć, że zachował się niewyraźnie. Niby zapewniał, że niczego nikomu nie powie, ale jednocześnie jakoś tak dwuznacznie zasugerował, że ktoś z rodziny jest bez pracy, to może byśmy coś znaleźli. Nie mieliśmy pewności, czy jak załatwimy jedno, nie zażąda drugiego. No, ale umarł. I w tym sensie problem mamy rozwiązany.

Wracając do jego podwładnego, do tego chwalipięty. Ustaliliśmy, że życie nie ułożyło mu się dobrze. Żona umarła, on zaczął pić. A jak pije, to konfabuluje. Postanowiliśmy z nim porozmawiać. Zadanie to dostał jego kolega z okresu, gdy wspólnie pracowali w departamencie III MSW. Zaaranżował przypadkowe spotkanie... no i do rozmowy doszło zgodnie z planem. J. S. był początkowo zaskoczony. Zapewnił, że niczego nikomu nie proponował, a już na pewno pisanie żadnej książki. *Pamiętam* - powtarzał kilkakrotnie - *że tajemnica obowiązuje mnie do śmierci. Ode mnie na pewno nikt niczego nie dowiedział się i nie dowie.* Myślę, że można mu wierzyć. Udowodniliśmy mu, że potrafimy swoich ludzi kontrolować nawet na emeryturze, że jesteśmy i czuwamy. J. S. zapewnił w swej lojalności wobec firmy. Moim zdaniem rozmowa spełniła założony cel. Dała nawet coś więcej - J. S. gwarantuje, że nie tylko z jego strony, ale i ze strony oryginalnych dokumentów, nie będzie nigdy kłopotów - wszystkie zostały zniszczone. I to też chyba jest prawda. Nie natrafiliśmy na nic. To oczywiście nie wyklucza, panie ministrze, że ich nie ma. Coś mogą mieć ci, którzy z Wałęsą prowadzili dialog. Pamięta pan, że odwiedzano go w Otwocku, potem w Arłamowie, że przedstawiano mu różnych kontrahentów. Nie można wykluczyć, że czymś go szachowali. Ale sytuacja się zmieniła - on już jest noblistą, pogromcą komunizmu, człowiekiem, którego zna cały świat. Teraz nie jest już tak łatwo zrobić z niego agenta, nawet jeśli kiedyś nim był. Jak pan wie oprócz „kwitów” musi być jeszcze odpowiedni nastrój, społeczna chęć uwierzenia, że człowiek tych zasług zasługiwał się również SB.

- Znów nic nie rozumiem. Przecież jeśli oryginały gdzieś są, to cóż prostszego dla wrogów Wałęsy, niż je opublikować, pokazać.

- No i to właśnie nie jest takie proste. Czy Polska wstrzymała oddech, gdy Świtoń powiedział, że prezydent był agentem SB? Kogo to tak naprawdę obeszło? - kilkudziesięciu polityków. Przecież społeczeństwo miało to gdzieś. Pies z kulawą nogą ani nie wystąpił w obronie czci prezydenta, ani nikt nie ruszył na Belweder. Im później, tym mniej to będzie ludzi interesowało, tym bardziej sprawa „Bolka” stanie się wyłącznie obiektem zainteresowań politycznych oszołomów. Już przecież taka opinia utarła się o rządzie Olszewskiego. Nie należy jej tylko tłumić. Przeciwnie.

- A jeśli ktoś ma te akta, powiedzmy - prywatnie? Będzie mógł szantażować głowę państwa.

- Może je mieć tylko ktoś z najwyższego kierownictwa MSW, a nawet państwa. Ale nawet jeśli tak jest, to ci ludzie są rozsądni i przewidywalni. Jeśli coś mają, to jako swoje zabezpieczenie. Wałęsa nigdy nie zrobi im krzywdy, bo nigdy nie będzie wiedział, co go w zamian może spotkać. To jest tak jak z bronią atomową - strony wzajemnie odstraszą się i równowaga jest zachowana. Gwarantuję, że generałowie, nawet jeśli coś mają, to tego nie użyją. Stara szkoła - as bierze raz.

- Czyli możemy spać spokojnie?

- Bardzo spokojnie. Co więcej - myślę, że w tej sytuacji jest szansa na wybronię prezydenta z tarapatów całkiem bez strat. Ludziom myślą się dwie epoki w jego życiu: Wałęsy - robotnika z lat 70. i Wałęsy - związkowca z lat 80.

W tym drugim okresie Wałęsa poczuł siłę. Podchodziliśmy do niego, ale bezskutecznie. On już nie chciał z nami gadać. Wtedy powstał plan żeby, korzystając z istniejących wówczas oryginalnych dokumentów „Bolka”, wytworzyć w naszej komórce trochę nowszych, z późniejszą datą niż lata 70., czyli żeby przedłużyć „Bolkowi” życie o jakieś dziesięć lat. To dało się zrobić, fachowców zawsze mieliśmy niezłych. Ja nie miałem z tym bezpośredniego

kontakty, ale nawet przebywając za granicą natykałem się na takie plany. Gdy dostawałem polecenie, żebym sprawdził, czy wskazana osoba ma konto w banku i to polecenie powtarzało się, to mogłem postawić sobie pytanie, czy chodzi rzeczywiście o sprawdzenie konta, czy o dokumentację, że jakieś konto było pod kontrolą. Jeśli o to drugie, to być może przykładałem rękę do preparowania zarzutów przeciwko komuś, kogo nawet nie znam i w niewiadomym mi celu. Na szczęście były różne sposoby, żeby bezkarnie odmawiać wykonywania takich zleceń.

Reasumując - panie ministrze: Wałęsa bez wątpienia kontakty z nami utrzymywał. Ale śmiało możemy mówić, że agentem nie był. Nie ma żadnych dowodów. Te co są, to kopie. Jeśli nawet znalazłyby się jakieś oryginały, to przecież zawsze będzie można powiedzieć, że zostały przez SB sfałszowane w celu oczernienia przywódcy „Solidarności”. Nikt nie udowodni, że tak nie było. Ta wersja ma jeszcze jeden niezaprzeczalny walor - jest do przyjęcia dla wszystkich. Ten kto ma prezydenta za „Bolka”, upewni się w swoim przekonaniu. Prezydent powie, przecież ja nigdy się nie wypierałem kontaktów z SB: przesłuchiwali mnie, prześladowali - to były moje kontakty. Podpisywałem, co musiałem: zgodę na zachowanie tych przesłuchań w tajemnicy. Niczego więcej. Jeśli mój podpis jest na czymś innym, to jest podrobiony...

Ludzie SB też nie zaprotestują - wolą święty spokój. Ale jeden warunek - muszą go mieć. Jeśli prezydent złamie tą niepisaną umowę, mogą być nieobliczalni. A to nie są chetki pętelki.

Jeszcze przez długą chwilę po tym wywodzie w gabinecie panowała głęboka cisza. Obaj mężczyźni ważyli sprawę dla państwa pierwszorzędne. Czempiński na dodatek stawiał na szalę całą swoją przyszłość - albo Milczanowski uwierzy mu bez zastrzeżeń i potraktuje to wyjaśnienie jako wyraz lojalności i zgłoszenie się do drużyny, albo uzna, że poprzez Czempińskiego mówią generałowie PRL. A wtedy jego sytuacja byłaby diametralnie różna. Parlamentariusz zawsze jest bowiem wysłannikiem przeciwnego obozu. Po wypełnieniu posłania, zaopatrzonego w odpowiedź, wraca do swoich.

- Kto będzie o tym wiedział?

- Tylko my dwaj i ci, których pan uzna za stosowne poinformować.

- A pański bezpośredni przełożony, prof. Konieczny?

- To zależy od pana. Na mojej notatce jest co prawda adnotacja, że przedkładam mu ją do wiadomości, ale sam pan rozumie, że muszę. Natomiast nasza rozmowa, jak pan zauważył, różni się trochę od tego, co tam jest napisane i, to oczywiste, nie ma na niej żadnej adnotacji.

Minister dłuższą chwilę wpatrywał się w pułkownika. Po czym wstał, podszedł do niego i z wyciągniętą ręką powiedział - dziękuję. Mocno uścisnęli sobie dłonie.

* * *

Po ośmiu latach od tamtej rozmowy, w sierpniu 2000 roku, przy wypełnionej po brzegi sali sądu lustracyjnego, sędzia Rysiński ogłosił, że Lech Wałęsa napisał w swoim oświadczeniu lustracyjnym prawdę. Jako świadek zeznawał na tej rozprawie gen. Gromosław Czempiński. Koronnym argumentem na rzecz Wałęsy „nie-Bolka” była anonimowa notatka jakiegoś esbeka, który ze szczegółami opisał, jak preparowano dokumenty przeciwko Bogu ducha winnemu człowiekowi, „nie-Bolkowi”. Jest kuriozalna. Biorąc pod uwagę liczbę zawartych w niej kiksów, można nawet powiedzieć, że jest bezczelna - za nic ma prawdziwość esbeckich imponderabiliów. Nawet się na to nie silili. Tak może pracować tylko ktoś absolutnie pewny swego, ktoś kto wie, że potrzebny jest jedynie poważny pretekst, a nie poważny dowód.

Po pierwsze - dlaczego Sąd Lustracyjny nie podał personaliów autora? To przecież historyczny dokument, który przesądził o losie żywej legendy „Solidarności”. Dzięki niemu Wałęsa nie jest „Bolkim”.

Po drugie - notatka nie jest do nikogo adresowana. Jeśli rzeczywiście powstała w 1985

roku, to nie było możliwe. Musiał być adresat.

Po trzecie - notatka nie jest pisana stylem właściwym dla tamtych lat i tamtych stosunków. Styl notatek służbowych był konkretny, zwięzły („melduję, że...”), a nie opisowo-donosicielski, w jakim został sporządzony, odczytany w sądzie „dokument”.

Po czwarte - data powstania notatki jest kuriozalna: 9 maja 1985 r. - okrągła, czterdziesta rocznica zakończenia wojny i zwycięstwa nad faszyzmem. Dzień świąteczny, czwartek, początek przedłużonego weekendu. Ludzie (zawłaszcza milicjanci i wojskowi) bawili się, pili wódkę, wyjeżdżali z rodzinami na działki, a tymczasem jakiś nieznany funkcjonariusz MSW, ślęczał sam w biurze i pracowicie smarował notatkę, w której ujawniał niecne plany własnej instytucji wymierzone w Lecha Wałęsę. To jest po prostu nieprawdopodobne, to nie zgadza się z elementarną wiedzą o powszechnych zwyczajach tamtych lat.

Po piąte - gdyby autor notatki rzeczywiście postępował tak jak się sugeruje, musiałby być samobójcą. Jego praca stanowi bowiem oskarżenie kierownictwa całego pionu Służby Bezpieczeństwa o fałszowanie dokumentów. Do kogo było ono adresowane? - ponieważ donos sięga aż po wiceministra Władysława C., „na logikę” powinien więc być adresowany do, jak mówi Wałęsa, „najważniejszych generałów w PRL”. Żaden z nich takiego pisma nigdy nie otrzymał. Czyli autor notatki, oskarżywszy swoich przełożonych o fabrykowanie nieprawdziwych dowodów, złożył to swoje dzieło w archiwum MSW, gdzie ono spokojnie sobie przeleżało aż do pierwszych dni sierpnia 2000 roku, żeby go UOP mógł odnaleźć, dostarczyć do sądu i w ostatniej chwili przechylić szalę na korzyść swojego byłego zwierzchnika.

Można pęknać ze śmiechu!

Jednak sędzia Rysiński, odczytując ten cudownie odnaleziony dowód niewinności Wałęsy, stwarzał wrażenie śmiertelnie poważnego. Nie tylko nie zwracał uwagi na wyliczone tu szczegóły, ale też słabo interesowały go fakty.

Po pierwsze - autor notatki, w odróżnieniu do sędziego Rysińskiego, twierdzi, że Wałęsa był współpracownikiem SB! Oto stosowny fragment: *Pierwszy etap działań polegał na „przedłużeniu działalności” tajnego współpracownika „Bolek”, to jest Lecha Wałęsy* (podkr. - MB), *o minimum dziesięć lat*. Chodziło więc o stworzenie pozorów, że „Bolek” - „to jest Lech Wałęsa” - donosił do SB dłużej niż rzeczywiście to robił.

Po drugie - autor notatki twierdzi, że Biuro Studiów Służby Bezpieczeństwa powstało w celu fabrykowania dowodów przeciwko przywódcy „Solidarności”. Tymczasem powstało ono dla, jakbyśmy dziś powiedzieli - monitorowania wszystkich nielegalnych organizacji o zasięgu ogólnokrajowym, które były finansowane i wyposażane w sprzęt przez Amerykanów i Niemców Zachodnich. Celowość tej, w ówczesnym rozumieniu, akcji obronnej potwierdziła po latach publikacja Petera Schweitzera „Victory” i oświadczenie Helmuta Kohla przyznające, że niemiecki wywiad finansował „Solidarność”. Ale nawet jeśli przyjąć, że rację ma autor notatki i rzeczywiście fabrykowano tam dowody współpracy Wałęsy z bezpieką, to warto zapytać o choćby jeden przykład użycia przez komuchów tych „fałszywek”. To przecież przyjaciele Wałęsy wytoczyli wszystkie oskarżenia wobec swego przywódcy, pierwsi umieścili go na liście agentów SB. To ludzie „Solidarności” przez dziesięć lat bobrowali w archiwach MSW poszukując dowodów przeciwko niemu. Nie „komuchy”.

Po trzecie - jeśli rzeczywiście nie ma żadnego oryginalnego dokumentu świadczącego o współpracy Wałęsy z bezpieką, tylko same, nie zasługujące na wiarę kserokopie, to należało skorzystać z możliwości, którą podpowiada anonimowy autor notatki z 1985 r. Pisze on: *Powstał mianowicie plan sporządzenia odpowiedniego pisma do członków jury Nagrody Nobla. Do listu postanowiono dołączyć doniesienie tajnego współpracownika „Bolek” wraz z pokwitowaniem odbioru kilkuset złotych (ksero). Listy do członków jury przekazane zostały do miejsc ich zamieszkania przez Departament I MSW. Ambasadorowi Norwegii doręczono natomiast list z oryginalnym doniesieniem* (podkr. - MB) *z prośbą o wykonanie ekspertyzy*

pisma. O sposobie jej odbioru ambasador miał zostać poinformowany odrębnym listem.

Skoro więc prawdą jest, że Ambasadorowi Norwegii dostarczono jakieś pisane przez Wałęsę oryginały i nigdy ich nie odebrano, to one muszą tam być! Wystarczy zwrócić się do Norwegii z prośbą o pomoc w ich odnalezieniu. Sam Wałęsa mógłby to zrobić, skoro tak bardzo pragnie wyświecić wszystkie tajemnice „Bolka”. Co to dla niego zadzwonić do króla. Choćby i Norwegii.

Po czwarte - zadziwiające dlaczego sąd tak łatwo dał wiarę notatce, której autor jako główne źródło wiedzy o wymierzonych w Wałęsę planach безпеки podaje Eligiusza Naszkowskiego. Naszkowski, lider „Solidarności” regionu pilskiego, członek Komisji Krajowej, sam był przecież agentem SB, który oddał tej firmie wielkie przysługi. To on nagrał słynną naradę w Radomiu, co praktycznie przesądziło o konieczności zastosowania radykalnych środków neutralizowania „Solidarności”. Za tę wielką dla SB zasługę z agenta zrobiono go kadrowym pracownikiem, żeby w przyszłości on i jego rodzina w pełni mogli korzystać z socjalnych uprawnień przysługujących funkcjonariuszom milicji i SB. Gdy Naszkowski poczuł się zagrożony przez „Solidarność” i błagał, żeby go wysłać z kraju, załatwiono mu pracę na placówce w Mongolii. Wtedy „urwał się” swoim protektorom z MSW i po jakimś czasie odnalazł się na Zachodzie. W początkach lat 90. udzielił wywiadu „Tygodnikowi Pilekiemu”, w którym przyznał się do współpracy z Amerykanami!

Słowem, jak na jeden tak ważny dokument, o wiele za dużo tych niejasności i podejrzeń. Sędzia Rysiński słabo próbował je wyjaśniać. Co więcej - z uwagą wysłuchiwał świadka Czempińskiego, sympatyka Wałęsy, ale wniosek o powołanie na świadka Adama Hodysza, oficera SB, który za pomaganie „Solidarności” siedział w więzieniu, odrzucił. Hodysz był tym oficerem, który przewoził teczkę „Bolka” z Gdańska do Warszawy i prawdopodobnie jako ostatni widział pełną i oryginalną dokumentację pracy tego agenta, czyli - według autora notatki z 1985 r. - Lecha Wałęsy. Dlaczego sędzia uznał, że świadek Hodysz nie wniesie do sprawy niczego znaczącego? Zadziwiające.

Niemniej sędzia Paweł Rysiński z wielkim samozaparciem budował wrażenie, że w sprawie Wałęsy, w drodze drobiazgowej procedury sądowej, wszystko wyjaśniono ostatecznie i raz na zawsze.

I dobrze. I niech tak zostanie. Tylko Anna Walentynowicz przyjęła wiadomość, że Wałęsa nie jest „Bolkiem” z niezmienną pewnością siebie:

To taka sama prawda jak to, że skakał przez płot, by podczas strajku w 1980 roku dostać się do stoczni. Niestety do tej pory nie wskazał miejsca, w którym skakał.

(„Nasz Dziennik” - 16 sierpnia b.r.)

Ale, ale. Jeśli chodzi o ten płot. Gdyby komuś chciało się w lecie jechać na Hel, to między portem rybackim a wojennym, na skrawku plaży znajdzie szkołę płetwonurków Pawła G. Fajny facet. Były oficer BOR, były policjant, były marynarz ORP „Warszawa”. Na okręcie służył w drużynie, która była przeznaczona do zajmowania obcych okrętów na morzu. Do takiej drużyny dobierano samych zakapiorów.

W lecie 1980 Paweł był nadterminowym. Pamięta, że szykowali ich do akcji na wypadek, gdyby strajkujący chcieli zablokować porty. Mieli do tego nie dopuścić. Ale pewnego dnia, mimo że nikt na porty zamachu żadnego nie czynił, ani nie miał takiego zamiaru, poderwali ich alarmem. Okazało się, że obstawiali rejon Westerplatte. Paweł pamięta chmurę wojska i cywili. Nie wiedział po co to wszystko, ale chłopaki mówili między sobą, że Marynarka Wojenna kogoś ważnego przetrzuca do stoczni. Po latach przy jakimś piwie spotkał faceta, który pamiętał tę akcję.

- To ja wiozłem tego gościa - powiedział, gdy Paweł skończył swoje opowiadanie o obstawianiu stoczni od strony Westerplatte. - Motorówką MW-1. Pamiętasz chłopie, naczał-

stwo takie miało. MW-1 była dowódcy MarWoju. Kto miał dwójkę nie pamiętam. Chyba szef sztabu. A MW-3 zawsze czekała na Kiszczaka. Ale mój klient nazywał się Wałęsa. Ten sam.

Opowieść tę usłyszałem w lecie 2000 roku, gdy sąd lustracyjny już się zastanawiał „Bolek”, nie-„Bolek”. Dotarłem do marynarza z MW-1. Dalej jest marynarzem i pracuje na morzu. Człowiek chciał ze mną pogadać, ale nie mógł. Gdy po wielkich kłopotach ustaliłem jego telefon i dodzwoniłem się, właśnie wyjeżdżał z żoną do teściowej. Była sobota - wracał w niedzielę i zaraz wychodził na pięć dni w morze.

- Niech pan zadzwoni w następny piątek wieczorem. Będę w domu, umówimy się.

Jednak przed piątkiem cała prasa przez kilka dni wylewała łzy nad losem solidarnościowego prezydenta, nad niegodziwością zapisów ustawy lustracyjnej i nad podłością jej wykonawców. Gdy zadzwoniłem, pan Konrad P. powiedział:

— Nic z tego nie będzie. Wie pan - co będę go kopał. On już nic nie znaczy. Poza tym, co tu gadać - boję się. Mam pracę, rodzinę..., to dziś łatwo stracić.

Niech więc zostanie, jak jest. Niech mu będzie, że skakał przez płot.

ALEK

Wieczór wyborczy zapowiadał się wspaniale. U Wałęsów byli już najbliżsi współpracownicy. Wszyscy, którzy przetrzymali gabinetowe wojny: Milczanowski, Jasik, Wilecki. Wachowskiego nie było, gdyż on, choć najwierniejszy, od parunastu tygodni był za burtą.

Kuchnia pałacowa tego wieczoru przeszła samą siebie. Stoły wypełnione były tak jak Wałęsa lubił - galantnie i kolorowo. Z półmisków śmiały się do gości wykwintnie przybrane szynki, skryte w zieleni sałat paszteciki, cudacznie ustrojone łososie i śledziki - istne cacka garmazeryjnego rzemiosła. Goście śmiali się, żartowali, momentami przekomarzali. Mimo to gdzieś w kątach, pod ścianami, koło kominka, między lichtarzami i po twarzach zebranych, przymykała się skulona, wystraszona niepewność. Za oknem, w świetle latami pobłyskiwała Wisła, za nią, dalej, przytłumionymi światłami migotała Praga. Tam, w mroku, krył się los prezydenta. Jak głosowali?

Ale pytanie wieczoru nie brzmiało czy wygrał, tylko jak wysoko? Wiceminister spraw wewnętrznych Jasik przyjmował zakłady, Wilecki co chwilę gładził pierś z baretkami, Milczanowski uśmiechał się pewny swego. Przecież zrobili wszystko, co tylko można było. Cała jawna i niejawna struktura służb specjalnych od wielu miesięcy pracowała dla jednego celu - na rzecz reelekcji Wałęsy. Odbyto setki spotkań w delegaturach, indoktrynowano zwłaszcza środowiska wojskowe i policyjne, przekonując, że nikt tak o policjantów i wojskowych nie zadba, jak Wałęsa. Również prasa pracowała na najwyższych obrotach: „Polisa”, „magister”, „moskiewskie pieniądze” - nie schodziły z łamów, nie przestawały być tematem dzienników radiowych i telewizyjnych. To musi dać efekt. Wałęsa ma wygraną w kieszeni...

Gdy prowadzący studio wyborcze ogłaszał wstępne wyniki, na zebranych, na porcelanę z niedojedzonymi kanapkami, na cały pałac, spadła martwa, przerażona cisza. Dopiero po chwili ktoś zauważył, że biały jak papier Wałęsa osunął się na podłogę. Wezwano lekarza dyżurnego. Po chwili doprowadził go do przytomności. Okazało się, że prezydent zemdlął pod wpływem emocji. Kolejne informacje płynące z ekranu nie pozostawiały wątpliwości - Wałęsa przegrał. Nieznacznie, ale jednak. Wilecki płakał, Milczanowski nie wyjmował papierosa z ust.

Omdlenie, szok, poczucie zawodu i klęski, stopniowo ustępować zaczęło w pierw złości, potem wściekłości, a na końcu żądy krwi.

- Co pan na niego ma? - przez zaciśnięte zęby zwrócił się do Milczanowskiego.

To było bardzo dla niego charakterystyczne - na każdego musi być jakiś hak. Nie wyobrażał sobie, żeby nie. Na hakach opierał całą swoją politykę personalną. Kiedyś przy kolacji jego kapelan - Cebula, szepnął, iż Episkopatowi bardzo nie podoba się prezydencki projekt Konstytucji, bo w preambule nie ma inwokacji do Boga.

- To co, Falandysz nie wie, jak powinna wyglądać moja Konstytucja? Masz go pogonić - warknął do Wachowskiego.

Mietek próbował ratować sytuację, ale na niewiele się to zdało. Wziął więc na odwlekane. Wałęsa jednak nie zapomniał. Diabli wiedzą dlaczego on się tego Glempa tak bardzo bał. Nie dłużej niż po tygodniu wrócił do sprawy:

- No i co z Falandyszem? Co na niego masz?

- Szefie, daj spokój, przecież on ci dobrze służy, bierze na siebie wszystko.

- Bez gadania. Masz go spławić.

Nie było rady - Falandysz odszedł, bo użyczał żonie służbowego samochodu. Słynny prezydencki prawnik poległ od kleszego donosu.

- Co pan na niego ma? - powtórzył z trudem dławiąc ogarniające go szaleństwo.

Milczanowski przez chwilę nie odzywał się, jakby szukając czegoś w pamięci.

- Możemy uruchomić sprawę Oleksego. To co prawda nie dotyczy bezpośrednio Kwaśniewskiego, ale dotyczy ich premiera, co daje nadzieję na pożądany rozwój sytuacji na przyszłość.

- Robimy to. Ja im pokażę wygrywać z Wałęsą. Oni jeszcze Wałęsy nie znają. Szykuj pan to.

Może było trochę inaczej, ale przecież jakoś musieli porozumieć się, żeby uruchomić największą prowokację, jaką bezpieka zmontowała od czasów afery Bergu - „sprawę Olina”.

Nieocenioną pomoc w tym dziele okazała tajnej policji prasa. Zapalczywy udział dziennikarzy w niszczeniu premiera Oleksego był zaiste zastanawiający.

Rej wodził poznański tygodnik „Wprost” redagowany przez Marka Króla - ulubieńca Służby Bezpieczeństwa byłego sekretarza KC PZPR, potem ulubieńca UOP. Zresztą to dzięki „Wprost”, który popełnił grubą nieostrożność, neglizującą związki bezpieki z prasą, można o tym tak bezceremonialnie mówić.

Na pierwszy rzut oka tygodnik oszałamiał wiedzą. Przede wszystkim bankową - był doskonale zorientowany, gdzie nieboszczka PZPR, a potem SdRP, trzymały forszę. Dziennikarze znali numery kont we Francji, Szwajcarii, USA i rodzimym PKO.

Nie jest możliwe by tego typu informacje, chronione przecież tajemnicami bankowymi, mogli zdobyć bez niczyjej pomocy.

W rzeczywistości rozległa wiedza „Wprost” o rachunkach SdRP została prawdopodobnie zaczerpnięta z notatki, którą funkcjonariusz UOP sporządził po sprawdzeniu przez tajną policję polityczną finansów Socjaldemokracji. UOP dokonał tego sprawdzenia na prośbę... Józefa Oleksego. Kierownictwo SdRP podejrzewało bowiem, że partia została okradzona przez kogoś, kto miał dostęp do partyjnej kasy. Straty mniej więcej oszacowano, ale nie znany był mechanizm przestępstwa ani osoba, która go dokonała. Józef Oleksy był wtedy członkiem politycznego komitetu doradczego przy MSW. Powiedział więc któremuś z szefów UOP o tych kłopotach i (co za naiwność!) poprosił o pomoc. UOP oczywiście skorzystał z okazji, która sama pchała się w ręce. Lekkomyślna lewica otworzyła przed bezpieczeńką wszystkie swoje szafy, a jednemu z oficerów dała nawet zgodę na wejrzenie w konta bankowe. On potem wszystko opisał w formie notatki. Urząd Ochrony Państwa wyjaśnił, co chciał wyjaśnić, uzyskał odpowiedzi na wszystkie zadane pytania. Uznał, że finanse SdRP, a wcześniej PZPR, prowadzone były zgodnie z przepisami.

Otóż powstała w opisanych wyżej okolicznościach wewnętrzna notatka Urzędu Ochrony Państwa zawierająca te same informacje o kontach, które potem zamieszczone zostały w

publikacjach „Wprost”. W obu tekstach wymienione jest też np. nazwisko „Leszek Ożeg” - człowieka, któremu wypłacono pewną część pieniędzy. Onże „Ożeg” w rzeczywistości nazywał się inaczej. Sporządzający notatkę funkcjonariusz Urzędu Ochrony Państwa pomylił się. Jego błąd powtórzono w tygodniku. To dowód, że źródłem publikacji była tajna policja polityczna.

Na sojusz pióra z bezpieczeństwem zwrócił uwagę Zbigniew Siemiątkowski, gdy obejmował stanowisko ministra-koordynatora do spraw służb specjalnych w rządzie PSL-SLD. Publicznie wyraził wówczas zaskoczenie rozległością kontaktów służb specjalnych w środowisku dziennikarskim. Nigdy potem Siemiątkowski do tego tematu nie wrócił. Albo zreflektował się, że nie ma sensu narażać na szwank interesów i wpływów tajnej policji, albo ktoś go o tym przekonał.

Drugim po Marku Królu młotem na komuchów, był Tomasz Wołek i kierowane przez niego „Życie Warszawy”. Jeśli coś miało „czerwonego” ugodzić, jeśli jakaś „tajemnica” miała być publicznie obnażona, to można było być pewnym, że najpierw stanie się to właśnie u Wołka.

Po przegranych przez Wałęsę wyborach prezydenckich w roku 1995, włoski właściciel „Życia Warszawy” rozstał się z Wołkiem. Mówiono wtedy powszechnie, że za to, iż Wołek opowiadając się bezkrytycznie po stronie Wałęsy i jego generałów, wpełchnął „Życie Warszawy” w kompromitującą wojnę z nowym prezydentem i naraził na szwank niezależny wizerunek gazety. Ale Wołek spadł na cztery łapy - wkrótce uruchomił nowy dziennik: „Życie”. Na jego łamach przeprowadzono z kolei bezprecedensowy atak na prezydenta Kwaśniewskiego, oskarżając go o zatajenie przed opinią publiczną znajomości z rosyjskim szpiegiem Ałganowem i o niejasne z nim kontakty. Chodziło o tego samego Ałganowa, przez którego wcześniej złamano karierę Oleksemu.

23 sierpnia 1997 roku, na kilka tygodni przed wyborami do Sejmu, wielkimi literami, na pierwszej stronie „Życie” napisało: *w pierwszej połowie sierpnia 1994 r., obecny prezydent RP Aleksander Kwaśniewski oraz Władimir Ałganow, agent rosyjskiego wywiadu, spędzali wakacje w pensjonacie „Rybitwa”, położonym na terenie Centralnego Ośrodka Sportu we Władysławowie-Cetniewie. „Życie” dotarło do ludzi, którzy opowiadają o spotkaniach Kwaśniewskiego i Ałganowa.* Ten wstęp do artykułu poprzedził ogromny tytuł: „Wakacje z agentem”. Tak jak oskarżenie przeciwko Oleksemu zbudowano na jednej anonimowej notatce, pisanej po rosyjsku i źle przetłumaczonej na polski, oraz na pijackim bełkocie Zacharskiego, Ałganowa i Jakimiszyna, tak oskarżenie przeciw Kwaśniewskiemu zbudowane zostało przez „Życie” na rachunkach za cetniewski pensjonat „Rybitwa”, na kalendarzu, z którego miało wynikać, że Kwaśniewski i Ałganow przebywali w tym samym miejscu w tym samym czasie, oraz na zeznaniach świadków, którzy podczas procesu okazali się albo całkowicie niewiarygodni, albo w ogóle zaprzeczali temu, co rzekomo powiedzieli reporterom „Życia”.

Jednym z nich był stosunkowo młody człowiek, który w ciągu zaledwie paru lat zrobił oszałamiającą karierę. Zaczynał jako reporter lokalnej gazety. Na wody ogólnopolskie wypłynął przy okazji sprawy, znanego w Polsce właściciela pierwszego komercyjnego banku. Bankier ów miał przedziwne kontakty zarówno tu jak i w Wiedniu, skąd przyjechał. Konkretnie - był znajomym paru Polaków, którzy razem z nim rozpoczynali karierę biznesmenów na wiedeńskim Mexico Platz, handlując walutą, zegarkami z Hong Kongu i czym się dało. Tak się składa, że z biegiem lat ci Polacy okazali się współpracownikami polskich służb specjalnych.

Młody reporter publikujący demaskatorskie artykuły o bankowych interesach widywany był w siedzibie delegatury UOP. Świadkowie ironizują, że pewnie szukał tam natchnienia. Wkrótce przeniósł się do Warszawy i zaczął brylować w telewizji Walendziaka, w codziennym programie publicystycznym. Program ten ściśle współgrał z „Życiem Warszawy”, reda-

gowanym wówczas przez Wołka i z „Wiadomościami” telewizyjnymi. Maszynka działała bezbłędnie: ukazujące się rano „Życie Warszawy” ogłaszało jakąś rewelację, powiedzmy: Oleksowa ma akcje „Polisy”. W „Wiadomościach” o 19.30 ogłaszano, że „Polisa” jest przykładem uwłaszczania się dawnej nomenklatury partyjnej, a w wieczornym programie publicystycznym nasz młody przyjaciel mówił już o czerwonej pajęczynie wzajemnych układów i powiązań między dawnymi działaczami PZPR, groźnie oplatającej młodą polską demokrację.

I tak to szło dzień po dniu.

Ostatecznie ten dziennikarski talent zagnieździł się u Wołka, gdzie zaślął z „Wakacji z agentem”. Wołek pozbył się go dopiero, gdy za te „Wakacje” przegrał w sądzie z prezydentem.

Po sądowej kompromitacji Wołka, służby specjalne nie zarzuciły bynajmniej prób zakulisowego zwalczania prezydenta. Kreśliły nowe plany w tym względzie.

* * *

Krystyn Śmigiel był funkcjonariuszem wywiadu. Jednym z tych, którzy mieli silny związek z opisaną już firmą „Inter Management”. Oficjalnie występował jako biznesmen działający na terenie Rosji. Interesy prowadził różne - głównie handlował towarami sprowadzonymi z Polski. Nie tyle jednak ważne było to czym handlował, lecz gdzie. W Kaliningradzie mianowicie. W mieście, które jest bazą Floty Bałtyckiej, i w którym stacjonuje bardzo silne ugrupowanie rosyjskiej armii lądowej. Ze sztabowego punktu widzenia rejon Kaliningradu z jego wojskami i okrętami wisi nad północną granicą Polski, jak niegdyś Prusy Wschodnie. Jest oczywiste nawet dla kogoś, kto nie interesuje się tym na co dzień, że musi on być pod stałą obserwacją polskich służb specjalnych. Praca „biznesmena” Krystyna na tym właśnie polegała - na obserwowaniu.

Ale i jego obserwowano. Rosyjski kontrwywiad zdaje sobie rzecz jasna sprawę, że rejon Kaliningradu jest penetrowany przez obce służby. Dlatego każdy cudzoziemiec, żeby był nie wiadomo kim, jest prześwietlany pod tym kątem właśnie. Często zdarza się więc tak, że agenci - ten który przyjechał węszyć i ten, który ma mu w tym przeszkodzić - rozpoznają się nawzajem, wiedzą o sobie, a z czasem stają się nawet kolegami. Spotykają się, piją wódkę, handlują czym się da. To specyfika takich rejonów jak Kaliningrad. Gdy już się powąchają, to się tolerują. Dopóki „przyjezdny” nie złamie niepisanej umowy o „wzajemnej równowadze sił”, to „miejscowy” pozwala mu handlować i meldować. Coś mu nawet od czasu do czasu powie, w zamian sam coś usłyszy. On ma „sukces”, przyjezdny też ma czym pochwalić się przed przełożonymi. Szyfrówki krążą, premie lecą, a życie toczy się swoją koleją. Tak właśnie pracował Krystyn Śmigiel.

Jednak razu pewnego ta sielanka uległa silnemu zakłóceniu. W spokojne życie Krystyna wkradła się nerwowość. Centrala zażądała, żeby za wszelką cenę wystawił jakiegoś Rosjanina powiązanego z rosyjskimi służbami specjalnymi, który gotów byłby zeznać, że utrzymywał kontakty z Aleksandrem Kwaśniewskim.

Pieniądze nie grają roli, powiedzieli mu.

To jednak nie było takie proste. Zwłaszcza dla szpiega zastałego, z lenistwa grubo porośniętego tłuszczem. Krystyn jako żywo w niczym nie przypominał Jamesa Bonda - nie zakradał się na rosyjskie okręty, ani do ich sztabów, nikomu nie grzebał w komputerach. Robił geszefty i tyle. Tymczasem centrala jakby się szaleju napiła - ma być Ruski i to już. W końcu, z braku Ruskiego, wzięli w obroty Krystyna.

- Siedzisz tu już parę lat, kumpli masz różnych, to może nie ty ich, ale oni ciebie przekręcili na swoją stronę, co koteczku?

Zrobili mu rewizję - jedną, drugą. To naprawdę nie były żarty. Zaczęli podliczać jego interesiki - ile wziął, ile oddał, ile zarobił. Nagle przestali być kolegami, jakby nie z nimi się dzielił, jakby ich nigdy nie łączyło.

- Co jest, kurcze? O co wam chodzi?

- Pomyśl dobrze, gołąbku, rusz głową. Skoro nie możesz znaleźć Ruskiego, to może ty coś sobie przypomnisz. A jak nie pamiętasz, to ułóż sobie historyjkę, żeby miała początek, środek i koniec. I żeby Kwach grał w niej jakąś rolę. Niepoślednią. Mieszkasz tu już parę lat, różne rzeczy widziałeś, o różnych słyszałeś. Przecież mogło tak być, że któryś z twoich rosyjskich kumpli pochwalił ci się, że zna naszego prezydenciunia. Ty tylko to powtórzysz. Nawet powinieneś. Jako obywatel wstrząśnięty taką wiadomością, wręcz porażony świadomością, że twój prezydent ma takich kolegów. To wszystko. Pomyśl.

- Ile mam czasu?

- Niewiele. Może słyszałeś, że prezydenciunio planuje tu spotkanie z ich premierem. Będą poprawiać nadszarpnięte stosunki między naszymi krajami. Czyż nie byłoby pięknie, gdyby się okazało, że stosunki między naszymi krajami może i są nie najlepsze, ale stosunki między naszym prezydentem a jego rosyjskimi kolegami są całkiem zadawalające.

Krystyn Śmigiel nie wywiązał się z tego zadania. Całkiem się do tego nie nadawał. No to wyrzucili go z roboty na zbity pysk. Zażądali również zwrotu gotówki, którą otrzymał bynajmniej nie na rozkurz, jak się teraz okazało.

Pierwszym pragnieniem Krystyna była zemsta. W mściwym odruchu opowiedział o całej sprawie komuś spoza swojego środowiska, dziennikarzowi. Ale i w tym wypadku mu nie wyszło. On nie chciał wystąpić oficjalnie, chciał się zemścić, ale żeby nikt nie wiedział, że to jego robota. To dziennikarza nie urządało. Nie chciał wypuścić takiej gratki z rąk, ale potrzebował oficjalnego świadectwa. Podszedł więc asa - nagrał swoją z nim rozmowę, a potem rzecz całą opublikował. Prokuratura podjęła śledztwo, lecz po paru tygodniach umorzyła je z braku dowodów. Znaczy to tyle, że podstawy do podejrzeń były, tylko w obecnym stanie rzeczy - niewystarczające.

Czy kiedyś ta tajemnica zostanie wyjaśniona? Czas pokaże. Zakładając jednak, że było coś na rzeczy, to UOP jak niepyszny musiał odstąpić od planu, który został opisany w prasie. Nie ma nic gorszego dla tajnych służb, gdy o ich tajnych planach ludzie czytają przy porannej kawie.

Na dodatek sąd wydał wyrok w sprawie Kwaśniewski - „Życie”: Wołek przegrał. Koncepcja operacyjna nacelowania na „związki Kwaśniewskiego z rosyjskimi służbami specjalnymi” wzięła więc w łeb na całej linii.

* * *

Czas gonił. Kolejne wybory prezydenckie były za pasem i Kwaśniewski brylował we wszystkich przedwyborczych rankingach. Wszędzie towarzyszyły mu tłumy, pozdrowienia, serdeczność. Gołym okiem było widać, że w czystej walce jego konkurenci nie mają szans. Sięgnięto więc po plan awaryjny, przygotowany potajemnie od roku.

- Proszę tu podejść, panie prezydencie.

Podniósł się z miejsca za stołem dla podsądnych i w towarzystwie adwokata podszedł do sędziowskiego stołu.

- Proszę spojrzeć: numer przy pańskim nazwisku w dzienniku rejestrowym jest taki sam jak numer umieszczony na aktach agenta „Alka” uplasowanego w redakcji „Życia Warszawy”. Jak pan to wyjaśni?

- Nie wiem, jak to wyjaśnić. Nie mam pojęcia dlaczego tak jest. Ja wiem jedno - w życiu nie pracowałem w „Życiu”.

Cios był dobrze obmyślany. Wiadomo, że prezydent zaatakowany brutalnie i zniecka peszy się, traci rezon, zaczyna się tłumaczyć, zdarza mu się wtedy powiedzieć coś, co da się potem pociągnąć w gazetach, rozciapirzyć, jak włos na czworo. Udało im się.

Prezydent był wyraźnie zaskoczony, nie spodziewał się, że jego proces lustracyjny może być tak dramatyczny, że w ogóle można postawić pod znakiem zapytania prawdziwość

jego oświadczenia lustracyjnego. Tym bardziej, że dochodziły ostatnio do niego same dobre sygnały. Zwłaszcza ze strony Zarządu Wywiadu.

Z Pałubickim jego stosunki od początku układały się źle - od chwili gdy ten poznański bibliotekarz, jako świeżo upieczony minister-koordynator, składał ślubowanie zwracając się w stronę Krzaklewskiego, na prezydenta nawet nie patrząc. Niemniej, od pewnego czasu, odnosił wrażenie jakby oficerowie wywiadu, za plecami ministra-koordynatora, chcieli mu powiedzieć - przecież Pałubicki, to nie służby, to tylko nasłany aparaczyk, którego musimy tolerować. My nie jesteśmy oszołomami, jesteśmy bezpartyjnymi fachowcami służącymi państwu, a więc i prezydentowi, który konstytucyjnie odpowiada za jego bezpieczeństwo.

Zarządem Wywiadu kierował zasłużony funkcjonariusz SB, uczestnik anty-Oleksowego spisku, Bogdan Libera.

W 1997 roku, zaraz po objęciu władzy, AWS demonstracyjnie przywróciła go do służby, z której został usunięty za udział w aferze „Olina”. Niestety, mimo że Libera zasługiwał na najwyższą nieufność, prezydent zlekceważył ostrzeżenia i podjął z nim grę. Nie sam oczywiście, ale przez pośrednika, przez najbardziej zaufanego współpracownika i przyjaciela. Jednym usprawiedliwieniem tej nieostrożności może być chęć uczynienia wyłomu w skamieniałej nienawiści, jaką wobec głowy państwa demonstrowały kierowane przez Pałubickiego służby. Obóz prezydencki był w tej nadziei konsekwentny, co bardzo przeciwnikom ułatwiło uszycie intrygi. Prezydent brnął. Jako dowód dobrej woli przyznał Liberze Krzyż Oficerskie Orderu Odrodzenia Polski. Gdy polityczni przyjaciele Aleksandra Kwaśniewskiego oburzali się, że nagradza zdrajcę, oficera, który sprzeniewierzył się władzy państwowej, on odpowiadał - patrzycie tylko na koniec swego nosa. Nawykli do posłuszeństwa i do lojalności wobec przywódcy zmięli w ustach przekleństwa, ale przecież nie przestali myśleć po swojemu i mówić, co myślą. W tej sytuacji otoczenie prezydenta uznało widocznie, że oburzenie jest zbyt wielkie i przez to politycznie dla Kwaśniewskiego nieopłacalne. Jęło więc rozpowszechniać co najmniej trzy wersje przyczyn, dla których prezydent przypiął do Libery ten krzyż:

Premier Buzek umieścił Liberę na liście odznaczeń, a prezydent nie może chodzić na wojnę z premierem w każdej sprawie; o jakąś formę uhonorowania Libery upominali się Amerykanie i ostatnie tłumaczenie: przecież przez ostatnie dwa lata pracował dobrze, więc dlaczego nie miałby być odznaczany.

Mało kto jednak wiedział, że przed tym spektakularnym odznaczeniem przyjaciel prezydenta podejmowany był przez UOP w Ośrodku Kształcenia Kadr Wywiadu na Mazurach. Metoda jest od lat ta sama - wysokich przedstawicieli władz ściąga się tam pod pretekstem spotkania z kursantami. Dostojnik wygłasza referat, odpowiada na pytania, kursanci oczywiście są nim zauroczeni, zasypują go bardzo ciekawymi pytaniami. Spotkanie powoli przeradza się w rozmowę dobrych znajomych, wspólnie zatroskanych stanem spraw w państwie. Kursanci wprost nie chcą prelegenta wypuścić. Komendant ośrodka musi w końcu interweniować, tłumacząc, że program pana ministra jest bardzo napięty, że spraw państwowych nałożono mu na plecy ponad miarę i naprawdę nie może on już dłużej zostać, musi jechać. Kursanci protestują, komendant więc obiecuje, że pan minister na pewno nie odmówi nam i za jakiś czas przyjmie kolejne zaproszenie.

Cyrk, ale skuteczny. Delikwent jest ugotowany - któż by się nie wzruszył widząc, jak bardzo ludzie go szanują, podziwiają nawet i haustami łykają każde jego zdanie. Nawet najgłupsze.

Po prelekcji dostojnik proszony jest na poczęstunek. Jeśli wywiadowi szczególnie na kimś zależy, to przyjęcie urządzane jest w specjalnie wydzielonej, super tajnej strefie „B”, za mostkiem. Kto tam trafi, musi być ich. Musi ulec urokowi wspólnoty, tajemnic państwowych, które w ogromnej ilości walają się po kątach, „służby ojczyźnie”, no i tej niebywałej gościnności, którą go obsypują. Przyjaciela prezydenta podejmowano właśnie w strefie „B”.

Wkrótce potem wałęsowski generał Libera odebrał z rąk prezydenta Krzyż Oficerski.

Nie minęło jednak pół roku, gdy uśpiony i niczego nie spodziewający się obóz prezydencki został brutalnie zaatakowany.

Niczego nie przegapili, nie zaniedbali żadnej możliwości. Zachowały się ślady i świadkowie, iż przy pomocy systemu PESEL wyszukiwano na przykład wszystkich obywateli o nazwisku KONTY. To panięskie nazwisko Jolanty Kwaśniewskiej. Sprawdzano, co dzieje się z każdym z członków jej rodziny, życie jej męża wywracano na nice.

W trakcie tej kwerendy archiwiści UOP odnaleźli zapisy Służby Bezpieczeństwa o Kwaśniewskim. Okazało się, że ten wybijający się polityk młodego pokolenia był pod szczególnym nadzorem tajnych służb, zanim ktokolwiek jeszcze pomyślał o UOP-ie. Nie jest dziś jasne, kto zlecił bezpiece tę robotę, ale ktoś to musiał zrobić. Służby zawsze muszą mieć jakiś obstalunek. W każdym razie SB bardzo skrupulatnie opisała swoje starania mające na celu wyjaśnienie podchodzenia Aleksandra Kwaśniewskiego.

Ustrój pośpiesznie schodził do grobu, władza przy „okrągłym stole” szykowałą się do odejścia, tymczasem z akt SB wynika, iż najważniejszym pytaniem, na które próbowano sobie odpowiedzieć było, okazuje się - czy Kwaśniewski jest Żydem, czy jednak czystej krwi Polakiem. Ponieważ pochodzenie matki nie budziło „zastrzeżeń”, specjaliści z Rakowieckiej, skoncentrowali się na ojcu. Przejrzeli wszystkie papiery, które znaczyły jego życie - zachowane dokumenty, podania na uczelnie, wypełniane ankiety...

Mimo takich wysiłków nie dało się z całą pewnością powiedzieć, że ojciec Aleksandra prawdziwym Polakiem nie był. Ale od czego szeptanka. Te wyzwiska, które spotykają Kwaśniewskiego, ten „Stoltzman”, którym częstują go nacjonaliści, słuchacze Radia Maryja, i inne środowiska prawicy, biorą swój początek, okazuje się, z notatek SB. To bez wątpienia robota tajnej policji.

Ale plotka, choć bywa zabójcza, nie może być jedynym narzędziem niszczenia politycznego konkurenta. UOP szukał dalej. W końcu wpadł mu w łapy ten „Alek”...

Prezydent, wyraźnie podenerwowany, wrócił na miejsce. Po drodze wymienił jakieś uwagi z adwokatem. Sąd zarządził przerwę. Gdy wychodził, dziennikarze opadli go chmarą, zasypali pytaniami - czy był pan agentem, panie prezydencie?

Wrócił do Pałacu Prezydenckiego załamany i rozeźlony jednocześnie. W jednej chwili świat spadł mu na głowę. Pokazali mu czarno na białym, że MSW go śledziło, że sprawdzano najdrobniejsze szczegóły życia jego i jego rodziny. To nie była przyjemna konstatacja. Coś się w nim załamało, jakaś wiara, jakaś młodzieńcza naiwność.

Nie miał już złudzeń, że jego przeciwnicy zrobią wszystko co możliwe, iżby go utracić. Nie będzie żadnej moralności, czystej walki, rycerskich reguł. Jak na polityka zrozumiał to stosunkowo późno. Na jego szczęście przeciwnicy nienawidzili go tak bardzo, że aż im padło na rozum. Dla nich „ITD”, „Życie Warszawy”, czy „Sztandar Młodych”, to jedna i ta sama reżimowa prasa. Do Olka, który pracował w „ITD” i w „Sztandarze”, dopisali „Alka” - jednego z kilkunastu współpracowników jakich SB hodowała w redakcji „Życia Warszawy”. Prawdopodobnie zrobili to tak: numer pod którym zarejestrowano agenta SB w „Życiu Warszawy” o kryptonimie „Alek” - 72204 - dopisano Kwaśniewskiemu, który był zarejestrowany przez SB w dzienniku koordynacyjnym, jako osoba przez bezpiekę rozpracowywana. W ten sposób stworzono pozór, że „Alek” i Olek to jedna i ta sama osoba. Tymczasem Kwaśniewski nigdy w „Życiu Warszawy” nie pracował.

Nie mogło być inaczej. Nie jest możliwe, by równie gorąco nienawidzący lewicy poprzednicy Pałubickiego - Milczanowski i Macierewicz, którzy w przeszłości zlecali sprawdzenie „zasobów agenturalnych” SB, nie natrafili na ten zapis. Gdyby on rzeczywiście był, jak nic wykorzystaliby go w walce z Kwaśniewskim.

Potwierdza ten domysł były szef UOP - Piotr Naimski, który wespół z Macierewiczem przygotowywał słynną listę agentów, a na niej, jak wiadomo, nazwisko „Kwaśniewski” nie znalazło się. Zapytany dlaczego tak się stało powiedział: *Wszystkie dokumenty, które mogły*

dotyczyć ówczesnych posłów, senatorów, osób na najwyższych stanowiskach w państwie, które zgodnie z uchwałą lustracyjną były poszukiwane, otóż wszystkie, którymi resort w tamtym czasie dysponował, zostały uwzględnione. (za „Trybuną” z dn. 12-13.08. br.)

Oznacza to, że w roku 1992 przy nazwisku „Kwaśniewski” numeru 72204, odsyłającego poszukiwaczy do agenta „Alka”, nie było, choć wedle obecnego UOP-u powinien tam być przynajmniej od roku 1985! W ten sposób Urząd Ochrony Państwa ostatecznie się skompromitował. Wbił gwóźdź do własnej trumny.

Janczarzy to zrozumieli. Z całą jaskrawością dotarło do nich, że żarty się skończyły. SLD nie ukrywa, iż jeśli będzie mu dane, jeśli rzeczywiście wygra wybory parlamentarne, to zakończy działalność UOP i WSI w ich dotychczasowym kształcie. Zapowiada stworzenie całkiem nowej struktury służb specjalnych, którą ma zamiar poddać skutecznej kontroli ze strony rządu i opozycji jednocześnie.

Jeśli mu się uda, to tajne wpływy najwyższych funkcjonariuszy tajnych służb, mogą się skończyć. Po raz pierwszy od kilkadziesiąt lat!

* * *

- To nie jest platforma trzech, tylko czterech.

Gromosław Czempiński spojrzał po swoich byłych podkomendnych, jakby sprawdzał, czy wywołał zaciekawienie. Był pewien, że tak. Spotkali się z jego inicjatywy w warszawskim gmachu Intraco. Dziesięciu. Wcześniej z innymi rozmawiał w meksykańskiej restauracji „Blue Cactus”.

- Tym czwartym jestem ja - dodał.

Uczestnicy spotkania prawie w całości wywodzili się z byłego wydziału amerykańskiego Departamentu I (wywiadu) dawnego MSW. Niektórzy związani są m. in. ze sprawą „Olina”.

- Znacie mnie. Wiecie, że zawsze sobie ufaliśmy, wierzyliśmy sobie. Dlatego i tym razem mówię wam otwarcie: Platforma Obywatelska to pomysł na zagospodarowanie sceny politycznej, na wejście do Sejmu ludzi odpowiedzialnych, którzy nie zwykli uprawiać politycznych gier kosztem państwa. Ludzi, których znamy, z którymi pracowaliśmy, którzy nigdy nas nie zawiedli. Nie ukrywam, że może i ja się tam znajdę. Nigdy nic mówiłem, iż jeśli pewnego dnia polityka zapuka do moich drzwi, to je przed nią zatrzasnę. Dziś widzę ostrzej niż kiedyś i mam nadzieję, że wy też widzicie, że nie można naszych spraw oddać w ręce dyletantów, którzy dla politycznej korzyści, dla zabłyśnięcia, gotowi są złożyć do grobu dorobek kilku pokoleń, nasz dorobek. Czy to może się udać? Może. Dowiodły tego wybory prezydenckie, do których nasz kandydat wystartował bez żadnego zaplecza politycznego, a jednak zajął drugie miejsce. Jeśli spojrzycie na jego wynik z punktu widzenia pewnej taktyki, to sami stwierdzicie, że temu niby żelaznemu faworytowi do zwycięstwa wystarczyło odebrać raptem cztery procent więcej, żeby doszło do drugiej tury. Wystarczyło więc, żeby Krzaklewski był deczko mądrzejszy... i mogło być różnie.

A więc to jest możliwe. Tym razem mamy trzech kandydatów.

I każdy jest dobry. Robią dobre wrażenie, trafiają celnie. Będzie dobrze, przekonacie się. Wejdziemy do Sejmu. A jeśli naprawdę dobrze popracujemy, to SLD nie zdobędzie bezwzględnej większości. I nie porządzi sobie.

Słuchali go w milczeniu. Zawsze go podziwiali, imponował im. Mimo wszystko. I teraz też im zaimponował. To mógł wymyślić ktoś, kto naprawdę ma łeb, wyobraźnię i odwagę stawiania sobie ambitnych zadań. Czempiński kontynuował:

- Chcę wam powiedzieć, że Platforma Obywatelska buduje grupę doradców - specjalistów od służb specjalnych i oddziałów specjalnych w wojsku. W niedalekiej przyszłości spośród nich ukształtuje się przyszłe kierownictwo spec-służb. Nie odwracajcie się od tego. Jesteście mi potrzebni. Potrafcie przecież jak nikt inny budować wsparcie, dobrą atmosferę,

przychylność...

Każdy z trzech liderów Platformy Obywatelskiej ma za swoimi plecami oficerów służb specjalnych. Olechowski - Czempińskiego, Brochwicza i Petelickiego. Tusk - poprzez Jacka Merkla ma przełożenie na „Konsalnet”, agencję ochrony, w której zatrudnieni są najzdolniejsi oficerowie wywiadu lat 80. i którą dowodzi były szef UOP Jerzy Konieczny. Maciej Płażyński ma zaś za plecami Irenę Popoff, była rzeczniczkę UOP, teraz rzeczniczkę Marszałka Sejmu.

Spotkanie w Intraco to więc ważny sygnał, że ludzie wywiadu postanowili wyjść z cienia i podjąć próbę takiego postępowania wydarzeniami politycznymi, by odwrócić niebezpieczne dla nich tendencje. Do tej pory bowiem, ta najbardziej politycznie wyrobiona i ogładzona w świecie grupa oficerów, mimo zmian politycznych, zachowywała silne wpływy na bieg spraw w państwie. Gdy byli w UOP, były to wpływy jawne, wynikające z zajmowanych tam stanowisk. Jednak nawet wtedy, gdy musieli opuszczać swe posady, nie tracili wpływów niejawnych - wynikających z układów politycznych, z zadzierzgniętych niegdyś jak pętla na szyi znajomości, dworskich gier i gier operacyjnych, w których wszak są mistrzami. Ludzi wywiadu spotkamy w najtłustszych spółkach, w najbardziej opłacalnym biznesie, na salonach i w knajpach, gdzie ucierają się interesy. W takich złotych kniejach czekają na swój wielki come back. Tylko bowiem powrót na stanowiska da im pełną władzę, pełne możliwości działania i pełną satysfakcję.

Służby specjalne nie byłyby jednak sobą, gdyby planowały akcję na jednym tylko kierunku. Dla klasy politycznej mają oprócz Platformy Obywatelskiej również inną propozycję. Wyraził ją jeden z doradców Gromosława Czempińskiego - Sławoj Kopka:

To prawda, że polskie służby specjalne przez dziesięć lat nagrzeszyły niemało, ale trzeba przerwać to błędne koło, zaprzestać oskarżeń i polowań na urojone czarownice. Być może to naiwne, ale uważam, że dobrze byłoby gdyby - na początek - wszyscy dotychczasowi szefowie UOP i WSI spotkali się na przykład w Magdalence i rozmawiali dopóty, dopóki nie uzgodnią kierunków zmian w polskich służbach specjalnych w takim kształcie, aby można było je zaprezentować głównym siłom politycznym.

(„Rzeczpospolita” - 25 stycznia)

Tak to sobie wykombinowali... wpierw w Magdalence (!) ułożą się ze sobą Jasik, Czempiński, Libera, Zacharski, Nowek, Milczanowski, Kozłowski, Macierewicz, Naimski, Sienkiewicz, Brochwicz, Rusak, Wawrzyniak i kto tam jeszcze, a co ułożą, to dadzą politykom do zatwierdzenia.

Czyż nie jest to bezczelne ultimatum? Czy naprawdę nie ma na nich sposobu?

Otóż jest - jeden jedyny. Niestety niezwykle trudny do zrealizowania. Rzecz w tym, że żadne służby nie podejmują działań na własną rękę. Zawsze musi być jakiś zleceniodawca, jakiś polityczny obstalunek, który ma być spełniony. Oczywiście można to mniej lub bardziej skutecznie kontrolować, ale całkiem wyeliminować się tego nie da. Warunkiem powodzenia skutecznej kontroli służb specjalnych musi więc być polityczna skłonność elit do działania prawnego.

To tak jak z przeciekami do prasy - nie ma genialnych dziennikarzy, którzy sami z siebie potrafią rozsypywać polityczne intrygi, przenikać ściany ważnych biur i rozpruwać najważniejsze kasy pancerne. Zawsze musi być ktoś, kto chce przecieku, komu na tym zależy. Musi być ktoś ze środka, kto podsunie dokument, wiadomość lub wskaże trop.

Takie życie.

Autor pragnie stwierdzić, że wszelkie podobieństwo zdarzeń i postaci z książki do zdarzeń i postaci świata realnego jest czystym przypadkiem, a jego celem nie było działanie na niczyją szkodę. Interesowały go bowiem wyłącznie mechanizmy i zależności rządzące polskimi tajnymi służbami na przełomie politycznych epok.